



ISLAMSKI REŻIM  
ZABIJA JE ZA  
PRAGNIENIE  
WOLNOŚCI,  
ALE IRANKI  
SĄ GOTOWE  
ZA NIĄ  
GINĄĆ

Marcin  
**MARGIELEWSKI**

**PIEKŁO  
Kobiet  
IRANU**

Prószyński i S-ka

Marcin  
MARGIELEWSKI



PIEKŁO  
Kobiet  
IRANU

Prószyński i S-ka

Copyright © Marcin Margielewski, 2023

Projekt okładki  
Michał Kubacki

Zdjęcie na okładce  
Envato

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-485-2

Warszawa 2023

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)



Zapis irańskich nazwisk zamieszczonych w książce pozostał w powszechnie znanej, akceptowanej przez ich właścicieli formie anglojęzycznej (na przykład Khomeini, nie Chomejni). W moim odczuciu spolszczanie takich nazwisk – a co za tym idzie, kompletna zmiana ich brzmienia – przy którym upiera się Rada Języka Polskiego, jest archaizmem i wyrazem braku szacunku. Pisząc książki dotyczące Bliskiego Wschodu, często spotykam się z nazwami i nazwiskami spolszczanymi w formach, które zrozumiałe są tylko dla Polaków. Tylko my na całym świecie uważamy, że Abu Dhabi to Abu Zabi, tylko my Umm Al Quain (czytane niemal tak jak zapisane) zmieniliśmy na Umm Al-Kajwajn. Po co? Dlaczego? W dobie dyskusji o tożsamości, feminitywach i szacunku do nazewnictwa powinniśmy też zacząć szanować nazwy własne i nazwiska. Nikt z nas nie byłby przecież szczęśliwy, gdyby rada jakiegokolwiek języka nagle zniekształciła pisownię naszego rodzowego nazwiska. Czesi już ponad dwie dekady temu przestali na siłę zmieniać nazwiska kobiet, rezygnując z dodawania końcówki -ová. Whitney Houstonová jest dziś Whitney Houston. Może czas zrobić z tym coś również w Polsce.

Marcin Margielewski



# Prolog

*Wszechmocny Bóg dał światu wiele form zwierząt.  
Jedno z nich zostało stworzone do transportu.  
Zwierząt czworonożnych, takich jak konie czy wielbłądy,  
ludzie używają do podróżowania.  
Bóg stworzył też zwierzęta, które mają żywić ludzi –  
to owce i krowy.  
I stworzył Bóg dodatkowy typ zwierzęcia – kobietę.  
Kobiety są dokładnie jak krowy czy owce.  
Są zwierzętami.  
Bóg stworzył je na użytek mężczyzn, ale dał im postać ludzi,  
by się ich nie bali.  
Kobiety są dokładnie jak krowy, owce, konie czy muły...*

Siedzący w wyniesionym na postument fotelu, w sali pełnej wpatrzonych w niego mężczyzn, mułła Sadeq Al Shirazi wygłasza swoje coroczne przemówienie do wiernych. Wokół panuje absolutna cisza – jedynym dźwiękiem jest głos duchowego przywódcy. Politycznie nie ma on w Iranie nic do powiedzenia, jest nawet w konflikcie z reżimem, ale jako *marji* – czyli w dosłownym tłumaczeniu „źródło do naśladowania” – jest jednym z najwyższych szyickich autorytetów.

Słowa padają w świętym dla szyitów mieście Qom. Nikt tu ich nie kwestionuje. Każdy się z nimi zgadza. Wszyscy uważają je za prawdę objawioną i jedyną. Zniosą ją później do swoich domów, będą przekazywać dalej, a przede wszystkim będą zgodnie z nią traktować swoje żony, siostry, córki i matki. Dokładnie tak, jak im przykazano.

W Koranie nie ma ani słowa o tym, że kobieta jest tylko bardziej przyjazną dla oka formą zwierzęcia hodowlanego. Jest wprawdzie mowa, że kobiety są „polami uprawnymi”, ale to, choć wciąż uprzedmiotawiające,

wciąż dalekie jest od porównania do trzody. W kraju, w którym żyją, nie ma to jednak znaczenia. Dla fanatycznych szyitów liczy się słowo duchownych, ajatollahów, którzy stanowią prawo, są panami życia i śmierci.

Od kiedy w Iranie upadł pozorowany na demokrację reżim szacha Mohammada Rezy Pahlaviego, nikt tu już niczego nie pozoruje. Nie ma mowy o wolności, nikt nawet nie udaje, że Irańczycy mogą na nią liczyć. W teokracji rządzi Bóg, a Bogiem w Iranie wcale nie jest Allah, tylko jego samozwańczy ziemscy wysłannicy. *Velayat-e to Faghi* – Najwyższy Przywódca Duchowy, zwany również *Rahbar*, jest emanacją Allaha, a jakakolwiek krytyka pod jego adresem uznawana jest za *moharabeh* – wojnę wypowiedzianą Bogu. Za to irański kodeks przewiduje tylko jedną karę: śmierć. Wyznający szyicki islam obywatele mają zrobić to, co nakazuje im już sama nazwa ich religii – poddać się.

Poddawali się przez ponad cztery dekady. Ci, którzy powstali, albo szczęśliwie uciekli, albo tragicznie zginęli. Reszta zdawała się przyzwyczaić, tkwiła w uśpieniu. Ludzka natura ma jednak silnie zakorzenione poczucie wolności, a gdy to się zbudzi, nic już nie jest w stanie go uspić. Iran budził się długo, ale teraz Iran już nie zaśnie. Nie pozwolą na to jego dzielne kobiety...

*Zan! Zendegi! Azadi!* Kobieta! Życie! Wolność! Takie okrzyki wznoszą kobiety i wspierający je mężczyźni podczas protestów, które wybuchły po tym, jak dwudziestojednoletnia Mahsa Jina Amini została zamordowana przez *Gasht-e Ershad* – irańską milicję religijną za niezgodny z prawem strój. Nie była to pierwsza bezsensowna śmierć z rąk fundamentalistycznego reżimu, ale ta właśnie była kroplą, która przelała czarę goryczy. Iskrą zapalną ognia, którego nie da się już ugasić. Iranki nie przestaną protestować.

– Wszystkich nas nie zabijecie! – mówią, dodając sobie odwagi. I wychodzą na ulice, stawiając czoła reżimowi, który by utrzymać się u władzy, gotowy jest rozlewać ich krew hektolitrami. W końcu w ich głowach kobiety to tylko zwierzęta... rzeźne.

Choć głowy rządzących Iranem rzeźników tkwią głęboko w średniowieczu, nawet oni dobrze wiedzą, że jedną z najpotężniejszych



dostępnych dziś broni jest internet. To dlatego wyłączyli go Irańczykom. Zwoływanie protestów jest bez niego bardzo utrudnione, przesyłanie informacji poza kraj niemal niemożliwe. Ale to nie powstrzyma ich rozprzestrzeniania się.

Jedyną rzecz, jakiej boją się dziś protestujący, to to, że świat pozostanie w ich sprawie obojętny. I niestety nie są to obawy bezpodstawne. O protestach w Iranie mówi się zdawkowo, trochę przy okazji, trochę jak o ciekawostce, ale nikt nie przykładą do nich większej wagi. Obojętność w takich sytuacjach potrafi być zabójcza.

Ogromną rolę w internecie odgrywają irańscy uchodźcy, którzy starają się nagłaśniać sprawę, opowiadać o tym, co dzieje się na ulicach Teheranu i innych irańskich miast. Oni też mają dostęp do bardzo zdawkowych informacji, najczęściej przesyłanych nielegalnie dzięki przekąźnikom przy granicy tureckiej.

Jedną z takich osób jest Azadeh. Jej prawdziwe imię brzmi inaczej, ale chciała je zmienić. A gdy poprosiłem, by wybrała takie, które pasuje do niej najbardziej, bez namysłu wskazała na słowo, które w języku perskim oznacza „wolna”.

– Ja jestem wolna i nie spocznę, dopóki każda Iranka będzie mogła powiedzieć o sobie to samo – twierdzi.

Nie ma dnia, by Azadeh nie publikowała pełnego emocji nagrania na swoich kanałach na TikToku i Instagramie. Bardzo często jest wściekła i mówi o rozczarowaniu, jakie czuje, gdy widzi obojętność świata. Wbrew pozorom nie jest łatwo namówić ją na rozmowę. Kiedy w końcu się to udaje, kategorycznie odmawia udziału w sesji zdjęciowej na okładkę książki, jak również zgody na ujawnienie jej kont w mediach społecznościowych.

– Dlaczego? – pytam, przekonany, że to przecież mogłoby pomóc sprawie.

– Od kiedy mówię o Iranie, nie ma dnia, bym nie spotykała się z obrzydliwym hejtem – tłumaczy. – Ludzie, którzy nie robią dla mojego kraju nic, zarzucają mi, że lansuję się na krwi swoich rodaków.

– Przecież tego nie robisz?

– Oczywiście, że to bzdury. Ale propaganda lansowana w Iranie jest idealnym przykładem na to, że jest wiele prawd, a ludzie z reguły wierzą w tę, która jest dla nich najwygodniejsza. Ja jestem młodą prawniczką,

mieszkam w słonecznej Kalifornii i nagrywam filmy na TikToku. Oczywiście, że jedyne, co można o mnie powiedzieć, to że jestem pusta i się lansuję.

– Przecież ty robisz dla tej sprawy więcej niż jakiegokolwiek duże media. Obserwuję twoje filmy od dawna, nigdy bym tak nie pomyślał.

– Ale wielu właśnie tak myśli. Nie mają pojęcia o tym, co z rąk irańskich fundamentalistów wycierpiała moja rodzina. Zamordowali mojego ojca, moja babcia umarła w samotności, bo musiała poświęcić rodzinę dla wyższego dobra. Przyjaciół mojej rodziny i człowieka, który zastępował mi ojca, również nie żyje. Uciekłyśmy z mamą z kraju tak jak stałyśmy. Ona nigdy nie odnalazła się na emigracji, nigdy nie przestała tęsknić za tatą... Sama zresztą też siedziała w więzieniu i chyba tylko cudem z niego wyszła. Tak właśnie wyglądają kulisy lansowania się...

– Mogłabyś to ludziom opowiedzieć, może zmieniliby zdanie...

– Wystąpiłam w dużej stacji telewizyjnej, opowiadając o moich przelewających krew rodakach. Jedyne, co później przeczytałam, to komentarze na temat mojego wyglądu.

– Ale mam wrażenie, że ty w swoich postach mówisz głównie do tych ludzi. Obalasz stereotypy i walczysz z fałszywymi informacjami.

– Wiedza na temat Iranu i tego, co się tam dzieje, jest niewielka i ja nie mam o to żalu do ludzi. Mam żal do tych, którzy powielają stereotypy.

– Jaki jest najczęstszy?

– Chyba ten, że Irańczycy są Arabami. Nie są. Ale to akurat nieszkodliwe przekonanie. Dużo szkodliwsze jest relatywizowanie. Wielu twierdzi, że w Iranie wcale nie jest tak źle... I wtedy opadają mi ręce, bo zastanawiam się, ile jeszcze kobiet, mężczyzn i dzieci musi zginąć, by uznali, że jest źle...

Azadeh mówi, walcząc z emocjami. Jest jednocześnie wściekła i bliska płaczu. Ale to nie jest histeria – to emocje, które towarzyszą każdemu zdaniu wypowiedzanemu na temat jej walczących rodaków. Rozumiem jej argumenty i za wszelką cenę chcę poznać jej historię. Jeszcze nie mam świadomości, że złamie mi ona serce.

– Mogę to opowiedzieć tobie, ale nie chcę być na okładce książki ani promować swoich kanałów. Nigdy bym się z tego nie wytłumaczyła. Ci, którzy mnie hejtują, pewnie i tak nie zmienią zdania, jednak w tej historii naprawdę nie chodzi o mnie. Ja mam smutną przeszłość, ale naprawdę

szczęśliwe życie. Na opowieść zasługują te wszystkie dzielne dziewczyny, ci chłopcy, którzy dziś, żyjąc w biedzie i opresji, mówią „dość”. Oni potrzebują siły, a ci, którzy stracili życie z rąk oprawców, zasługują na pamięć.

Większość ludzi na pytanie o to, jaki kraj według Biblii został wybrany przez Boga, pewnie wskazałaby na Izrael. Tekst świętej księgi judeochrześcijan jednak temu przeczy, bo wielu hebrajskich proroków, a wśród nich Daniel, Izaak i Ezra, w swej narracji to właśnie Persję wskazuje jako tę wybraną przez Boga. Biblia opisuje perskich królów, epickie bitwy z ich udziałem i rządy, które miały wpływ na losy całego ówczesnego świata. Wspomina o niej aż dwieście czterdzieści razy, jej nazwę wymienia trzydzieści trzy razy, a jej pierwszego przywódcę, legendarnego króla Cyrusa, którego przyjście na świat zapowiedział prorok Izaak – dziewiętnaście razy. Biblia po kilkanaście razy wymienia też królów Dariusza, Kserksesa i Artakserksesa.

Sporo jak na świętą księgę żydów i chrześcijan. I jak na kraj, który żydów i chrześcijan nienawidzi, uznając za wrogów Boga i narodów. Większość Irańczyków, podobnie zresztą zapewne jak żydów i chrześcijan, nie ma pojęcia o wpływie, jaki Persja miała na początki naszej cywilizacji, ani o tym, jak wiele podstaw do przyjaźni i pokoju zaprzepaściliśmy wojnami religijnymi i bezpodstawną nienawiścią.

Władze wielu krajów mają tendencje do upraszczania historii. Co jakiś czas dochodzi w niej do rewolucji. Jej zwycięzcy opowiadają potem tę historię na nowo, ale zawsze według tego samego schematu. Bohaterowie są albo dobrzy, albo źli. Czarni lub biali. Odcienie szarości wymagają analiz, zdobywania wiedzy, zastanowienia. Czarno-białe historie są zdecydowanie prostsze w przyswojeniu.

Dziś świat zna historię postępowego irańskiego szacha obalonego w krwawej rewolucji przez religijnych fundamentalistów za obrażanie religii i wręcz nieprawdopodobne rozpasanie. Po rewolucji miał powstać kraj, w którym żyją ludzie przywiązani do islamu i poza religią nic nieznaczący.

Tak naprawdę ani szach nie był taki postępowy, ani nie został obalony za obrażanie religii, ani Irańczycy nie są nią opętani. Zgadza się tylko to, że

szach rujnował Iran swoimi wydatkami.

To kraj, którego historia naznaczona jest wieloma rewolucjami, a jego obywatele – bardzo świadomi. Większość z licznych, nierzadko krwawo tłumionych protestów wcale nie dotyczyła zarobków czy pracy, spraw przyziemnych, ale niemal zawsze idei. I nawet jeśli czasami trudno było się z nimi zgodzić, gotowość do poświęcenia w imię przekonań jest w Irańczykach naprawdę unikalna.

Poznajcie opowieść o niezwykłym kraju. O jego burzliwej historii. O władzy, która z demokratycznej i pełnej wzniosłych ideałów z wieku na wiek stawała się coraz bardziej barbarzyńska. O jego niezłomnych obywatelach, a przede wszystkim o bohaterskich kobietach. Bo choć zdawać by się mogło, że Iranem rządzą mężczyźni, to kobiety są jego sercem, żarliwym i pełnym odwagi.



CZEŚĆ I  
ZAN



## Zan – kobieta

W najczęściej słyszonym obecnie na ulicach Iranu hasło protestujących: *Zan! Zendegi! Azadi!* Zan – kobieta – zajmuje pierwsze miejsce. Bo to od kobiety zaczął się ten protest, o prawa kobiet w nim chodzi, kobiety są głównymi protestującymi. To one walczą i one zwyciężą.

Zdjęcia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pokazują irańskie kobiety w modnych zachodnich ubraniach, z odsłoniętymi głowami i bez czadorów. Często porównujemy tamte wizerunki do tego, co obserwujemy obecnie. I choć przed rewolucją islamską trudno było mówić o pełnej wolności, z pewnością była ona większa, niż jest dzisiaj.

Prawo jest dla kobiet bezlitosne. Po przejęciu władzy islamiści obniżyli wiek zawierania małżeństw przez dziewczęta do dziewiątego roku życia, by dopiero po dwóch dekadach obowiązywania tej ustawy podnieść go do trzynastego. Wciąż skandalicznie niskiego. Prawo rozwodowe również je dyskryminuje. Kobiety mogą rozwieść się tylko w sądzie, podczas gdy mężczyznom wystarczy do tego zwyczajne ustne oświadczenie. Rozwiedziona kobieta traci prawo do opieki nad dzieckiem, jeśli ponownie wyjdzie za mąż. Nawet jeśli jej mąż zmarł.

Wszystkie kobiety są zobowiązane do zakrywania włosów i skromnego ubioru. Wszelkie ekstrawagancje i odkrywanie ciała są surowo zakazane, choć nie ma jasnych wytycznych, jak faktycznie powinien wyglądać właściwy strój, co daje pole do dowolnej interpretacji, pozwalając tym samym na nadużywanie władzy wobec kobiet.

Seks pozamałżeński jest karany wieloletnim więzieniem. Kara obowiązuje również mężczyzn, choć w praktyce częściej do niewoli na dłużej trafiają kobiety.

Wdowa dziedziczy tylko jedną ósmą majątku męża, ale już wdowiec dziedziczy cały majątek żony. Syn dziedziczy dwa razy więcej niż córka.



Zamężna kobieta nie może uzyskać paszportu ani podróżować poza Iran bez pisemnej zgody męża. To mąż wybiera miejsce zamieszkania pary i decyduje o karierze zawodowej żony. Może zakazać jej wykonywania pracy, którą uważa za sprzeczną z „wartościami rodzinnymi”. Ponadto kobiety ustawowo nie mogą wykonywać pewnych zawodów, a ich lista z roku na rok jest coraz dłuższa. Nie mogą na przykład sądzić, pracować w przemyśle naftowym, w wojsku, straży pożarnej, nie mogą też piastować wysokich stanowisk, choć wiceprezydentką Iranu jest kobieta. To jednak stanowisko czysto propagandowe i bez realnego wpływu na politykę. Kobiety nie mogą też być agentkami nieruchomości, pracować w kawiarniach, być kurierkami. To wszystko wpływa na ich tragiczną sytuację materialną, zwłaszcza tych samotnych. W Iranie tylko dwanaście procent kobiet pracuje. I choć mimo dyskryminacji na uczelniach są znacznie lepiej wykształcone od mężczyzn, rzadko mają szansę na satysfakcjonującą karierę. Rząd widzi w nich element niezbędny do rozrodu, zwierzęta domowe, służące, zło konieczne, a one, znosząc takie traktowanie przez ponad czterdzieści lat, właśnie mówią „dość!”.



## ROZDZIAŁ 1

# Szach

*26 października 1967 roku, Teheran*

Najstarsza na świecie perska monarchia przez dwa i pół tysiąca lat koronowała wyłącznie mężczyzn, ale tego właśnie dnia miało się to zmienić. Irańczycy mieli stać się świadkami otwarcia nowego rozdziału w historii swojego kraju i przywitać swoją pierwszą cesarzową – *szachbanu*. Zdążyli ją już poznać. Jedni pałali do niej nienawiścią, uważając za pomiot szatana zesłany po to, by wbrew woli Allaha zwieść Iran ze ścieżki islamskiej prawości, po której stąpać wolno tylko mężczyznom. Inni wiwatowali na jej cześć, widząc w niej irańską wersję podziwianej na całym świecie Jacqueline Kennedy.

Ponieważ do tej pory kobieca korona nie była w tym kraju potrzebna, tę pierwszą zamówiono u słynnych paryskich jubilerów Van Cleef & Arpels. Zgodnie z życzeniem szacha musiała być wyjątkowa. Na jej stworzenie nie szczędzono pieniędzy i całkiem spodziewanie okazała się absolutnym dziełem sztuki.

W ciągu sześciu miesięcy właściciel legendarnego paryskiego domu jubilerskiej mody Pierre Arpels odbył dokładnie dwadzieścia cztery podróże do Teheranu, gdzie spośród drogocennych kamieni złożonych w królewskim skarbcu Irańskiego Banku Centralnego skrupulatnie wybierał te, które miały zdobić insygnia dla pierwszej *szachbanu* Iranu. Na potrzeby tego projektu w banku stworzono nawet specjalną pracownię, w której pod okiem Arpels'a pracowało kilku jubilerów. Nic nie mogło być tu przypadkowe – perfekcja w każdym calu. Ostatecznie do korony przyszłej cesarzowej wybrano trzydzieści sześć szmaragdów, tyleż rubinów, sto pięć pereł i aż tysiąc czterysta sześćdziesiąt dziewięć diamentów.

Do kompletu jubilerzy Van Cleef & Arpels stworzyli również parę kolczyków – dwa szmaragdowe wisiorki – oraz naszyjnik. Ten ostatni jest ozdobiony grawerowanym sześciokątnym szmaragdem i czterema innymi o klasycznych szlifach, czterema perłami w kształcie gruszki i jedenastoma żółtymi diamentami. To wszystko można byłoby nie bez racji nazwać zbytkiem koronowanych głów, niemającym znaczenia dla poddanych, a często wręcz będącym symbolem wyzysku, ale nie w tym przypadku. Ten klejnot nie był tylko strojną ozdobą monarchini. Miał ukoronować wszystkie kobiety Iranu.

Zaraz po tym, jak zdobiona sporo ponad trzema tysiącami diamentów korona spoczęła na skroni rządzącego Iranem już od ponad dwóch dekad szacha Mohammada Rezy Pahlawiego, on sam ujął w dłonie stworzony specjalnie na tę okazję jubilerski cud Van Cleef & Arpels i z wielką atencją ułożył go na głowie swojej żony, przepięknej Farah Diba.

To nie była zwykła koronacja. To był akt emancypacji i polityczna deklaracja. Dowód na to, że prawa kobiet w Iranie są ważne i oficjalnie chronione, a same kobiety są równe mężczyznom. Za tym aktem szły konsekwencje prawne, bo w przypadku śmierci króla, zanim następcą tronu księżę Reza uzyska pełnoletniość, Farah Diba miała być regentką, czyli formalnie jego następczynią. Gdyby do tego doszło, Iran byłby pierwszym muzułmańskim krajem rządzonym przez kobietę. I to na ponad dwie dekady, zanim premierką Pakistanu została Benazir Bhutto.

Co poszło nie tak, że Iranki, których babcie żyły w kraju dążącym do równouprawnienia płci, dziś giną na ulicach, walcząc o wolność i własne prawa? Co się stało, że zabijane są za to, że ich głów nie zakrywa hidżab lub nie zakrywa ich wystarczająco? Dlaczego nie mają podstawowych praw, a choć są z reguły dużo lepiej wykształcone od mężczyzn, porównuje się je do zwierząt domowych?

Odpowiedzi na te pytania należy szukać kilka dekad wcześniej, zanim Farah Diba została cesarzową, pamiętając, że rewolucje zawsze rodzą się w ciszy, dorastają nieśmiało, a potem nagle gwałtem zdobywają świat.

Ta irańska nie jest wyjątkiem...

*15 grudnia 1925 roku, Teheran*

Szach Reza, ojciec Mohammada Rezy, został siłą zmuszony do abdykacji. Nie zrobił tego chętnie, ale dobrze widział, że nie ma wyboru. W przeciwnym razie Iran prawdopodobnie straciłby niepodległość. Zanim jednak doszło do abdykacji, szach Reza zapisał się w pamięci zbiorowej jako jeden z największych reformatorów w historii tej ziemi, a jego rządy stały się dla badaczy niezwykle trudnym tematem do oceny. Zrobił bowiem dla swoich ludzi tyle dobrego, co złego.

Wielu mówi dziś o starym szachu jako o naziście, co w sumie nie jest dalekie od prawdy, ale sprowadzanie jego dziedzictwa wyłącznie do sympatyzowania z ideami Hitlera jest sporym nadużyciem. Zresztą podobne problemy napotkają ci, którzy zechcą w prosty sposób zrecenzować rządy jego syna, bo Mohammad Reza jest dziś pamiętany jako demokratą szanujący prawa kobiet, choć i w tym twierdzeniu nie wszystko jest prawdą.

Historia Iranu to zasadniczo obraz dyktatur obalanych przez rewolucje. Nie oparła im się do tej pory żadna władza, co nierzadko oznaczało tragedię, choć w aktualnej sytuacji daje protestującym spore nadzieje.

Stary szach Reza był pierwszym władcą Iranu z dynastii Pahlavi. Nie był arystokratą. Był uzurpatorem. Swoją królewską przysięgę złożył w połowie trzeciej dekady XX wieku, niedługo po obaleniu rodu Qajar, który z kolei ponad sto dwadzieścia lat wcześniej obalił dynastię Zand. Dynastia Pahlavi miała pozostać na tronie przez nieco ponad pół wieku i ugiąć się przed kolejną rewolucyjną falą, która zakończyła rządy monarchów i zgodnie z zapowiedziami miała zaprowadzić w Iranie rządy Boga.

Kiedy jednak szach Reza zasiadał na tronie, nic nie wskazywało na to, że jego pomysł na Iran może się nie spodobać obywatelom. Szach nigdy oficjalnie nie ogłosił kierunku swojej polityki, ale niedługo po rozpoczęciu jego rządów stało się jasne, że zależy mu na modernizacji kraju i zmienieniu go w godny pokojowego konkurowania z zachodnimi mocarstwami.

Było to bardzo nowatorskie podejście, zwłaszcza że świat w tym czasie ogarnięty był wielką wojną, ale i w samym Iranie okazało się zadaniem karkołomnym.

Szach przejmował władzę nad krajem, w którym bogata była jedynie tradycja i historia, choć znajdował się na żyłę płynnego złota. Reza wiedział, że jednym z najważniejszych powodów, dla których Iran

pozostaje zacofany, jest uległość władz wobec duchownych. Walka z nimi stała się jednym z jego najważniejszych celów i – jak pokaże historia – również poważnym błędem.

Niezależnie od opinii namiestników Allaha w państwie przemianowanym z kojarzonej starożytnie Persji na nowoczesny Iran rozpoczęła się budowa kolei, która wkrótce miała połączyć wybrzeża Zatoki Perskiej i Morza Kaspijskiego. Kraj miała pokryć sieć autostrad, a pracę obywatelom zapewniały rosnące jak grzyby po deszczu państwowe fabryki. Symbolem rozwoju były zdobywające coraz większą liczbę początkowo sceptycznych klientów banki i domy towarowe.

Reformy skupiały się też na organizowaniu dostępnego dla wszystkich systemu sądownictwa i powszechnej edukacji. Symbolem nastawienia na edukację Irańczyków stało się spektakularne otwarcie wzorowanego na europejskich uczelniach Uniwersytetu w Teheranie.

Narzucono też zmiany społeczne, religijne i obyczajowe. Jednym z najgłośniejszych dekretów władcy był *kashf-e hidżab* – o całkowitym zakazie noszenia czadorów przez kobiety, co okazało się bardzo drastyczną zmianą dla wciąż jeszcze słabo wykształconego, konserwatywnego i głęboko wierzącego społeczeństwa. I nie ma wątpliwości, że stary szach Reza wprowadził ten zakaz głównie po to, by pokazać klerykom, gdzie jest ich miejsce. On widział je z dala od tronu, a najlepiej z dala od Iranu.

To nie był jednak jedyny nakaz króla dotyczący ubioru. Kilka lat po koronacji szach Reza udał się wraz z małżonką na pielgrzymkę do sanktuarium Fatima Masumeh w Qom. Doszło wówczas do incydentu, który choć z pozoru niegroźny, miał bardzo poważne skutki. Żona szacha odsłoniła w sanktuarium twarz, co spotkało się z bardzo surową krytyką jednego z duchownych opiekujących się świątynią. Obraził on w swym kazaniu żonę szacha, a ten nie miał zamiaru puścić tego płazem.

Następnego dnia kleryk został dotkliwie pobity. Ale szach nie zakończył na tym swojej zemsty. Niedługo potem ustanowił prawo nakazujące wszystkim obywatelom, w tym duchownym, noszenie ubrań w stylu zachodnim. Jedynymi, którzy się mu wymykali, byli szyccy prawnicy, ale tylko pod warunkiem, że zdali specjalny egzamin kwalifikacyjny. Nie trzeba chyba dodawać, że egzamin był pod ścisłym nadzorem ludzi szacha, a zdać mogli go tylko ci, którzy nie stanowili dla niego opozycji.

Nowe prawo rozzłościło duchownych i konserwatywnych wiernych do czerwoności, bo jakby mało było samego nakazu, szach zdefiniował rodzaj ubrań. I ewidentnie zrobił to celowo, by jeszcze bardziej boleśnie nadebrać im na odcisk. Mężczyźni musieli na przykład nosić kapelusze z rondem, które uniemożliwiały dotykanie czołem ziemi, co jest wymagane podczas muzulmańskiej modlitwy.

Duchowni mieli wiele innych powodów do gniewu. Musieli się pogodzić z tym, że kobiety kształcą się na uniwersytetach i nie ma kierunków, do których nie byłyby dopuszczane, ale wciąż nie zgadzali się na mieszanie płci, a szach z niezwykłą zaciekłością tępił wszelkie przejawy nieposłuszeństwa w tej kwestii. Kina, restauracje i hotele, które dopuszczały się segregacji lub dyskryminacji płciowej, musiały się liczyć z surowymi karami, a niektóre z nich pokazowo zamykano.

W meczetach wprowadzono zakaz siadania na podłodze i obowiązek używania krzeseł, co wydawało się nie mieć uzasadnienia, ale szach nigdy nie krył się z tym, że stanowione przez niego prawo nie jest pozbawione złośliwości wobec duchownych. Bardzo zirytowało ich też zezwolenie na przeprowadzanie sekcji zwłok, które było sprzeczne z doktryną nakazującą pochowanie zmarłego w ciągu doby po śmierci. Zresztą w kwestii żegnania zmarłych też wprowadził wiele niezgodnych z dotychczasową tradycją zmian.

Szach bez skrupułów dokręcał śrubę religijnym konserwatystom przez pierwszą dekadę swoich rządów. W ich szeregach wrzało i tylko kwestią czasu było, aż wybuchnie. W końcu władca doczekał się reakcji. W świątyni Imama Rezy w Mashadzie, drugim najbardziej zaludnionym mieście Iranu, wybuchła rebelia. Wiedziony przez duchownych tłum wywodzący się głównie z obszarów wiejskich zarzucał szachowi herezję, korupcję, wyzysk i żądał jego ustąpienia. Władzę oczywiście mieli przejąć duchowni.

Szach nie zamierzał tolerować takich afrontów. Bunt skończył się krwawą pacyfikacją, w wyniku której zginęło kilkadziesiąt osób. Sprawy eskalowały. Duchowni mogli teraz uznać szacha Rezę nie tylko za niewiernego, ale również za rzeźnika. Konflikt pomiędzy obiema stronami zaostrzył się do niespotykanego do tej pory rozmiaru. Ale Reza nadal jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Kontynuował demonstrację swojej niechęci wobec radykałów i niewykluczone, że właśnie z ich powodu stał się pierwszym od czternastu wieków władcą, który złożył wizytę społeczności żydowskiej Isfahanu, uważanej przez irańskich szyitów za wrogą. Pozwolił też irańskim Żydom na opuszczenie zamieszkiwanego przez nich do tej pory getta i zapewnił im asymilację ze społeczeństwem, uznając ich prawa.

Za tym, że nie był to akt miłości do Żydów, a kolejna próba zagrania na nosie klerykom, przemawiają pewne poszlaki. Kilka lat przed tym, jak Reza Pahlavi został królem, inspirował w Teheranie antyżydowskie incydenty, które miały mu pomóc w zdobyciu władzy. Nie zostało to jednak w pełni udowodnione, więc duchowni dostali do ręki argument do straszenia społeczeństwa – mogli mu wmawiać, że ich władca jest tak naprawdę Żydem, który chce ich zniszczyć.

O ile motywy działalności szacha Rezy często są przez historyków kwestionowane, o tyle trudno nie docenić jej efektów. To on wprowadził kraj na drogę rozwoju i sprawił, że ówczesne mocarstwa widziały w nim partnera do rozmów.

Szach Reza chciał zrobić z Iranu potęgę, a to nie było możliwe przy wciąż jeszcze rozbuchanych imperialistycznych zapędach Wielkiej Brytanii. Jego polityka musiała więc być w dużej mierze nastawiona na ucieranie Brytyjczykom nosa i ograniczanie ich wpływów w Iranie. Podobnie miały się sprawy z kontaktami ze Związkiem Radzieckim. Wprawdzie Sowietci zapewnili szacha, że nie będą sobie rościć praw do zbrojnej interwencji w Iranie, ale ani szach im nie uwierzył, ani – jak się później okazało – oni nie dotrzymali słowa.

Niespodziewanym sprzymierzeńcem Iranu stał się w tym czasie kraj, który miał dość podobny do Iranu status. On również chciał zbudować potęgę, również trawiły go ekonomiczne trudności i również miał na czele przywódcę z dyktatorskimi zapędami, choć nieco bardziej ekspansywnymi.

Szach Reza w latach trzydziestych ubiegłego wieku zawiązywał bliższe stosunki z wychodzącymi z potężnego kryzysu Niemcami, które w rękach wydzierającego sobie coraz większą władzę w kraju Hitlera budowały potęgę i (co jeszcze nie było oczywiste) szykowały się do wypowiedzenia światu kolejnej wojny.

Każdy z ruchów szacha mający na celu uprzykrzenie życia Brytyjczykom okazywał się korzystny dla Niemców. Kiedy na przykład oficjalnie w tym



czasie brytyjskie linie lotnicze Imperial Airways ubiegały się o możliwość rozpoczęcia lotów komercyjnych do Iranu, król zamknął przed nimi irańską przestrzeń powietrzną, niemal zaraz potem podpisując umowę na obsługę połączeń z Europą z niemiecką Lufthansą.

Wkrótce Brytyjczycy dostali od szacha kolejny cios. Reza anulował im koncesję naftową, co odcięło Imperium Brytyjskie od zysków z irańskiej ropy. I choć kilka lat później pod naciskiem Ligi Narodów musiał podpisać z nimi nowy kontrakt, ta decyzja poważnie odcisnęła się na obustronnych stosunkach, zwłaszcza że wszystkie nowe irańskie kontrakty adresowane były do Niemiec i Włoch. Brytyjczycy początkowo zaangażowali dyplomację. Stawka była bardzo wysoka. Dla państwa, które szykuje się do wojny, dostęp do paliw jest kluczowy, a o planach Hitlera mówiło się w Europie coraz głośniej. Szach Reza kompletnie się tym jednak nie przejmował, choć imponowało mu, że o jego względy zabiegają mocarstwa.

Kiedy sprawy stanęły na ostrzu noża, zmęczony negocjacjami ze znienawidzonymi Brytyjczykami i Sowiecami szach zamknął ambasady obu krajów w Iranie i zerwał z nimi stosunki dyplomatyczne, ostatecznie otwierając Niemcom drogę do zdominowania irańskiego rynku, z którego czerpali potężne zyski mające wkrótce sponsorować uruchamianą konsekwentnie machinę wojenną.

Choć oficjalnie Iran zachował neutralność podczas drugiej wojny światowej, w przededniu jej wybuchu Niemcy były dla szacha Rezy największym partnerem gospodarczym, co z pewnością wynikało bardziej z jego skrywanym mniej lub bardziej sympatii politycznych niż z interesu politycznego.

Tym samym Iran, choć bez wypowiedzenia wojny, stał się otwarcie wrogiem dla Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego. Oba niezbyt przyjazne sobie mocarstwa połączył dyktowany interesami sojusz. Dwa lata po rozpoczęciu drugiej wojny światowej Brytyjczycy i Sowieci przeprowadzili zupełnie niespodziewaną inwazję na Iran.

Szach nie był w stanie adekwatnie odpowiedzieć siłom dwóch potężnych mocarstw, nie miał też szans na uzyskanie wsparcia Niemiec, dla których po latach sukcesów na froncie nadchodziły czasy pierwszych klęsk. Władca poddał się już w szóstym dniu walk, zanim jeszcze wojska najeźdźców zdążyły wykroczyć poza pas przygraniczny. Wkrótce stało się jasne, że

stawka w tej inwazji jest znacznie wyższa niż tylko fortuna płynąca z irańskich pól naftowych, choć właśnie o nie tu chodziło.

Szach prowadził już wtedy z Hitlerem poważne rozmowy mające zapewnić Niemcom dostęp do paliw, co mogłoby znacząco wpłynąć na rozstrzygnięcie drugiej wojny światowej. Wpłynęło też na losy samego szacha. Brytyjczycy zmusili go do abdykacji i opuszczenia kraju. Pozornie miał wybór – mógł to zrobić, zachowując zapoczątkowaną przez siebie dynastię przy władzy, albo się postawić, co sprawiłoby, że Brytyjczycy przywrócą na tron dynastię Qajar, którą sam obalił.

Szach wyjechał i osiadł na znajdującym się pod protektoratem Imperium Brytyjskiego Mauritiusie, gdzie zmarł jeszcze przed końcem wojny. Jego miejsce miał zająć młodziutki, dwudziestodwuletni książę koronny Mohammad Reza Pahlavi.

*17 września 1941 roku, Teheran*

Młody następca tronu Mohammad Reza całe życie bał się swojego równie charyzmatycznego co okrutnego ojca. Żył w jego cieniu. Szykowany do roli następcy wcale nie czekał na moment, kiedy zasiądzie na tronie. Ojciec nieustannie go krytykował i zachowywał się tak, jakby wcale nie chciał, by chłopak kiedykolwiek go zastąpił. Nie był na to gotowy nawet wtedy, gdy jego abdykacja stała się faktem.

Szach Reza zarówno w polityce, jak i w podejściu do dzieci za zdecydowanie bardziej skuteczne uważał kary niż nagrody. Całkowicie dominował nad swoim najstarszym synem i sprawiał, że młody Mohammad – mimo królewskiego tytułu zapewniającego mu w przyszłości ogromną władzę – dorastał w braku poczucia własnej wartości. Był nieśmiały, małomówny i nad wyraz spolegliwy. Nic nie wskazywało na to, że w przyszłości sięgnie po wpływy, o jakich jego ojciec nawet nie marzył, a zdeklasuje go nawet swoim królewskim tytułem.

Stary szach decydował o wszystkim w życiu swojego syna nawet wtedy, gdy ten był już dorosły. Decyzje te nie zawsze można by skrytykować, wszak to on wysłał go na studia do Szwajcarii. Kultura tego kraju w sposób nieprawdopodobny wpłynęła na usposobienie księcia i bardzo widocznie odbija się na jego rządach, z czasem dostarczając też argumentów jego przeciwnikom, którzy w konsekwencji pozbawią go władzy. Młody książę

dosłownie zachłysnął się Szwajcarią, zakochał się bez pamięci w języku francuskim, a kulturę i sztukę tworzone przez Francuzów i francuskojęzycznych Szwajcarów uważał za wzór najwyższy i niedościgniony. Wybór Van Cleef & Arpels jako wykonawców korony dla jego przyszłej małżonki był tylko jedną z wielu emanacji tego niezwykłego uwielbienia.

Przyszły władca Iranu zdobył kompleksowe wykształcenie w prestiżowym Institut Le Rosey – znajdującej się w stolicy francuskiej części Szwajcarii elitarnej szkole z internatem, w której kształciły się dziesiątki późniejszych koronowanych głów i tysiące członków najznamienitszych rodów, takich jak Hohenzollernowie, Cavendishowie, Rotszyldzi, Rockefellerowie czy Radziwiłłowie.

Mohammad został do niej wysłany w wieku niespełna jedenastu lat i już początki w szkole udowodniły, jak bardzo nie był na takie wyzwanie gotowy. Przyzwyczajony do pokłonów składanych mu na każdym kroku w irańskich pałacach i wszędzie, gdzie tylko się pojawił, zażądał tego samego od swoich szkolnych kolegów. Nie znosił sprzeciwu i upierał się przy oddawaniu mu hołdu, co w końcu skończyło się bójką.

Jeden z amerykańskich uczniów dość dotkliwie wytłumaczył mu, ile znaczą jego książęce tytuły w demokratycznym kraju. Bardzo możliwe, że ciosy, które wtedy przyjął, nauczyły go znacznie więcej niż jakakolwiek późniejsza lekcja relacji międzyludzkich.

Inne lekcje też miały spory wpływ na jego późniejszą historię. Zakochany w twórczości Chateaubrianda i Rabelais'go z ogromną pasją zgłębiał tajniki francuskiej literatury, w które wprowadzał go niejaki Ernest Perron. Ta znajomość odcisnęła na nim ogromne piętno, a sam Perron stał się powodem pierwszej fali oburzenia, jaką wywołał młody książę po powrocie do swojego królestwa – bo wrócił właśnie z Perronem u boku.

Starszy o ponad dekadę Szwajcar zamieszkał wraz z księciem w Pałacu Marmurowym i od razu dał się poznać jako postać niezwykle kontrowersyjna. Bardzo elokwentny, czytany i ujmujący, stał się powiernikiem Mohammada, a w przyszłości jego dworzaninem i osobistym sekretarzem, co szybko stało się źródłem wielu domysłów. Perron nie ukrywał swojej homoseksualnej orientacji. Jego przyjaźń z szachem dla wielu była dowodem na to, że łączy ich coś więcej. Wśród dworzan, irańskich polityków i przeciwników księcia, a później szacha panowała

dość zgodna opinia o tym, że Perron jest uzurpatorem z manią wielkości, który ma zgubny wpływ na władcę, a do tego w perwersyjny sposób zwodzi szacha z drogi prawego muzułmanina i nakłania do grzechu.

Powstałe w czasie panowania szacha plotki znalazły ujście w książce *Ernest Perron, the Husband of the Shah of Iran* („Ernest Perron, mąż szacha Iranu”), szeroko publikowanej przez islamski reżim, gdy niedługo po obaleniu szacha istniała ogromna potrzeba obrzydzenia wszystkiego, co związane z monarchią. Już sam tytuł nie pozostawiał pola do interpretacji, ale choć treść książki nie niosła żadnej dodatkowej wartości, zdołała stworzyć narrację, w której szach nie tylko ciemnił i okradał naród irański, ale też próbował sprowadzić do swojego kraju modę na swobodę seksualną godzącą wprost w nauki islamu. Publikacja zawierająca mnóstwo dywagacji i pozbawionych dowodów twierdzeń na pewien czas stała się kluczowym tematem dyskusji w kraju rządzonym przez homofobicznych ajatollahów, którzy wkrótce mieli zacząć wieszać homoseksualistów na dźwigach ustawionych w najbardziej eksponowanych miejscach irańskich miast. Historycy w większości zgodnie twierdzą jednak, że propaganda Republiki Islamskiej nie miała żadnego umocowania w prawdzie. Szach Reza był homofobem i nigdy nie pozwoliłby Perronowi na zamieszkanie w Pałacu Marmurowym, gdyby istniał choć cień podejrzeń, że łączą go jakiegokolwiek stosunki intymne z jego synem.

Mimo podejrzeń o kontakty homoseksualne niedługo po powrocie ze Szwajcarii książę Mohammad Reza poślubił córkę króla Egiptu, księżniczkę Fawzię. Małżeństwo to było czysto politycznym układem. Zaaranżowali je ojcowie państwa młodych przy błogosławieństwie prezydenta Turcji, który widział w tej unii szansę na pokój w regionie.

Ślub odbył się w Egipcie, a teść Mohammada nie szczędził środków, by uczynić tę uroczystość godną pary książęcej. Pomiedzy młodymi nie było żadnej chemii. Byli nieprawdopodobnie stremowani i przytłoczeni ciężącymi na nich obowiązkami umacniania pokoju w regionie. Na miłość zabrakło tu miejsca.

Na Mohammadzie Rezie większe wrażenie niż sama żona zrobiły egipskie pałace, znacznie bardziej efektowne od tych irańskich. Choć nie był jeszcze szachem, to wtedy powziął decyzję, że pałace jego kraju będą równie efektowne. Plan ten wprowadził w życie już kilka lat później. Kiedy został królem, zmienił wybudowany przez swojego ojca Pałac Marmurowy

w prawdziwe dzieło sztuki, będące eklektyczną mieszanką irańskich motywów i jego europejskich fascynacji.

Choć z małżeństwa z egipską księżniczką urodziła się mała Shahnaz, szybko się okazało, że nie ma ono szans na przetrwanie. Małżonkowie nie byli dobrani w najmniejszym stopniu. Nie starali się nawet udawać, że łączy ich cokolwiek poza obowiązkami. Już kilka tygodni po ślubie książę widywany był w towarzystwie innych kobiet, a gdy informacje o tym zaczęły docierać do jego żony, przestał się z tym nawet kryć.

Na domiar złego jego dominująca i niezwykle zaborcza matka zaczęła ingerować w ich małżeństwo. Widziała w swojej synowej rywalkę. Upokarzała księżniczkę, a w konfliktowych sytuacjach Mohammad Reza zawsze stawał po stronie rodzicielki. W końcu czara goryczy się przelała. Po sześciu latach księżniczka Fawzia wróciła do ojczystego kraju i zgodnie z egipskim prawem rozwiodła się z młodym szachem. Według prawa irańskiego była jego żoną jeszcze przez kolejne trzy lata.

To w trakcie małżeństwa z Fawzią Mohammad Reza zupełnie niespodziewanie dla siebie został szachem i jego życie całkowicie się zmieniło. Choć sowiecko-brytyjska inwazja dała mu władzę, Mohammad Reza przeżył ją jako osobistą traumę. Widział bunt oficerów i liczne dezercje spowodowane niebezpieczeństwem ze strony obu mocarstw, a poddanie się, mimo że było efektem rządów jego ojca, przyjął jako osobistą porażkę i poprzysiągł, że podobna nigdy więcej się nie powtórzy. Ta deklaracja leżała u podstaw jego swoistej obsesji na punkcie inwestowania w obronność. Iran miał się wkrótce stać potęgą, przed którą zadrży świat. Taką, która dysponuje bronią nuklearną, choć ta wciąż jeszcze nie była w zasięgu żadnego państwa. Nawet Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, choć bardzo zaawansowane w pracach, nie odnotowały jeszcze ich finalnych efektów.

Irańska broń nuklearna będzie od tej chwili jednym z najgorętszych tematów podgrzewających światową politykę, choć prawdziwym zagrożeniem stanie się dopiero długie dekady później.

Mohammad Reza był w wielu kwestiach zdecydowanie mniej radykalny od swojego ojca. Zniósł na przykład jego słynny dekret *Kashf-e hidżab* i zarządził, że noszenie nakrycia głowy pozostaje wyłączną decyzją kobiety; nie jest ani nakazane – jak obecnie, ani zabronione – jak za czasów jego ojca. Choć w dalszym ciągu zależało mu na budowaniu nowoczesnego

państwa wolnego od wpływów radykalnego islamu, w podobny sposób złagodził wiele uderzających w religijne tradycje zarządzeń poprzedniego szacha.

Mimo to już pierwsze lata jego rządów przyniosły kilka prób zamachu na jego życie. I to tych ujawnionych, bo podobno przez wszystkie lata rządów władcy mogło być ich nawet kilkadziesiąt. Najbliżej sukcesu był Fakhr Arai, który zamierzył się na młodego szacha podczas dorocznej ceremonii upamiętniającej założenie Uniwersytetu w Teheranie. W jej trakcie zamachowcy udało się podejść do władcy na zaledwie kilka metrów i oddać w jego kierunku kilka strzałów. Jedna z kul przeleciała po twarzy Mohammada Rezy, raniąc go krwawo, ale szczęśliwie niezbyt poważnie. Lekarzom udało się zszyć ranę i uchronić króla od paraliżu. W późniejszych latach blizna po tym zamachu stała się niemal niewidoczna, choć nie ulega wątpliwości, że zaledwie kilka milimetrów dzieliło go od niechybnej śmierci.

Sprawca został zastrzelony na miejscu, co znacznie utrudniło dotarcie do zleceniodawcy zamachu. Nigdy go zresztą nie ustalono. Na celowniku znalazła się opozycyjna wobec monarchy komunistyczna partia Tudeh oraz fundamentalistyczna organizacja Fedaini Islamu. Władca miał wybór, kogo obarczyć winą, i za zdecydowanie bardziej niebezpieczną dla swoich rządów uznał Tudeh. Partia została natychmiast zdelegalizowana. Szach wciąż jeszcze nie doceniał islamistów jako prawdziwego zagrożenia. Uważał, że wróg wewnętrzny jest znacznie mniej niebezpieczny od tego sterowanego z zewnątrz, a partia Tudeh była wyraźnie inspirowana przez Sowietów. Bardzo się wtedy pomylił.

Po dziesięciu latach rządów młody władca postanowił ponownie się ożenić. Jedną z istotnych ku temu przesłanek był fakt, że choć miał córkę, zgodnie z wciąż obowiązującą tradycją nie miał komu przekazać tronu. Drugim powodem stała się ona – Soraya Esfandiary-Bakhtiary, przepiękna córka ambasadora Iranu w RFN, której matka była Niemką. Ich związek również odbił się szerokim echem. Wielu było takich, którzy podawali w wątpliwość oficjalny wiek Sorayi. Na dworze twierdzono, że dziewczyna ma osiemnaście lat, choć salonowi plotkarze dawali jej co najwyżej szesnaście. Miała być młodsza od swojego męża o połowę.

Choć parę połączyła prawdziwa miłość, na drodze do ich szczęścia stanął los. Okazało się, że Soraya jest bezpłodna i pomimo wielu starań nie jest

w stanie urodzić królowi dziedzica. Początkowo Mohammad nie chciał się z tym pogodzić i opłacał leczenie swojej żony, ale po wyczerpaniu wszelkich możliwości ówczesnej medycyny musiał się poddać. To był jedyny powód, dla którego para się rozwiodła, choć sam szach bardzo to przeżywał, o czym mówił wielokrotnie w późniejszych wywiadach. Wygłosił nawet oświadczenie, w którym nie krył poruszenia koniecznością przedłożenia dobra kraju nad własne szczęście. Po rozwodzie zadbał o swoją byłą żonę. Soraya do końca życia otrzymywała wysoką pensję i żyła wygodnie w Paryżu, mieszkając w wartej trzy miliony dolarów posiadłości, jeżdżąc rolls-royce'em i opływając w zbytki.

Czas małżeństwa z Sorayą był dla Mohammada Rezy trudnym okresem walki o utrzymanie władzy i pozycji. Lista jego wrogów znacznie się wydłużyła po decyzji o nacjonalizacji rafinerii naftowych, które teraz miały finansować wyłącznie Iran – bez udziału Wielkiej Brytanii i amerykańskich prób zastąpienia Brytyjczyków w czerpaniu korzyści z irańskich złóż. Nie brakowało mu też wrogów wewnętrznych, a że był uważany za władcę stroniącego od ryzyka i raczej tchórzliwego, wielu nie doceniało, na jak zręcznego polityka wyrósł. To właśnie wtedy Mohammad Reza zaczął przyjmować wizerunek „postępowego” szacha, reformatora, który miał zmodernizować Iran.

W swoich płomiennych przemówieniach atakował wspierany przez radykałów feudalny system społeczny, który nie tylko wyzyskiwał obywateli, ale też opóźniał postęp. I zawsze poruszał w nich temat równych praw dla kobiet. Nie trudno się domyślić, że takie podejście zdobywało mu wielu zwolenników, a kobiety wprost za nim przepadały.

Choć to mało popularna opinia, Mohammad Reza nie był jednak w tej kwestii wiarygodny. Był hipokrytą. Po pierwsze, prawa kobiet były jednym z elementów jego polityki nie ze względu na osobiste przekonania, ale dlatego że zbliżały Iran do Zachodu, jednocześnie oddalając go od wpływów szyickich duchownych. Po drugie, były one sposobem na popularność – kobiety stanowiły wszak większą część społeczeństwa. Nie miały wpływ na te działania miała też żona szacha Farah Diba, która była główną inicjatorką jego reform w kwestii uznania praw Iranek. To jej Mohammad Reza może zawdzięczać sławę szacha, który sprawiedliwie uznał prawa wszystkich obywateli, choć opinia ta jest bardzo daleka od prawdy.

Wbrew temu, co można byłoby wywnioskować z prowadzonej przez niego polityki, szach był szowinistą i mizoginem. Nawet jeśli przyznał kobietom prawa, te nadal mieszkaly w kraju, w którym za krytykę władzy idzie się do więzienia. Sprawiedliwie. Niezależnie od płci. A to, co władca naprawdę myśli o kobietach, jako pierwsza ujawniła słynna włoska reporterka Oriana Fallaci, która wiele lat później, gdy legenda szacha – obrońcy praw kobiet była już naprawdę silna, przeprowadziła z nim na wywiad. To właśnie w jego trakcie szach podzielił się z Fallaci kilkoma kontrowersyjnymi i niezbyt przystającymi do jego niemal feministycznego wizerunku opiniami.

**Fallaci: Jeśli istnieje monarcha, którego imię zawsze kojarzyło się z kobietami, to na pewno jest to Mohammad Reza Pahlavi, ale teraz zaczynam podejrzewać, że kobiety wcale się nie liczyły dla Waszej Wysokości...**

*Szach: Obawiam się, że twoje podejrzenie jest uzasadnione. Kobiety, wiesz... Ujmę to w ten sposób: nie lekceważę ich, o czym świadczy fakt, że wyniosły sporo korzyści z mojej rewolucji. Walczyłem usilnie o równe prawa dla kobiet. Włączyłem je nawet do armii, gdzie przechodzą sześciomiesięczne szkolenie wojskowe, zanim zostaną wysłane do wiosek, by walczyć z analfabetyzmem. Nie należy też zapominać, że jestem synem człowieka, który zdjął hidżaby z irańskich kobiet. Ale nie byłbym szczery, gdybym twierdził, że byłem pod wpływem jakiegokolwiek z nich. Nikt nie ma na mnie wpływu, absolutnie nikt. A już na pewno nie jakaś kobieta. W życiu mężczyzny kobiety liczą się tylko wtedy, gdy są piękne, pełne wdzięku i wiedzą, jak zachować kobiecość. Ten cały ruch wyzwolenia kobiet... Czego chcą te feministki? Czego ty chcesz? Równości? Rzeczywiście! Nie chcę wyjść na niegrzecznego, ale... Możecie być równe w oczach prawa, ale przepraszam, że tak mówię, nie dorównacie mężczyznom pod względem umiejętności.*

**Fallaci: Nie dorównamy?**

*Szach: Nie. Michał Anioł ani Bach nie byli kobietami. Kobietą nigdy nie był nawet żaden wybitny kucharz. I nie mów o nierównych szansach. Żartujesz? Czy kobietom faktycznie zabrakło szansy, aby zostać wybitnymi kucharkami? Niczego wielkiego nie stworzyłyście, niczego! Powiedz mi, ile kobiet zdolnych do rządzenia poznałaś podczas swoich wywiadów?*



**Fallaci: Co najmniej dwie, Wasza Wysokość. Golda Meir i Indira Gandhi.**

*Hm... Mogę tylko powiedzieć, że kobiety, kiedy rządzą, są o wiele bardziej bezwzględne od mężczyzn. O wiele bardziej okrutne. O wiele bardziej spragnione krwi. Mam na myśli fakty, nie opinie. Kiedy macie władzę, jesteście bez serca. Proszę tylko pomyśleć o Katarzynie Medycejskiej, o Katarzynie Wielkiej, o Elżbiecie królowej Anglii. Nie mówiąc już o waszej Lukrecji Borgii i jej truciznach, intrygach. Jesteście intrygantkami, jesteście złe. Wszystkie.*

Ten wywiad zszokował opinię publiczną z więcej niż jednego powodu. Ale zanim szach ujawnił swoją prawdziwą twarz, wciąż skrupulatnie budował wizerunek niesamowitego, wyposażonego w niemal mistyczne umiejętności, otwartego i nowoczesnego władcy, dla którego równość obywatelska jest najwyższym dobrem.

To też wkrótce miało się okazać kłamstwem, a Irańczycy z roku na rok zaczęli się o tym przekonywać w coraz bardziej bolesny sposób.



## ROZDZIAŁ 2

# Szachinszach

Wokół dwukrotnie rozwiedzionego władcy, który wciąż nie miał męskiego potomka, zaczęło się robić gorąco. Odżyły dawne podejrzenia o jego skłonności homoseksualne i nie mniej kompromitujące dla szacha przypuszczenia, że może być bezpłodny, choć miał już przecież jedno dziecko.

Jednocześnie kręciło się wokół niego sporo dobrze urodzonych kobiet gotowych podjąć się wyzwania, jakim była rola królewskiej żony i matki następcy tronu. Krytycy jednak uważali to wyłącznie za przykrywkę.

Szach zdawał się nie przejmować wrogimi dywagacjami i oddawał się uciechom w towarzystwie elity ówczesnego świata. Wśród kobiet, które z nim łączono, było wiele znanych wówczas hollywoodzkich gwiazd, między innymi nominowana do Oscara Gene Tierney, znana z blisko dwustu produkcji kinowych oraz telewizyjnych Yvonne De Carlo i seksymbol lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ulubiona aktorkę Viscontiego i Michałkowa, Silvana Mangano. Żadna nie spełniała jednak coraz bardziej wyśrubowanych wymagań władcy i jego doradców. Ci ostatni nalegali, by szach związał się z kimś z arystokratycznego rodu.

Na swoistej giełdzie panien na wydaniu pojawiła się akurat księżniczka Maria Gabriella z Sabaudii, córka zdetronizowanego króla Włoch Umberta II. Szach był poważnie zainteresowany poślubieniem jej, ale już same pogłoski o małżeństwie wywołały ogromne poruszenie we Włoszech. Watykańska gazeta „L'Osservatore Romano” uznała ten pomysł za „poważne niebezpieczeństwo”, a papież Jan XXIII kategorycznie się mu sprzeciwił, za powód uznając niemożliwą do pogodzenia wiarę katolicką księżniczki z wyznawanym przez szacha szyickim islamem. Jego zdania nie zmieniło nawet spotkanie z irańskim szachem, który w żaden sposób nie

jawił się jako szyicki fundamentalista. Choć oficjalnie Watykan temu zaprzeczał, istnieją przekazy dowodzące, że papież zagroził księżniczce ekskomuniką, a ta wolała nie ryzykować. Rozmowy na temat jej małżeństwa z irańskim władcą ostatecznie zerwano.

Wkrótce spekulacje na temat tego, kto zostanie towarzyszką życia władcy, ustały, a królewski dwór ogłosił Irańczykom, że nową żoną szacha zostanie ich rodaczka Farah Diba. Informacja ta wywołała umiarkowany entuzjazm opinii publicznej. Ale niedługo potem kandydatka na trzecią żonę zjednała sobie ludzi, stając się uosobieniem marzeń wielu młodych Iranek.

Farah Diba była piękna, młoda i przebadana przez lekarzy ginekologów, którzy zapewniali o jej zdrowiu i płodności. Trzecie małżeństwo bez następcy tronu byłoby zbyt wielką i trudną do wytłumaczenia rysą na reputacji władcy, dlatego w tym przypadku ryzyko, że para nie doczeka się potomstwa, ograniczono do minimum.

Jednym z efektów europejskich, a w szczególności francuskich fascynacji szacha Mohammada Rezy był program sponsorowania zagranicznych studiów obywatelkom i obywatelom Iranu. Najczęściej trafiali oni na uczelnie we Francji i Szwajcarii. Szach wierzył, że będzie w stanie zbudować w ten sposób nowoczesne, otwarte na świat społeczeństwo. Sam miał takie doświadczenie i nawet historycy krytyczni wobec władcy przyznają, że był to jeden z najbardziej świetlnych aspektów jego polityki, który przyniósł ogromne korzyści tysiącom młodych ludzi.

Jak się okazało, przyniósł też korzyści samemu władcy...

Podczas swoich zagranicznych wizyt szach często spotykał się z młodymi studentami, którzy korzystali z fundowanych przez irański skarbiec stypendiów. Zaszczytu rozmowy z nim oczywiście dostępowali tylko ci najzdolniejsi. To właśnie podczas wizyty władcy w irańskiej ambasadzie w Paryżu król poznał młodą studentkę architektury z École Spéciale d'Architecture.

Farah Diba od razu wpadła szachowi w oko. Po spotkaniu jego ludzie zagadnęli ją, a równolegle w Iranie rozpoczęły się zwyczajowe rozmowy z jej rodzicami. Młodziutka dziewczyna była mocno stremowana zapytaniem o to, czy zechciałaby się spotkać z szachem sam na sam, ale przystała na propozycję.

Potem już sprawy potoczyły się błyskawicznie. Od ich pierwszego spotkania do ślubu minęło zaledwie kilka miesięcy. Gdy tylko Farah

wróciła do kraju z dyplomem, zaczęła się regularnie spotykać z władcą. Trudno nazwać te spotkania typowymi randkami, bo miały charakter bardzo formalny, a ich celem było przygotowanie dziewczyny do nowej roli. Ich organizacją zaś ochoczo zajęła się dorosła już, zaledwie dwa lata młodsza od Farah, księżniczka Shahnaz, córka szacha z pierwszego małżeństwa z księżniczką Fawzią. Wkrótce potem zaowocowały one ogłoszeniem zaręczyn.

Stając na ślubnym kobiercu, Farah Diba miała dwadzieścia jeden lat. Jej przyszły mąż prawie drugie tyle. Ale to nie różnica wieku pary przykuwała największą uwagę zagranicznych mediów. Farah Diba w mgnieniu oka stała się jedną z najbardziej obserwowanych kobiet na naszym globie. Dla kraju, który miał ogromne ambicje, by być zauważonym, to ogromny sukces, choć oczywiście machina promocyjna irańskiego dworu miała w tym spory udział.

Niezależnie od tego wszyscy byli ciekawi przyszłej żony szacha, a ona nie zawodziła prasy, dostarczając jej kolejnych tematów do ekscytacji. Do chwili ślubu brytyjskiego księcia Karola i Diany to właśnie jej suknia ślubna była najbardziej podziwianą i najczęściej kopiowaną na świecie. Nie było wątpliwości, że to na nią będą zwracały uwagę media, dlatego ubiór przyszłej żony szacha stał się sprawą wagi państwowej. Suknię zaprojektował francuski kreator mody, sam Yves Saint Laurent, który w tym czasie stał na czele projektantów domu mody Dior.

Uszyta dla przyszłej cesarzowej kreacja była emanacją elegancji i klasy. Ważyła ponad dwadzieścia kilogramów, a wykonano ją z blisko czterdziestu metrów jedwabnej lamé ze srebrnym wątkiem, wysadzonej perłami, sześcioma tysiącami diamentów i dekorowanej dwudziestoma tysiącami piór marabuta. Całość została wyhaftowana perskimi motywami za pomocą cekinów, pereł i srebrnych nici. Misterne ornamenty pochodziły z legendarnego Atelier Rébé, które słynie z dzieł sztuki hafciarskiej tworzonych dla Yves'a Saint Laurenta i Diora, ale również takich domów mody jak Fath, Givenchy, Lanvin, Roger Vivier czy Balenciaga.

Same hafty stanowią niezwykle unikalną ozdobę sukni – tak cenną, że ich fragmenty znajdują się obecnie w kilku muzeach na całym świecie. Mimo tradycyjnych motywów zaklętych w samej tkaninie w swoim kształcie suknia była nowoczesna i wyprzedzała trendy. Jakby sama w sobie miała być symbolem dążeń Iranu, który nie chciał mieć wobec Europy żadnych

kompleksów. Bogato haftowana, pozbawiona była rękawów, miała prosty krój, z dekoltem w szpic. Dopasowano do niej skromny płaszcz, w którym Diba przez część ceremonii ukrywała zwłaszcza górną część kreacji. Miała też charakterystyczny obszyty piórami marabuta brzeg. W jego części, w niewidocznym dla postronnych miejscu, został wszyty niebieski talizman, który miał przynieść pannie młodej szczęście i zagwarantować powicie chłopca.

Również welon Farah miał bardzo symboliczny charakter. Miał wyrażać stosunek szacha i jego młodej żony do zasłaniania twarzy przez kobiety. Był zupełnie nieislamski – przezroczysty, w stylu europejskim, a twarz oblubienicy zasłaniał tylko przez krótką chwilę. Jego zwieńczeniem była specjalnie zaprojektowana na tę okazję tiara nazwana *Nur-ol-Ain* – „blask oka”. Nazwę tę zawdzięczała pochodzącemu z Indii historycznemu diamentowi, który stanowił jej główną ozdobę. *Nur-ol-Ain* był częścią większego diamentu, który przed wiekami przecięto na pół. Jego druga połowa, *Daria-i-Nur* – „morze światła”, również należała do szacha Iranu. Oprócz tego klejnotu tiarę zdobiło sporo ponad trzysta różowych, żółtych i białych diamentów. Całość ważyła około dwóch kilogramów, ale Farah zdawała się urodzona do jej noszenia.

*20 grudnia 1959 roku, Kākh-i Marmar –  
Pałac Marmurowy, Teheran*

Szach pojawił się w pałacowej Sali Luster z godną władcy pewnością siebie. Czasy, kiedy każde jego publiczne wystąpienie zdradzało treść, wyraźnie miał już za sobą. Ten dzień nie należał jednak do niego. Wszyscy czekali na spektakularne wejście Farah Diba.

Nie kazała na siebie długo czekać. Pojawiła się w rozświetlonej odbijanym przez tysiące luster blaskiem sali niedługo potem. Kroczyła w towarzystwie kilku ubranych na biało dziewczynek pomagających w utrzymaniu sukni ślubnej. I była absolutnie zjawiskowa. Filmy z tego wydarzenia są kiepskiej jakości i nadgryzione zębem czasu, ale nawet na nich Farah Diba wygląda zachwycająco.

Ceremonia zaślubin trwała niezwykle krótko i ograniczyła się do wstępu oraz przysięgi. Zgodnie z perską tradycją panna młoda milczała, gdy

dwukrotnie zapytano ją, czy chce poślubić szacha. Dopiero zapytana po raz trzeci powiedziała „tak”.

Na ślubny, niezwykle wystawny bankiet goście przenieśli się do pałacu Golestan. Było wśród nich sporo przywódców i członków rodzin królewskich, a nagrania i zdjęcia z uroczystości pokazały media na całym świecie. Wzorem koronacji królowej Elżbiety II – pierwszego tego typu wydarzenia transmitowanego w telewizji – ślub szacha również pokazano w irańskiej telewizji. Zainteresowanie nim okazało się zresztą tak wielkie, że można było uznać go za niewątpliwy dowód, iż wielkie marzenie szacha o uczynieniu Iranu ważnym graczem na arenie międzynarodowej jest na dobrej drodze do spełnienia. Zwłaszcza że miał teraz u boku doskonałą współpracowniczkę w tej misji.

Po ceremonii ślubnej para królewska spędziła miesiąc miodowy w Ramsar, małym miasteczku niedaleko Morza Kaspijskiego. Ten czas wystarczył nowej królowej na relaks. Niedługo po powrocie do Teheranu zaczęła się nudzić. Nigdy nie planowała dla siebie roli bezczynnej monarchini. Chciała zabrać się do pracy, robić coś bardziej znaczącego i trwałego niż tylko uczęszczanie na oficjalne przyjęcia i nadzorowanie dworu królewskiego. Miała wielki apetyt na zbudowanie własnego dziedzictwa, ale jej zapędy chwilowo wstrzymała radosna dla niej i nowo poślubionego męża wiadomość. Zaledwie dwa miesiące po ślubie Farah odkryła, że jest w ciąży. Radość była jeszcze większa, gdy na świat przyszedł długo wyczekiwany pierwszy syn i następca tronu szacha, książę Reza.

Po spełnieniu swojego obowiązku i powiciu następcy tronu Farah została matką jeszcze trzykrotnie, rodząc księżniczkę Farahnaz, księcia Ali Rezę i księżniczkę Leilę. Wszystkie dzieci rodziły się w niemal idealnie zaplanowanych trzyletnich odstępach, ale ich matka w międzyczasie nie próżnowała.

Farah Diba nie chciała być tylko ozdobą dworu. Skoro walczyła o emancypację kobiet w swoim kraju, a w mężu miała w tej kwestii mocnego sprzymierzeńca, przynajmniej nominalnie, chciała pokazać, że żony są nie tylko dodatkami do swoich małżonków.

Wykorzystując architektoniczne wykształcenie, bardzo angażowała się w kwestie rozwoju kultury i sztuki w Iranie, który dzięki niej do dziś posiada

jeden z najbogatszych zbiorów sztuki współczesnej – od Picassa po Pollocka i Warhola. Ufundowała też uniwersytet, konsultowała wygląd do dziś najbardziej znanego budynku w Teheranie Azadi Tower i angażowała się w działalność charytatywną. Ta ostatnia zdobyła jej uznanie w wielu krajach na świecie, w tym w Polsce, gdzie Farah przyznano Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski oraz Order Uśmiechu.

Choć szach Mohammad Reza sam nie przejął władzy w sposób gwałtowny i niepotrzebna mu była do tego rewolucja, nie byłby irańskim władcą, gdyby nie ogłosił własnej. Ponieważ była pokojowa i miała przynieść obywatelom mnóstwo korzyści, jego rewolucję nazwano białą. Zanim jednak ją zapoczątkował, przez ponad dwie dekady starał się kontynuować rozpoczętą przez ojca modernizację kraju i trzeba przyznać, że odniósł na tym polu spektakularne sukcesy. Stały się one jego dziedzictwem i jednocześnie przekleństwem, ostatecznie doprowadzając go do upadku.

Szach Iranu już na początku rządów zadeklarował, że nie dopuści do własnej koronacji, dopóki nie będzie w stanie zapewnić rozwoju i wzrostu swojemu krajowi. I obietnicy dotrzymał. Kiedy po dwudziestu latach w końcu zdecydował się na przyjęcie korony, tak tłumaczył swoją decyzję:

*Bycie królem biednego ludu nie jest powodem do dumy i satysfakcji, więc w przeszłości czułem, że ceremonia koronacyjna nie jest uzasadniona.*

Choć zmiany ekonomiczne zachodziły stopniowo, znacznie przyspieszyły po tym, jak szach został mężem Farah Diby i ojcem upragnionego męskiego potomka. Zupełnie jakby ktoś z ogromną siłą dmuchnął w jego skrzydła. Podmuch ten odczuli także obywatele.

Biała rewolucja obejmowała dwanaście królewskich edyktów, które zarządziły nacjonalizację lasów, reformę rolną, zapewniły kobietom prawa wyborcze oraz miały rozwiązać problemy związane ze zdrowiem publicznym i analfabetyzmem. Najbardziej znaczącym jednak był fakt, że szach skutecznie – i ostatecznie – zerwał z feudalizmem, który w Iranie okrutnie wyzyskiwał najbiedniejszych.



Zanim biała rewolucja nastąpiła w Iranie, przeprowadzono ogólnokrajowe referendum, w którym Irańczycy mieli możliwość wypowiedzieć się na temat propozycji swojego władcy. W Iranie, który również za rządów Pahlavich był dyktaturą, szach wcale nie potrzebował referendum, by zmienić prawo, ale jego wynik, którego zresztą Mohammad Reza był pewien, miał być jego legitymacją do działania mimo popiskiwanie niezadowolonych z planowanych zmian duchownych. Najbardziej przerażała ich oczywiście koniec możliwości wyzyskiwania Irańczyków, ale nie mniejszy sprzeciw budziły plany przyznania kobietom możliwości głosowania. We wspomnianym referendum kobiety nie mogły jeszcze głosować, ale zorganizowały w tym dniu głośną pokojową demonstrację poparcia dla szacha. Tłumnie zjawily się w lokalach wyborczych i okupowały kolejki do urn, pokazując tym samym potrzebę wprowadzenia tego prawa.

Zniesienie feudalizmu sprawiło, że wolność uzyskali wszyscy nieskazani wyrokami Irańczycy. Do tej pory blisko połowa obywateli i obywateli żyła w systemie niewolniczym. Szach zastąpił feudalizm kapitalizmem, sprzedając udziały w wielu państwowych fabrykach prywatnym inwestorom, co znacząco rozkręciło gospodarkę. Zaszczepił jednak w tym systemie odrobinę socjalizmu, bo prywatni przedsiębiorcy mieli obowiązek dzielenia się ze swoimi pracownikami piątą częścią zysków. Reformy wywołały w wielu obywatelach euforię, a w duchownych spodziewaną wściekłość, bo oto nie dość, że tracą zyski z niewolniczej pracy, to jeszcze szach wprowadza amerykański system rynkowy. W białej rewolucji widzieli wyłącznie demoralizację i sprzeniewierzenie islamowi, podsycane dodatkowo przez „Wielkiego Szatana”, czyli Stany Zjednoczone.

Kobiety uzyskały prawo do głosowania, a całe społeczeństwo zostało poddane masowej edukacji. Dwie trzecie Irańczyków nie umiało w tym czasie ani pisać, ani czytać. Szach uczynił edukację powszechną i obowiązkową. Stworzył kilka korpusów, których umundurowani członkowie mieli różne poważne zadania w służbie narodowi.

Korpus Literacki odpowiadał za edukację, zwłaszcza w regionach, w których było o nią najtrudniej.

Korpus Zdrowotny miał za zadanie dbać o zdrowie Irańczyków. Do tej pory dla wielu milionów z nich jakakolwiek opieka zdrowotna była zupełnie niedostępna.

Korpus Odbudowy i Rozwoju uczył mieszkańców wsi nowoczesnych metod oraz technik uprawy roli i hodowli zwierząt, dzięki czemu w ciągu zaledwie kilku lat produkcja rolna kraju się podwoiła.

Dzięki tym działaniom ustabilizowały się ceny, uregulowano koszt wynajmu mieszkań i lokali, wprowadzono europejski wzorzec miar, by zapewnić uczciwy handel i zapobiec oszustwom.

Liczba osób cierpiących z powodu ubóstwa zmniejszyła się drastycznie. Ci, którzy nadal je odczuwali, mogli skorzystać z licznych programów pomocowych, choćby takich jak ten zapewniający darmowe jedzenie samotnym matkom i ich dzieciom.

Mimo głosów duchownych, którzy próbowali radykalizować ludzi przeciwko reformom szacha, większość społeczeństwa jeszcze bardziej pokochała swojego władcę. Mohammad Reza zaskarbił sobie miliony zwolenników, wśród których nie brakowało głosów, że powinien przypieczętować ten sukces koronacją.

Ślub szacha z Farah Dibą był niezwykle wyjątkowym wydarzeniem, ale ich koronacja pozostawiła go daleko w tyle. Choć wciąż nie była najbardziej zapamiętaną uroczystością zorganizowaną przez szacha, w swoim czasie została odnotowana przez największe światowe media, i to z bardzo wielu powodów. Była obserwowana przez setki milionów widzów z niespotykaną ciekawością, zwłaszcza że odbywała się w kraju, na który wiele lepiej rozwiniętych państw wciąż patrzyło z góry.

*26 października 1967 roku, Kākh-e Golestān – pałac Golestan, Teheran*

Powiedzieć, że szach Mohammad Reza niechętnie zasiadał na tronie po abdykacji swojego ojca, to jak nie powiedzieć nic. Młody książę nie chciał być następcą swojego ojca, choć od początku był przygotowywany do tego, że kiedyś to nastąpi. Moment wstąpienia na tron kompletnie go zaskoczył, co spowodowało, że przyjmował obowiązki z jeszcze większą niechęcią. Ale z biegiem lat rozsmakował się we władzy i płynących z niej przywilejach. Z czasem coraz lepiej myślał o swoich rządach, aż w końcu nikt już nie musiał przekonywać go o jego własnej wielkości. Wpadł w jej manię, uważając się niemal za irańskiego mesjasza i porównując do założyciela Persji, legendarnego Cyrusa Wielkiego.

W tych porównaniach naprawdę się rozpędził. Marzył, by jego koronacja przypadła w dniu obchodów dwóch i pół tysiąca lat państwowości perskiej. Miało to ugruntować lansowaną przez jego propagandzistów teorię, że szach należy do starożytnej i czcigodnej linii królów perskich, poczynając właśnie od Cyrusa. Skojarzenie miało być jak najsilniejsze i niepodważalne, choć w kraju wciąż żyło jeszcze wielu, którzy pamiętali, jak ojciec szacha zapoczątkował dynastię, i wiedzieli, że na pewno nie miał nic wspólnego z wielkim królem sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Władca od dawna planował obchody uroczystości jubileuszu – miały być tak huczne, jakich świat jeszcze nie widział. Żaden inny kraj nie mógł się pochwalić monarchią sięgającą korzeniami do starożytności i wciąż będącą w pełnym rozkwicie. Nawet Grecja, którą wtedy jeszcze rządził król. Jego koronacja przy tej okazji miałaby dodatkową moc, ale ostatecznie zdecydowano się na zorganizowanie tych imprez osobno.

Na tej decyzji zaważyła angielska królowa Elżbieta II. Szachowi bardzo zależało, by przybyła ona osobiście na obchody jubileuszu, ale nie było na to szans, gdyby odbyła się na nich również koronacja, ponieważ wśród monarchii europejskich obowiązywała niepisana zasada mówiąca, że panującego władcy nie zaprasza się na koronację innego. Oczywiście wiele koronowanych głów, jeśli chciało, omijało tę regułę. Elżbieta II jednak nie chciała. Biorąc pod uwagę trudną historię stosunków brytyjsko-irańskich, nie było możliwości, by stanęła w szeregu z pozostałymi gośćmi na koronacji króla, który w żaden sposób nie był związany z wielusetletnimi monarchiami.

W wizji szacha obchody miały być najhuczniejszą i najbardziej zdumiewającą uroczystością, jaką kiedykolwiek zorganizowano na świecie, a żeby faktycznie takie były, nie mogły się obyć bez obecności przedstawicieli innych monarchii. Dlatego ostatecznie koronacja i obchody zostały zorganizowane osobno. I o ile ta pierwsza uroczystość była usankcjonowaniem niepodzielnej władzy szacha, o tyle druga stała się koronnym nomen omen argumentem przeciwników władcy i jednym z powodów jego zguby.

Koronacja szacha Mohammada Rezy Pahlawiego finalnie przypadła na dzień jego czterdziestych ósmych urodzin. Była ukoronowaniem nie tylko dosłownym, ale również bardzo symbolicznym. W licznych wywiadach udzielonych później szach podkreślał, że to wydarzenie miało zakończyć

okres trudnych reform i zapoczątkować świetlaną przyszłość Iranu. I choć los milionów obywateli faktycznie znacząco się dzięki polityce szacha odmienił, to tak naprawdę wciąż nie można było mówić o dobrobycie Irańczyków, a kryzys już czyhał za rogiem.

Szach zdawał się jednak wierzyć w swoją wersję wydarzeń i właśnie tę opowiadał światu. A opowieść zaczął od epickiego spektaklu stworzonego dla uczczenia koronacji swojej i pierwszej w historii kraju cesarzowej.

Jak już wspomniano, zarówno szach, jak i jego małżonka byli pod ogromnym wrażeniem koronacji królowej Elżbiety II, która przykuła uwagę świata kilkanaście lat wcześniej. Mohammad Reza nie chciał mieć w tej kwestii żadnych kompleksów, dlatego program własnej koronacji w wielu punktach zbliżył do tego brytyjskiego.

W dniu uroczystości punktualnie o dziewiątej rano piętnaście batalionów reprezentujących różne jednostki Cesarskich Sił Zbrojnych przemaszerowało z koszar Bagh-i Shah, aby zająć różne pozycje w eksponowanych miejscach centrum Teheranu. Nieco ponad godzinę później para cesarska opuściła specjalnie stworzonym na tę okazję w Wiedniu powozem Pałac Marmurowy Kākh-i Marmar i udała się w kierunku Kākh-e Golestān – pałacu Golestan, gdzie małżonkowie weszli przez północną bramę i udali się do Sali Lustrzanej, znacznie mniej imponującej od tej w Pałacu Marmurowym, gdzie wzięli ślub. Dlatego uroczystość miała odbyć się w położonej obok efektownej Sali Muzealnej, zachwycającej lśniącymi żyrandolami zawieszonymi pod sklepionym sufitem i pokrywającymi podłogi perskimi dywanami. Sala została odnowiona i urządzona specjalnie na tę okazję. Najpierw wszedł do niej siedmioletni wtedy następca tronu książę Reza i usiadł po lewej stronie Pawiego Tronu. Zaraz za chłopcem do sali wkroczyła jego matka, królowa Farah, na którą czekało miejsce po prawej stronie. Na końcu pojawił się szach.

Pawi Tron jest najśłynniejszym symbolem irańskiej monarchii, choć tak naprawdę został ukradziony Indiom przez szacha Nādira, który podbił je i ograbił w pierwszej połowie XVIII wieku. Do Teheranu przywieziono go z Delhi. Oryginalny tron zbudowany dla cesarza Mogołów szacha Jahāna był jednym z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek stworzono.

Stał na złotych stopach wysadzanych klejnotami, wspartych na podstawach w kształcie dwóch otwartych pawich ogonów, złożonych, emaliowanych i wysadzanych diamentami, rubinami oraz innymi kamieniami. Prowadziło do niego kilka szczerosrebrnych stopni. Do jego stworzenia wykorzystano blisko półtorej tony czystego złota najwyższej próby i ponad dwieście kilogramów cennych kamieni. Jego wartość wynosiła dwa razy więcej niż kwota, jaką wydano na budowę słynnego Tadż Mahal.

Zanim szach Nādir wywiózł tron z Indii, kazał wykonać jego wierną kopię, ale niedługo po przywiezieniu go do Persji stracił go w wojnie z Kurdami, którzy prawdopodobnie zdemontowali go, pozbawili kamieni szlachetnych i przetopili. Pawi Tron z czasem odtworzono. Choć nie ma pewności, czy zrobiono to wiernie, pozostawał centralnym insygnium wszystkich perskich dynastii.

Gdy wszyscy członkowie rodziny królewskiej oraz zebrani goście zajęli swoje miejsca, rozpoczęła się ceremonia. Najpierw przywódca piątkowej modlitwy w Teheranie, Sayyid Hassan Emami, wyrecytował werset z Koranu po arabsku, wygłosił kazanie i wręczył szachowi świętą księgę islamu, którą ten ucałował.

Władza szacha nie mogła pochodzić od nikogo poza Bogiem, co do tego wszyscy się zgadzali, ale na tym też zgoda się kończyła. Szach, który przez cały okres swoich rządów balansował pomiędzy konfliktami z duchownymi a próbą utrzymania ich po swojej stronie – a przynajmniej nierobienia z nich swoich wrogów – musiał dać jasny sygnał, kto w tym układzie rozdaje karty. Nie mógł pozwolić, bo którykolwiek z kleryków był w tym symbolicznym akcie wykonawcą boskiej woli. Nawet zaprzyjaźniony Sayyid Hassan Emami. To dlatego Emami podał mu koronę, ale na tym jego rola się skończyła. Mohammad Reza podniósł ją obiema rękami, obracając ostrożnie, tak aby największy klejnot, z którego wystawały pióra, był skierowany do przodu, i umieścił ją na swoich skroniach. Następnie ujął królewskie berło i przy salucie z armaty wstąpił na tron.

Ten akt przypieczętował jego władzę nad Iranem, ale rozeźlił radykałów. Nawet ci, którzy nie sprzeciwiali się zbytnio jego polityce, widzieli w tym sposobie koronacji policzek wymierzony w religię. Szach zakwestionował władzę namiestników Allaha, a ci użyli tego do radykalizacji wiernych. Chwilę później dostarczył im jeszcze jednego antyislamskiego argumentu. Już jako koronowany władca, *shahinszach* – król królów – koronował

również swoją żonę. I tak Farah Diba została *szachbanu* – pierwszą i jak się miało okazać, ostatnią irańską cesarzową.

Na domiar złego w swojej przemowie koronacyjnej szach wypowiedział słowa, które wielu zinterpretowało jako próbę upokorzenia duchowieństwa:

*Moim szczególnym celem będzie zachowanie religii i umocnienie jej podstaw. Ponieważ za jeden z najskuteczniejszych sposobów jedności narodowej i wzmacniania ducha irańskiego społeczeństwa uważam pełne umocnienie podstaw religii.*

Już samo założenie sobie korony na głowę zostało odebrane jako potężne nadużycie wobec duchownych i islamu. Gdy podobnie zrobił Napoleon Bonaparte, pomijając w swojej koronacji papieża, głosy oburzenia nie cichły. I nie tylko wśród duchowieństwa. Krytykowały to również koronowane głowy, uznając taki sposób koronacji za akt uzurpatorstwa. I choć w krytyce zachowania szacha często przywoływano Napoleona, nikt poza szyickimi duchownymi nie widział tu podobieństw. Ale już jego przemowa utwierdziła wszystkich w przekonaniu, że to zaplanowany akt mający na celu pokazanie, kto rządzi Iranem. Władca oficjalnie oświadczył w niej przecież, że ochrona islamu jako państwowej religii leży w rękach szacha, a nie duchownych. Wielu z nich uznało tę deklarację za poważną zniewagę. Jedną z tych zapisanych na długiej liście oskarżeń wobec szacha.

Na tym jednak skończyła się tego dnia wielka polityka. Przyszedł czas na wielkie przedstawienie. Po zakończeniu ceremonii *szachinszach* i *szachbanu* w wolnym przemarszu zaprezentowali się wiwatującym tłumom i milionom widzów zebranych przed telewizorami. Ich koronacyjna procesja prowadziła przez ogrody pałacu Golestan, gdzie rozwinięto nieskazitelnie czerwone dywany i wzniesiono trybuny dla około pięciu tysięcy widzów, a potem przy dźwiękach salutów i entuzjastycznych wiwatów zakochanych w szachu i jego żonie Irańczyków z powrotem ulicami Teheranu do Pałacu Marmurowego.

Ucieranie nosa duchownym nie skończyło się jednak na aktach podczas ceremonii koronacyjnej. Choć szach nie chciał legitymizować władzy duchownych nad swoją, musiał udowodnić rodakom, że nie oznacza to

wyrzeczenia się islamu, co fundamentalni klerycy, zirytowani postawą władcy, zaczęli powszechnie głosić.

Sześć dni po ceremonii koronacyjnej szach odwiedził Meszhed w Mab'at – święto upamiętniające dzień, w którym Mahomet doświadczył pierwszego objawienia. Szach zademonstrował tam swoją pobożność, spotykając się z kilkoma przychylnymi mu duchownymi. To miał być kolejny sygnał, że jest on nie tylko przywódcą Iranu, ale i duchowym przywódcą swoich wyznających szyityzm rodaków.

W szeregach radykałów wrzało. Koronacyjne i pokoronacyjne demonstracje władcy znacząco ich zjednoczyły. Temperatura wciąż się podnosiła. Przeciwnicy króla inspirowani przez przebywającego na wygnaniu Ruhollaha Khomeiniego zaczęli dystrybucję ulotek, których treść oskarżała szacha o związki z Izraelem i sprzeniewierzenie się zasadom islamu, a także wieściła zgubę Iranu, jeśli ten pozostanie w rękach „sługi szatana”. Choć koronacja z reguły jest początkiem, w przypadku szacha Mohammada Rezy była początkiem końca.

Moja babcia, opowiadając o czasach rządów szacha, zawsze płakała. Pamiętam, jak jej oczy najpierw robiły się szkliste, później czerwone, a potem po jej policzkach spływały łzy. Dla niej były to piękne wspomnienia. Nie wiem, czy dlatego że faktycznie była wtedy szczęśliwa, bo mój dziadek siedział za czasów Mohammada Rezy w więzieniu, czy może patrzyła przez pryzmat tego, co islamiści zrobili z Iranem, kiedy go obalili. A może po prostu wracała pamięcią do swojej młodości, co zawsze powoduje rozrzewnienie.

Wiem jednak na pewno, że Farah Dibę wprost uwielbiała. Kiedy została żoną szacha, babcia miała zaledwie osiem lat i głowę pełną marzeń. Dla niej piękna królowa była postacią z bajki. Zachwycającą, nierealną, a jednak tak bliską. Babcia nie różniła się w kwestii tej graniczącej z obsesją fascynacji od swoich rówieśniczek. Farah Diba była ucieleśnieniem marzeń i symbolem sukcesu, ale przede wszystkim dowodem na to, że wszystkie irańskie dziewczynki mogą ten sukces osiągnąć, nawet jeśli na ich głowy nie trafi korona. W czasie, kiedy babcia była mała, nikomu nawet nie przyszło do głowy, że koronę w niedalekiej przyszłości zastąpią zawiązywane siłą czadory.

Babcia wymusiła na swoich rodzicach, by zabrali ją na uroczystości koronacji. Zresztą należeli oni do monarchistów i raczej nie trzeba było ich przekonywać do wiwatowania na cześć władcy. Ulice Teheranu wypełniały tego dnia takie tłumy, że trudno było cokolwiek dostrzec, ale babcia zawsze twierdziła, że uniesiona na ramionach swojego taty widziała parę cesarską. Może faktycznie ją widziała, a może była to projekcja dziecięcej wyobraźni, ale owo wspomnienie pozostało z nią na zawsze. I ożywało za każdym razem, gdy po rewolucji islamskiej działo się coś, co boleśnie udowodniało, że pełen nadziei kraj, w którym się urodziła, w momencie gdy jej życie chyliło się ku końcowi, przestał istnieć.

Moi rodzice byli tylko o rok od niej młodszy, gdy tłumy na ulicach Teheranu oznaczały coś zupełnie innego niż w tamtym pamiętnym dniu. Szacha i jego pięknej żony nie było już w Iranie. I nic w tym kraju nie było bajkowe.

Na czarno-białej fotografii z początku 1979 roku, ostatniej zrobionej szachowi i jego żonie w Iranie, widać spory tłum mężczyzn podążających za parą królewską. Szach i cesarzowa Farah idą na niej w kierunku samolotu na lotnisku Mehrabad w Teheranie, z którego za chwilę odlecą do Egiptu. Żadne z nich nie wróci już do swojego kraju. Oficjalnie władca wyjeżdża na leczenie. Cierpi na chłoniaka, chorobę, z którą potajemnie walczył przez kilka lat, ale wciąż nie wiadomo dokładnie, kiedy ją u niego zdiagnozowano, czy był świadomy, jak jest poważna, ani kto z jego bliskich o niej wiedział.

Niezależnie jednak od tego szach był podobno przekonany, że wyjeżdża, by wrócić. Miał już w swojej historii podobną ucieczkę. Wtedy w powrocie pomogli mu Amerykanie, którzy nadal go wspierali – i mieli w tym swój polityczny interes. Najpierw jednak władca musi podreperować swoje zdrowie, a to niestety się nie udaje. Nieco ponad rok później po koniecznej operacji śledzony odejdzie z tego świata w wieku zaledwie sześćdziesięciu lat.

Kiedy fotograf uchwycił go idącego z żoną i swoją świtą do samolotu, nie mógł tego wiedzieć, ale szach i tak wygląda na tym zdjęciu na złamanego, nieco zagubionego, jakby chciał spytać, czy to się dzieje naprawdę. Jego krocząca obok małżonka, ubrana w elegancki płaszcz, futrzaną czapkę



i szal oraz wysokie skórzane obcasy, sprawia zupełnie odwrotne wrażenie. Jest pełna godności i pewności siebie. Jej uderzająca elegancja, która – gdyby tylko futrzane elementy ubioru były sztuczne – z powodzeniem mogłaby się sprawdzić również współcześnie, jest nie tylko symbolem dotychczasowego statusu. Farah Diba w odróżnieniu od męża zdaje się już znać swoją przyszłość. Doskonale wie, że na emigracji to na niej spocznie ciężar walki o dobre imię dziedzictwa irańskiej monarchii, której stała się częścią, a która wraz z wyjazdem rodziny Pahlavi przechodzi do historii. Los wkrótce obsadzi ją w roli świadka historii i obrończyni dobrego imienia ostatniej dynastii Iranu.

Farah Diba była pierwszą współczesną monarchinią na Bliskim Wschodzie, pierwszą, która dostała przydomek Królowej Ludzkich Serc. Wpływała na życie ludzi w taki sam sposób, jak kilkadziesiąt lat później będzie to robić Diana. Utorowała drogę przyszłym kobietom z królewskich rodów takim jak królowa Rania z Jordanii i szejka Moza bint Nasser z Kataru. Rozumiała, że poprawa życia Irańczyków dotyczy nie tylko dostępu do żywności, opieki zdrowotnej i edukacji, ale także ochrony ich godności i celebrowania kultury. Była w egzekwowaniu tego podejścia niezwykle konsekwentna.

Była wyjątkowa, ponieważ reprezentowała to, co najlepsze w byciu Iranką: inteligencję, elegancję i zadziorność. Wielu Irańczyków, choć mało który się do tego przyznaje, po ponad czterdziestu latach nieludzkiej teokracji tęskni za królem. Ale Iranki takie jak moja babcia i mama tęsknią przede wszystkim za swoją królową.

Ja, dorastając, żyłam jej legendą, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak świat, który opisywały moja babcia i mama, mógł kiedykolwiek istnieć. Wszystko, co widziałam dookoła, było zupełnie inne. A z biegiem lat stawało się coraz gorsze.

Byłam świadkiem tego, jak zniknął mój tata. Zabrali go na moich oczach. Mamy nie było wtedy w domu, ale pamiętam, jak za nim płakała. Na początku nie potrafiła nic zrobić. Babcia, która wraz z aresztowaniem mojego taty straciła syna, zacisnęła zęby i dzielnie opiekowała się mną i mamą. A ona leżała i patrzyła w sufit, nieustannie płacząc. Po jakimś czasie wróciła do pracy i znowu zaczęła zajmować się domem. Ale nigdy nie przestała płakać za tatą.



## ROZDZIAŁ 3

# SAVAK

Moja rodzina, choć bardzo zżyta, była dość poważnie podzielona politycznie. Nie były to podziały, których doświadczają ludzie z krajów demokratycznych, optujący za tą czy inną partią. W czasach szacha albo się go popierało, albo nie. Oczywiście wśród tych, którzy go nie popierali, byli tacy, którzy po prostu nie mogli znieść rozpasania, jakim coraz częściej charakteryzował się jego dwór, oraz tacy, którzy swoją niechęć podsycali jeszcze wpływami sowieckich komunistów. Sowietów dość skutecznie zaszczepiali w przeciwnikach monarchii swoją fikcyjną ideę socjalistycznej równości społecznej, w której każdy jest sobie równy i każdy w tej równości szczęśliwy.

Ci, którzy oparli się wpływom komunistów, często wpadali w sidła islamskich radykałów. Ci zaś tłumaczyli, że kraj pod rządami szacha nie jest miejscem, jakiego życzył sobie Allah, i każdy prawomyślny szyita powinien dążyć do obalenia wroga islamu zasiadającego na Pawim Tronie.

Na te nastroje nałożył się postępujący kryzys ekonomiczny, który wielu obywatelom teorię demagogów udowodnił w praktyce. Władza z reguły jest winna złej sytuacji gospodarczej w kraju, choćby próbowała na wszelkie sposoby temu zaprzeczać, więc Irańczycy coraz częściej kierowali swój gniew w stronę szacha, zwłaszcza że już w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych początkowy zachwyty reformami związanymi z białą rewolucją drastycznie osłabł. Oczywiście wielu Irańczyków wciąż na niej korzystało, ale szalejąca w kraju inflacja zaczęła poważnie zubażać społeczeństwo. W kluczowym momencie sięgnęła nawet pięćdziesięciu procent, a szach zdawał się średnio zainteresowany jej zwalczaniem.

Rosło niezadowolenie społeczne, a wraz z nim pojawiły się represje. Irańczycy zaczęli się coraz boleśniej przekonywać, że szacha nie można

krytykować, choć coraz częściej mieli powody do krytyki.

Mój dziadek zmarł na początku lat dziewięćdziesiątych, rok przed moim narodzinami, ale dobrze znam jego historię. Babcia często o nim opowiadała. Na co dzień wspominała raczej o jego zwyczajach. Na przykład gdy ktoś sładził herbatę, zawsze informowała go, że dziadek wsypywał do swojej pół szklanki cukru. Gdy za drzwiami słyhać było czyjeś kroki, mówiła, że dziadek też chodził tak głośno. I wszędzie gasiła światło... bo dziadek też tak robił.

O jego poglądach dowiedziałam się, dopiero kiedy dorosłam, od mojej mamy, która bardzo dziadka lubiła. On ją zresztą też. Często mówił, że jego syn nie mógł znaleźć lepszej żony. Dziadek uwielbiał moją mamę, ale szacha Mohammada Rezę szczerze nienawidził. Był w tej kwestii bardzo radykalny. Jego uczuć nie zmieniło nawet to, co z Iranem zrobili fundamentalisci po wybuchu rewolucji islamskiej. Ich też nie znosił, ale za głównego winowajcę narodowej – i osobistej – tragedii i tak uważał szacha Pahlawiego. „Gdyby nie doprowadził tego kraju do finansowej ruiny i nie wypuścił na ulice tych psów z SAVAK, to islamskie prostactwo nigdy nie zdobyłoby władzy”, mawiał w złości. I być może miał sporo racji.

Dziadek częściej jednak obwinał szacha o swoją osobistą sytuację niż o to, co nastąpiło po jego obaleniu. Szalejąca inflacja pozbawiła go zatrudnienia w fabryce. Przez lata pracował w teherańskiej rafinerii National Iranian Oil Company. To było koło napędowe dla całej irańskiej gospodarki, więc pracujący tam ludzie z reguły mieli zapewniony godny byt i choć nie opływali w zbytki, nie musieli też martwić się o utrzymanie. Tonąca gospodarka spowodowała, że nawet w najbardziej lukratywnej gałęzi irańskiego biznesu konieczne były zwolnienia.

„Wszystko wydał. Wszystko! Całą ropę nam sprzedał... Nic nie zostało!”, wściekał się dziadek i choć nie miał racji w kwestii ropy, bo tej wciąż nie brakowało, budżet państwa rzeczywiście świecił pustkami, a szach był głównym winowajcą tej sytuacji. Wydatki kraju zaczęły poważnie przekraczać jego dochody. Szach zupełnie bez pamięci trwonił pieniądze na własne kaprysy – popisywanie się przed Zachodem, zbrojenia, które miały odstraszać potencjalnych wrogów w regionie, i promowanie Iranu w mediach światowych. To wydawało mu się zdecydowanie ważniejsze niż rozwój gospodarczy. W ostatniej dekadzie swoich rządów jakby kompletnie stracił nie tylko umiejętność oceniania faktycznej sytuacji, ale też umiar

we wszystkim, co robił. Niezadowoleni ludzie przestali mu się jawić jako obywatele, którym należy poprawić byt – byli w jego oczach wrogami, których należy tępić. I było ich coraz więcej.

„Uzurpator!”, wyzywał dziadek, choć podobno był to jeden z najłagodniejszych epitetów pod adresem władcy. Babcia z reguły tego nie komentowała, bo polityka nigdy nie leżała w kręgu jej zainteresowań, choć gdy mąż stracił pracę, a ona zmuszona była wziąć nadgodziny w fabryce dywanów i pracować praktycznie na dwa etaty, odczuła trudną sytuację na własnej skórze. Sama pochodząc z bardzo biednej rodziny, która akurat na reformach szacha sporo skorzystała, nie miała o nim tak złego zdania. Nie rozumiała, co się stało, że po latach prosperity nagle bieda znowu zajrzała do ich domu, ale czasami, gdy dziadek wyzywał szacha od „uzurpatorów”, zabierała głos.

– Mówisz, jakby to tobie koronę odebrał – skwitowała kiedyś drwiąco.

– Mało jesz, głupio gadasz – zirytował się dziadek. – Jego ojciec to zwykły żołdak. Obalił szacha, a Brytyjczycy wsadzili go na tron. Przecież żaden z niego arystokrata...

– A to trzeba być arystokratą, żeby dobrze rządzić?

– Nie trzeba, ale on rządzić nie potrafi, a pieniądze wydaje, jakby oszalał!

– A co ty tam wiesz... Pracowałeś, to było dobrze... A dzięki komu pracę miałeś?

– Dzięki sobie! – upierał się dziadek.

– Gdyby w Teheranie nie zbudowali rafinerii, pracy byś nie miał. Pewnie jak twój ojciec szlifowałbyś bruki. Wdzięczności trochę! Wielu ludziom jedzenie na stół położył.

– Bo niektórzy to tylko nazreć się potrzebują, a i tak nadal głupi – skomentował po swoim dziadek. – Dał im pracę, oni przyzwyczaili się do pieniędzy, a potem im ją odebrał.

Ewidentnie mówił tu o sobie. Żył w przekonaniu, że jego niepowodzenie jest winą władcy, zupełnie jakby ten osobiście zwolnił go z rafinerii. Trudno dziś rozstrzygnąć, które z nich miało w tej dyskusji rację, a w zasadzie należałoby ją przyznać obojgu. Prosperity Iranu była niewątpliwą zasługą szacha, a jego kryzys w bardzo dużej mierze jego winą.

Mój tata miał dwa lata, gdy któregoś dnia dziadek zaginął. Dopiero kilka dni później babcia się dowiedziała, że trafił do więzienia. Poinformowali ją o tym funkcjonariusze służby znanej w Iranie jako SAVAK. Przyszli do ich

domu i bez skrupułów, nie zważając na małe dziecko czy przerażenie mojej wtedy młodziutkiej babci, splądrowali go w poszukiwaniu dowodów, które mogłyby obciążyć dziadka podczas dochodzenia w jego sprawie.

*Sâzemân-e Ettelâ'ât va Amniat-e Kešvar* – Organizacja Wywiadu i Bezpieczeństwa Kraju, czyli Irańska Służba Wywiadowcza, znana pod złowieszczym skrótem SAVAK – budziła strach u wszystkich, którzy nie pałali miłością do szacha i próbowali dać tej niechęci wyraz. Ta tajna milicja złożona z tysięcy specjalnie wyszkolonych i pieczołowicie dobranych pod względem lojalności wobec władcy funkcjonariuszy zajmowała się cenzurowaniem prasy, książek i filmów, inwigilacją przeciwników politycznych oraz torturowaniem więźniów.

Metody SAVAK były równie prymitywne co okrutne. Jeśli więzień wpadał w ich ręce, rażenie prądem, u mężczyzn często podłączanym do krocza, biczowanie, bicie, wbijanie w ciało stłuczonego szkła i wlewanie wrzątku do odbytnicy, ekstrakcja zębów i paznokci były na porządku dziennym. W ostatniej dekadzie rządów paranoja szacha związana z jego możliwym obaleniem rosła z każdym dniem. Władca widział wrogów dosłownie z każdej strony. Uważał, że jego opozycja na lewicy pochodzi z – jak to nazywał – „czerwonego zagrożenia”, partyzantów, którzy dostają wskazówki od komunistów z Moskwy. To było argumentem koronnym, dzięki któremu udało mu się zaangażować w sprawę Amerykanów. Aby uniknąć rewolucji w Iranie, która mogłaby zmienić korzystny w tym czasie dla Stanów Zjednoczonych układ sił, Amerykanie pomogli sfinansować powstanie SAVAK, a CIA wyszkoliło jego funkcjonariuszy w metodach rozwiązywania trudności z problematycznymi jednostkami, w tym w stosowaniu tortur.

Na tym etapie szach czuł jednak zagrożenie nie tylko ze strony komunistów. Na prawicy też miał mnóstwo wrogów. Tych jednak bał się nieco mniej. Być może dlatego, że przez lata udawało mu się bezkarnie ich pacyfikować i upokarzać, a poza tym wydawało się, że nie są inspirowani zewnątrz. Nazywał ich dla odmiany „czarnym zagrożeniem”. Miał na myśli oczywiście przedstawiciele muzułmańskiego kleru i konserwatywnej części społeczeństwa z tendencjami do islamskiego fundamentalizmu.

Wraz ze zwiększającym się poziomem zagrożenia dla władzy Mohammada Rezy nasilały się działania SAVAK. Milicja stawała się coraz bardziej okrutna, a w więzieniu Evin w Teheranie, w którym znajdował się główny ośrodek tortur

SAVAK, nieustannie rosła liczba osadzonych. W szczytowym momencie szacowano ją nawet na cztery tysiące osób, choć propaganda po rewolucji islamskiej mówiła o znacznie większych liczbach. Prawda jest jednak taka, że choć szach niewątpliwie rozpoczął poważne represje w Iranie, nie da się ich w żaden sposób porównać do tego, co robili i robią jego następcy.

Funkcjonariusze SAVAK nie znaleźli w mieszkaniu mojego dziadka niczego, co mogłoby im pomóc w oskarżeniu go o działania wywrotowe. On nie był systemowym wrogiem władzy, tylko niezadowolonym obywatelem z niewyparzonym językiem, nie zagrażał szachowi. Ale władcy paranoicznie bojący się strącenia z tronu nie dostrzegają takich subtelnych różnic.

Odwiedziny w Evin w ogóle nie były dozwolone. Ta zasada zresztą obowiązuje do dziś, choć w różnych okresach pozwalano na widzenia, często po to, by przy okazji dowiedzieć się czegoś więcej o osadzonych i ich współpracownikach.

Od chwili, gdy babcia usłyszała, że dziadek trafił do więzienia, nie wiedziała, co się z nim dzieje. Czy wciąż żyje i jak to się stało, że w ogóle tam trafił. Poza chłodną informacją o aresztowaniu nie przekazano jej niczego, nie odpowiadano na żadne pytanie.

Nieco ponad pół roku po zniknięciu dziadka w drzwiach mieszkania stanął niski mężczyzna o sinej, ziemistej, jakby trupiej cerze. Stał chwiejnie i patrzył w podłogę, jakby bał się podnieść wzrok. Był zapadnięty w sobie i zgarbiony tak, że wydawał się o głowę niższy od siebie sprzed zaledwie kilku miesięcy. W pierwszym momencie babcia w ogóle go nie poznała. Dopiero po dłuższej chwili dojrzała w tym zabiedzonym człowieku swojego męża.

W końcu dziadek podniósł głowę, powoli, ostrożnie, jakby ten ruch sprawiał mu ból. Ze łzami w oczach spojrzał w twarz swojej zaskoczonej żony. Ona sama stała jak sparaliżowana, targana przez ogromne emocje. Złość, radość i strach kłębiły się w niej jednocześnie. Tylko ich mały synek nie miał wątpliwości, że to szczęśliwa chwila, i rzucając się z radością w ramiona ojca, wyrwał go z emocjonalnego letargu. Widząc to, babcia też się rozpłakała. Podeszła do męża, a ten przytulił ją z całych sił, które w nim pozostały.

– Myślałam, że już cię nie zobaczę... – wyszeptała, pozwalając ujść emocjom.

– Bałem się tego każdego dnia – odpowiedział.

Ten dzień spędzili niemal w milczeniu. On bała się pytać, on jeszcze długo nie chciał mówić. Nawet ich mały synek zachowywał się tak, jakby rozumiał powagę sytuacji. Wtulony w oboje, trwał w ciszy.

Na rozmowy przyszedł czas kilka dni później, kiedy dziadek doszedł już nieco do siebie i powoli zaczął się przyzwyczajać do tego, że znowu jest na wolności.

– Jak to się stało, że cię zamknęli? – w końcu babcia zadała wiszące nad nimi pytanie.

Okazało się, że dziadek nie był typowym więźniem politycznym, a w swoim aresztowaniu miał spory udział. Oczywiście gdyby sytuacja, w której trafił w ręce milicji, miała miejsce w kraju demokratycznym, prawdopodobnie już następnego dnia spałby w swoim łóżku, ale wszystko działo się w kraju rządzonym przez żyjącego w paranoi dyktatora, który nie znosił słów krytyki.

W czasach szacha picie alkoholu w Iranie nie było bardzo powszechne, bo nadal stało w sprzeczności z religią, więc dla wielu muzułmanów stanowiło zakazaną praktykę. Nie ścigano go jednak prawnie, bo zasady wywodzące się z religii nie były formalnie prawem państwowym. Szach, próbujący wprowadzić pod swoimi rządami europejskie zwyczaje, nie uważał, że to właśnie alkohol jest największym problemem w jego kraju. I tak tylko niewielki procent jego rodaków miał skłonności do picia, znacznie więcej było uzależnionych od haszyszu, co również dziś, mimo bardzo surowego prawa w tej kwestii, dotyczy sporej liczby Irańczyków.

Faktem jest, że wraz z rosnącymi w Iranie wpływami Sowietów, którzy odrzucali religię, a jednocześnie nie widzieli w picciu alkoholu niczego zdrożnego, zwyczaj ten zaczął się upowszechniać. Nie można jednak powiedzieć, by Irańczycy pili na umór.

Po wybuchu rewolucji irańskiej i obaleniu szacha reżim całkowicie zakazał obywatelom spożywania alkoholu i ścigał każdego, kto ten zakaz łamał. Zabroniona została produkcja alkoholu, do tej pory dozwolona obywatelom niewyznającym islamu. Zamknięto nieliczne funkcjonujące w miastach knajpki, a obywatele zatrzymani pod wpływem zaczęli trafiać do więzień. W przypadku



recydywy amatorom napojów wysokokowych groziła nawet kara śmierci. Ostatniej egzekucji na osobie kilkakrotnie złapanej pod wpływem alkoholu dokonano w 2020 roku w więzieniu w Mashadzie.

Mój dziadek lubił być na rauszu i nie stronił od alkoholu, choć jeśli już pił, to raczej wino. Wiem, to wciąż alkohol, ale dla niego miało to znaczenie polityczne, bo wódkę jego zdaniem pili tylko komuniści, do których mimo swej niechęci do szacha nie chciał się zaliczać.

Przy kieliszku zdarzało mu się odreagowywać trudy codziennej pracy w rafinerii, a gdy przestał w niej pracować, alkohol pomagał mu radzić sobie z nową, trudną rzeczywistością. Czasami radził sobie z nią nazbyt intensywnie.

Tak właśnie było tamtego feralnego dnia, kiedy odurzony zbyt dużą ilością wina nie był w stanie wrócić do domu o własnych siłach. Niewiele z tego pamiętał, ale prawdopodobnie przysiadł na ławeczce, by odpocząć, i zasnął. Obudził go regularny patrol milicji. Panowie nie byli zbyt mili i zapakowali dziadka do radiowozu. Trzeźwiejąc, domagał się odwiezienia do domu albo przynajmniej uwolnienia. Brak reakcji milicjantów coraz bardziej go irytował, a krążący we krwi alkohol rozwiązał mu język i napytał prawdziwej biedy.

– Wypuście mnie! Psy pierdolone! Pracujecie dla tego uzurpatora! Dla tego zdrajcy! Złodzieja! Natychmiast mnie wypuście! – pohukiwał.

Milicjanci szybko się zorientowali, że mają do czynienia z jednostką wymykającą się ich jurysdykcji. To nie był zwyczajny pijak, który miał pecha, że się na nich napatoczył. Nie mieli wątpliwości, że słowa o uzurpatorze skierowane są pod adresem szacha.

Dziadek został sklasyfikowany jako „element niebezpieczny” i jeszcze zanim zdążył wytrzeźwieć, trafił w ręce funkcjonariuszy SAVAK. Ci byli przekonani, że mają do czynienia z jednym z lewicowych aktywistów, którzy domagają się obalenia reżimu szacha. Dziadek, owszem, szacha nie lubił, ale nigdy nie domagał się jego obalenia. Nie był ideowcem, tylko niezadowolonym obywatelem, prostym człowiekiem, który widział świat zero-jedynkowo. Jako zwolniony z pracy robotnik pałał złością do opływającego w zbytki szacha, ale na tym kończyła się lista powodów do tej niechęci.

Członkowie SAVAK jednak nie byli znani z rozstrzygania zawilości. Oni też byli prości, a w swojej misji wręcz prostacy. Wyrażona głośno krytyka szacha wystarczyła, by uznać mojego dziadka za wroga monarchii i skazać na więzienie. Oczywiście SAVAK, jako jednostka militarna, nie miała władzy, by samoistnie skazywać obywateli, ale tak jak obecnie, tak i wtedy kara była wymierzana, zanim jeszcze udowodniono winę. O prawach podejrzanego nie ma w Iranie mowy. To odróżnia dyktaturę od demokracji.

Tortury i przeszukanie w domu dziadka miały dostarczyć dowodów na to, że nie działał sam. Ale mimo wysiłków SAVAK musiała w końcu dać za wygraną i uznać, że w jej ręce wpadł zwykły robotnik z niewyparzonym językiem i skłonnościami do nadużywania alkoholu.

Dziadek jednak dopiero po odsiadce w Evin stał się prawdziwym wrogiem szacha i do końca swojego niezbyt długiego życia nie odpuszczał żadnej okazji, by powiedzieć, co o nim myśli. Nauczony jednak doświadczeniem nigdy nie mówił tego poza ścianami swojego domu. Kiedy szach został obalony, głośno klaskał z radości, choć nie był piewcą idei, które głosili wroddy Pahlaviemu komuniści ani religijni fundamentaliści. Wkrótce losy naszej rodziny miały nam wszystkim pokazać, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

Dziadek mówił, że nie wierzy w Boga, bo „Bóg nigdy nie wierzył w niego”. Według prostych miar stosowanych w Iranie miejsce osoby składającej podobną deklarację było jedynie w szeregach komunistów, a więc wrogów nie tylko obalonego szacha, ale i nadchodzącego reżimu. Babcia, widząc zmiany w kraju, była przerażona, ale nawet obowiązek noszenia czadoru, którego mimo niespełna trzydziestu lat nigdy wcześniej na sobie nie miała, nie przerażał jej tak bardzo jak nieszczęście, jakie swoimi poglądami może sprowadzić na rodzinę jej mąż.

Najbardziej bała się konfrontacji dziadka ze znaczną częścią naszych bliskich krewnych. Siostra babci, ciocia Farzaneh, i jej mąż, wujek Mohsen, należeli do gorących zwolenników rewolucji islamskiej. Nic więc dziwnego, że babcia drżała przed każdym spotkaniem w rodzinnym gronie. Początkowo dziadek znajdował nawet wspólny język ze swoim szwagrem, bo obaj świętowali ucieczkę szacha, ale gdy wybory w kraju wygrali islamiści, a ajatollah Khomeini sfałszował napisaną przez siebie konstytucję i został *Velayat-e to Faghi* – Najwyższym Przywódcą, nastąpił poważny

rodzinny rozłam, który mógł się skończyć dla mojego dziadka, a może nawet i babci tragicznie.

Islamski reżim wymagał donoszenia na wrogów rewolucji, a w oczach fundamentalistów takich jak wujek Mohsen i ciocia Farzaneh dziadkowie do takich należeli. Ich relacje znacząco się ochłodziły, choć nadal spotykali się podczas głównych islamskich świąt i starali nie dotykać tematów politycznych. Tak było do czasu, gdy wujek Mohsen wstąpił do *Sâzmân-e Basij-e Mostaz'afin* – Związku Mobilizacji Uciemężonych, potocznie znanego w Iranie pod złowrogą nazwą Basij. Wtedy jego poglądy stały się jeszcze bardziej radykalne, a rozwiązania problemu „wrogów rewolucji” wyłącznie krwawe. Zmiana była tak radykalna, że nawet ciotka Farzaneh zaczęła się obawiać. Wujka coraz częściej brakowało podczas rodzinnych spotkań. W trakcie ostatniego pokłócił się z dziadkiem do tego stopnia, że babcia była pewna rychłego aresztowania w ich domu. Nie była jedynie pewna, czy zabiorą tylko jej męża, czy również ją. W tym czasie o aresztowaniu kogoś z grona rodziny, przyjaciół czy sąsiadów słyszało się niemal na każdym kroku. Po tym, jak wściekły wujek Mohsen zabrał ciotkę i wybiegł z domu swojego szwagrostwa, babcia zdawała się przygotowana na przeprowadzkę do Evin.

– Jak ty, Mohsen, mogłeś dołączyć do tych półgłówków? – spytał dziadek, z miejsca prosząc się o kłopoty. – Przecież oni ten kraj podpala i zniszczą do reszty!

– Jak możesz tak mówić o patriotach? – odparł wujek, wciąż jeszcze spokojnie, jakby z pozycji niewinnie oskarżanej o zło ofiary.

– Patriotyzm nie polega na tym, by ścigać, pakować do więzienia i zabijać współobywateli...

– To wrogowie rewolucji! – podniósł głos wujek.

– Rewolucji, a nie kraju! Ta rewolucja to największe zło, jakie się przydarzyło Iranowi. Większe nawet od szacha, a wiesz, jak tego psa nienawidzę... Zwalczacie ludzi za to, że się z wami nie zgadzają, nie za to, że nie kochają swojego kraju.

Wujek Mohsen zbliżał się do krawędzi. Tylko słowa o nienawiści do szacha powstrzymywały go przed ostatecznym wybuchem.

– Sam mówisz, że Pahlavi to pies!

– No, i dobrze, że go obaliliśmy!

– Rewolucja go obaliła. Teraz dopiero mamy prawe rządy!

– Nie. Ludzie go obalili, a islamiści przejęli władzę. I robią to samo, co szach, tylko znacznie okrutniej.

– Nie znasz się na polityce – wujek próbował zbić dziadka z tropu.

– A ty się znasz? Wiesz tyle, ile ci wmówili fanatycy. Czy od kiedy rządzi ten pajac w turbanie, żyje wam się z Farzaneh lepiej? Nie dość, że bieda w kraju aż piszczy, to jeszcze Irak wojną grozi. To ma być ta wspaniała przyszłość, jaką obiecali ci ajatollahowie?

– Pod opieką Allaha nic nam nie grozi! – zagrmiał wujek Mohsen, który nie miał już więcej argumentów. Wiedział, że dziadek ma rację, mówiąc o biedzie, w jaką popadła ich rodzina po obaleniu szacha. Wcześniej nie należeli do bardzo majątnych, ale w wyniku skoku inflacji po rewolucji głód zajął do większości irańskich domów.

– Jeśli będziemy liczyć na Allaha, Basij wszystkich nas pozabija...

Te słowa już bezpośrednio uderzały w to, w co wujek Mohsen wierzył najbardziej – w Basij i samego Boga.

– Uważaj, co mówisz, bo marnie skończysz! – wrzasnął.

– Mohsen! – zareagowała ciocia Farzaneh, obawiając się tego, czego nie dało się już zatrzymać.

– Zamknij się i ubieraj! – zarządził wujek. – Wychodzimy!

Dziadek tymczasem nie dawał za wygraną.

– Co to znaczy, bracie? Ściągniesz tu tych swoich krwiopiców, którzy biorą odwet za swoje niepowodzenia na najbiedniejszych?

– Ostrzegam cię! – warknął Mohsen.

Chwilę później znalazł się za drzwiami domu, w którym dziadkowie mieszkali z moim tatą, a który wiele lat później stał się moim domem.

– Musiałeś się z nim pokłócić? – zapytała babcia ze łzami w oczach, gdy tylko zostali sami.

– Ty też...?

– Co ja też? Jeśli uważasz, że dołączyłam do Basij, to chyba oszalałam!

– Nie musisz do nich dołączać, żeby być po ich stronie – zirytował się dziadek.

– Nie jestem po ich stronie, dobrze o tym wiesz. Jestem po stronie rozsądku, a tobie wyraźnie go brakuje. Oni wyprali Mohsenowi mózg. Kto wie, czy zaraz nie zjawią się tu jacyś fanatycy, żeby nas zaaresztować. Pomyślałeś, co wtedy stanie się z Aminem?

Dziadek nie potrafił odpowiedzieć na ten argument. Oczywiście, że o tym nie pomyślał. Rzadko myślał o czymkolwiek, gdy angażował się w swoje polityczne tyrady. Mój kraj uważa mężczyzn za tych rozsądnych, tych, którzy dbają o dobro rodziny i zapewniają jej byt, ale takie sytuacje jak ta były na porządku dziennym. W milionach rodzin mężczyźni bawili się w wojnę i wielką politykę, a kobiety po tych zabawach sprzątały albo płaciły za nie cenę, nierzadko bardzo krwawą.

– Jedyna nadzieja w mojej siostrze... – westchnęła babcia.

Faktycznie tylko ciocia Farzaneh mogła powstrzymać zapędy wujka Mohsena. I sądząc po tym, że przez kolejne miesiące żaden strażnik rewolucji nie zapukał do drzwi moich dziadków, udało się jej to.

Ciocia była w tej historii postacią prawdziwie tragiczną. Ona zapłaciła za rewolucję islamską najwyższą cenę, choć babcia zawsze mówiła, że w głębi duszy nigdy jej nie popierała.

– Poszła za nią, bo Mohsen tak chciał, ale on przecież wychował się w tym samym domu co ja – tłumaczyła ją. – Widziała, jak dobrze zaczęło się nam żyć po tym, jak szach wprowadził swoją rewolucję, i jak koszmarным miejscem stał się Iran, gdy nastąpiła rewolucja ajatollaha.

To było kilka miesięcy po kłótni dziadka z wujkiem Mohsenem. Niedługo po tym, jak wybuchła wojna z Irakiem. Przez cały ten czas rodziny nie kontaktowały się ze sobą. Dziadek z wujkiem nie mieli już o czym rozmawiać, a siostry nie chciały zaognić konfliktu.

Był wyjątkowo gorący dzień na początku października. Ciocia Farzaneh wyszła z domu zawinięta w swój czarny czador i ruszyła na targ, by zdobyć jedzenie dla siebie i dzieci. Razem z wujkiem mieli ich piątkę. Po tym, jak wujek dołączył do armii i został wysłany na front, ich wychowanie i wyżywienie spadło wyłącznie na bezrobotną ciocię. Starła się z całych sił zapewnić im normalne dzieciństwo, ale dorywcze, fatalnie opłacane prace i wyprzedawanie wszystkiego, co miało jakąś wartość, nie starczyły na wiele.

Upał i pośpiech sprawiły, że kobieta przystanęła na chwilę, by poprawić czador. W zacisznej bramie zsunęła nakrycie z głowy i ramion, powiewając nim, by się nieco ochłodzić. Chwilę później założyła go ponownie, szczelnie owinęła nim głowę i zasłoniła jego poły.

Wiele jest w naukach islamu tekstów mówiących o konieczności zasłaniania się kobiet przed obcymi mężczyznami, choć gros z nich pozostawia sporo wątpliwości co do tego, czy faktycznie taki nakaz obowiązuje. Najczęściej cytowanym fragmentem Koranu w tym temacie jest ten:

*O Proroku! Powiedz swoim żonom i swoim córkom, i kobietom wierzących, aby się szczelnie zakrywały swoimi okryciami. To jest najodpowiedniejszy sposób, aby były poznawane, a nie były obrażane. A Bóg jest przebaczący, litościwy!*<sup>1</sup>

Jeśli nawet przyjmiemy, że zasłanianie się jest obowiązkiem muzułmanek, nie ma w pismach dokładnych wskazówek, jak powinno to wyglądać, dlatego kobiety wyznające islam robią to na bardzo różne sposoby.

Czador jest typowym dla Iranek sposobem przestrzegania *hidżabu*. Wbrew powszechnej opinii *hidżab* to bowiem nie tylko zasłona, ale również zbiór dotyczących ubioru zasad nałożonych na muzułmanki. Samo słowo *hidżab* to w dosłownym tłumaczeniu „ochrona” lub właśnie „zasłona”, a w praktyce oznacza chustę lub welon zasłaniający głowę. Różne kraje przyjmują jednak własne, uzasadnione kulturowo podejście do *hidżabu*.

W talibańskim Afganistanie obowiązują burki, które są najbardziej radykalnym islamskim strojem. Kobiety znikają tu pod swoistym namiotem, często niebieskim, z małą siatką w miejscu twarzy, która znacznie ogranicza widzenie.

W nowoczesnych krajach nosi się *abaje* – luźne płaszcze, najczęściej czarne, zupełnie gładkie, ale czasami też bogato zdobione, jak choćby w krajach Zatoki Perskiej. Niekiedy kobiety zakrywają głowę luźną *shallą* lub właśnie *hidżabem*. Bardziej konserwatywne muzułmanki noszą też zasłonę na twarz, która znana jest jako *kwef* lub *jaszmak*.

Jest też *czarszaf* – tak nazywają go Turcy, ale wśród muzułmanów znana jest również nazwa *chimar*. To określenie stroju, który nie zakrywa twarzy, ale zasłania głowę, ramiona i górną część ciała, kończąc się tuż nad talią. Wraz ze specjalną spódnicą w tym samym kolorze stanowi jeden z popularnych tradycyjnych strojów islamskich. Jego jednoczęściową wersją jest właśnie irański *czador*, czyli płaszcz spływający od głowy do samej ziemi.

Choć wszystkie wymienione stroje są elementami *hidżabu*, nie są tożsame i naprawdę bardzo się od siebie różnią.

Kiedy babcia odwiedziła swoją siostrę w szpitalu, musiała się domyślać połowy z tego, co ta chciała jej opowiedzieć. Gdy po poprawieniu czadoru

ciocia ruszyła w dalszą drogę, dwóch młodocianych islamistów chlusnęło jej w twarz kwasem. Odruchowo krzyknęła zdjeta niewypowiedzianym bólem, a wtedy część płynu dostała się do jej gardła. Poparzenia jamy ustnej i przełyku uniemożliwiły jej wyraźne mówienie. Ciocia nie widziała twarzy napastników, wiedziała tylko, że byli młodzi i było ich dwóch.

Kwas, którym została oblana, działał bardzo szybko. Niemal natychmiast straciła wzrok i już nigdy go nie odzyskała. Ból odebrał jej świadomość – do szpitala trafiła nieprzytomna. Przez kilka kolejnych tygodni lekarze utrzymywali ją w śpiączce farmakologicznej. Dopiero gdy się z niej wybudziła, można było ją odwiedzić.

Jej dzieci były jednak na to za małe. Mąż był na froncie. Rodzina męża odmówiła wizyty u kobiety, która nie nosi czadoru w islamski sposób – bo tylko na twarzach takich kobiet lądował w tym czasie kwas. Jediną bliską osobą, która mogła odwiedzić ciocię, była jej siostra, moja babcia.

To był łamiący serce widok. Po pięknej, gładkiej twarzy cioci Farzaneh pozostało tylko wspomnienie. Kwas dosłownie ją stopił, teraz była pokryta zaognionymi bąblami. Nawet po wielu tygodniach ciocia wyglądała koszmarnie. Koszmarnie też cierpiała. Leki przeciwbólowe, które łykała całymi garściami, przestały działać i musiała zaakceptować nieustępliwy tępy ból na twarzy i w gardle. Do tego potwornie schudła, bo nie mogła jeść.

– Nie dają mi lustra... Masz może przy sobie lusterko? – wyszeptała z trudem.

– Nie mam – skłamała natychmiast babcia.

– Nie możesz kogoś poprosić? – nalegała ciocia.

– Kochanie, nie zajmuj się teraz takimi błahostkami...

Babcia nie wiedziała jeszcze, że ciocia nie widzi. Jej oczy były wprawdzie zasłonięte bandażem, ale to równie dobrze mógł być po prostu opatrunek. Ciocia chyba w tym czasie też nie miała pełnej tego świadomości. Może zaskoczona sytuacją nie połączyła faktów, zapomniała, że by móc się zobaczyć, potrzebuje oczu, a te już nie były sprawne. A może też myślała, że w widzeniu przeszkadza jej wyłącznie łatwy do zdjęcia opatrunek. Może się oszukiwała, a może postradała zmysły i nie umiała już logicznie ocenić rzeczywistości.

– Poproś o lusterko... – powtórzyła błagalnym szeptem.

Babcia postanowiła spełnić jej prośbę, jednak po rozmowie z pielęgniarką zrozumiała, że jej siostra nigdy już niczego nie zobaczy. Zresztą widok prawdopodobnie by ją przeraził...

– Pani siostra jedynie z pomocą Boga uniknęła śmierci, ale ta wciąż na nią czyha – powiedziała pielęgniarka.

– Jak to? Przecież żyje... Wybudziła się ze śpiączki.

– Nie powinnam o tym mówić, musi pani porozmawiać z lekarzem – zakończyła krótko kobieta.

Babcia jednak nie dawała za wygraną.

– Proszę... Proszę mi powiedzieć... Siostra ma tylko mnie...

Pielęgniarka spojrzała na nią łagodnie. Wahala się jeszcze przez chwilę.

– Podczas upadku doznała poważnego urazu głowy. Wciąż ma tętniaka. Wprawdzie można byłoby go zoperować, ale wszyscy chirurdzy z naszego szpitala zostali skierowani na front – powiedziała i zniżając głos, dodała: – Wydano rozkaz, by operować tylko mężczyzn zdolnych do służby. Kobiety muszą poczekać.

Ciocia Farzaneh nie doczekała się ratunku. Trzy tygodnie później tętniak w jej głowie pękł i rozlał się krwią po mózgu, w kilka chwil pozbawiając ją życia. Po jej śmierci cała piątka mojego kuzynostwa trafiła pod opiekę brata wujka Mohsena. Nigdy ich nie poznałam.

Fakt, że ciocia Farzaneh była żoną radykalnego członka Basij, walczącego w imię islamskiego reżimu z przeciwnikami rewolucji, a na froncie z Irakiem – ani nawet to, że sama popierała zmiany – nie uratował jej przed fanatyzmem irańskich islamistów. To był najgorszy ze wszystkich skutków zmian, jakie zaszły, od kiedy Iranem zaczęli rządzić duchowi przywódcy. Ludzie stali się wrogami dla siebie nawzajem. Nie potrzebowali innych. Ajatollahowie do perfekcji doprowadzili zasadę „dziel i rządź”. Podzielili Irańczyków do tego stopnia, że większość z nich nawet nie zauważyła szalejącej w ich kraju tyranii.

Wujek nigdy nie wrócił z frontu. Zginął bez wieści, może nawet nieświadomy tego, jaki los spotkał jego żonę w wojnie, do której prawdopodobnie nigdy by nie doszło, gdyby fundamentaliści nie osłabili kraju i nie odizolowali go od dotychczasowych sojuszników. Tak bardzo wierzył w szczęście, jakie miała przynieść mu rewolucja Khomeiniego, że nie zauważył, kiedy kompletnie pozbawiła go na nie szansy. Jego fanatyzm



zniszczył rodzinę, którą stworzył. Niestety los mojego wujka podzieliło wielu innych.

Czasami się zastanawiam, jak wyglądałby Iran, gdyby nie doszło do rewolucji islamskiej. Pewnie nadal byłby monarchią, a moja rodzina wciąż mieszkałaby w Iranie. Możliwe, że zmieniający się świat wymusiłby na szachu i jego następcy dalsze kompromisy. Jedno jest pewne – choć nie wszyscy Irańczycy byłiby z tego powodu szczęśliwi, nie byłoby wśród nas tylu nieszczęśliwych.

<sup>1</sup> Koran 33:59.

## ROZDZIAŁ 4

# Cyrus

Niewiele jest historycznych postaci, których życie i dokonania obrosły taką legendą jak w przypadku Cyrusa Wielkiego – najpotężniejszego władcy w historii Persji i jej założyciela. Szach Mohammad Reza Pahlavi bardzo lubił się do niego porównywać. Zwłaszcza w ostatniej dekadzie swoich rządów miał na tym punkcie prawdziwą obsesję. Choć w przeciwieństwie do Cyrusa sam nie miał arystokratycznego pochodzenia, czuł się jego bezpośrednim spadkobiercą i pierwszym od czasów starożytnego władcy zbawcą narodu.

To właśnie Cyrus ponad dwa i pół tysiąca lat temu założył Imperium Achemenidów uważane za początek państwowości Persji, której bezpośrednim spadkobiercą jest współczesny Iran. Nikt, nawet Chińczycy w okresie dynastii Han, czyli swoich największych sukcesów militarnych, ani Dżyngis-chan podbijający Azję, by stworzyć mongolską potęgę, ani nawet sułtani Imperium Otomańskiego, którzy swoje wpływy rozlali na trzy kontynenty, nie wspominając o głodnych podbojów Rosjanach, Hiszpanach czy Brytyjczykach, nie dokonał tego co Cyrus. Imperium Rzymian to przy nim dziecięca igraszka. Jego państwo było największym, jakie widział świat. Rozciągało się od Morza Śródziemnego aż po rzekę Indus.

Wczesne życie Cyrusa Wielkiego jest owiane tajemnicą. Zapewne dlatego powstała o nim legenda. Przyszły władca Persji był wnukiem Astyagesa, potężnego króla imperium Medów. To właśnie jego dziadek miał odcisnąć największe piętno na jego życiu.

Astyages znany był z porywczego charakteru i nie do końca zrównoważonej psychiki. Miał paranoję i wierzył w prorocтва senne, a często męczyły go nocne koszmary. Zanim jeszcze wydał za mąż swoją córkę, piękną Mandanę, przyśniła

mu się wielka powódź, która pochodziła z jej łona. Miała ona zalać jego imperium, a później cały kontynent. Nadworni magowie i doradcy króla szybko orzekli, że jego sen może oznaczać, iż wyda ona na świat wojownika, który podbije jego ziemie i bynajmniej na nich nie skończy.

Astyages nie miał zamiaru ryzykować. Postanowił wydać Mandanę za króla Kambyzesa władającego Persją, która była w tym czasie jedynie słabą militarnie i niewiele znaczącą gospodarczo górzystą krainą rządzoną przez klan Achemenidów. Był przekonany, że to wystarczy, by zapobiec wypełnieniu przepowiedni ze swojego snu. Nic bardziej mylnego.

Z małżeństwa Kambyzesa i Mandany zrodził się chłopiec o imieniu Kourosh, w tłumaczeniu ze staroperskiego – Cyrus. Niedługo po jego narodzinach katastroficzne sny znowu zaczęły nękać króla Astyagesa. I znowu dotyczyły łona jego córki. Widział wyrastające z niego pnącza wina, które oplatały cały kontynent, a później swojego wnuka, który go zabija i gwałtem zastępuje go na tronie.

Zatrwożony tą wizją Astyages rozkazał swojemu najwyższemu generałowi Harpagusowi zabić dziecko. Generał nie potrafił jednak wykonać rozkazu. Choć był wytrawnym wojownikiem, a swoim mieczem zakończył niejedno życie, Cyrusa ocalił. Oddał niemowlę pod opiekę biednym pasterzom, uznając, że wielki król nigdy nie będzie w stanie rozpoznać królewskiego dziecka wśród biedoty. Cyrus miał wieść proste życie, które ochroni go przed okrutnym dziadkiem. W jego przypadku nie trwało to jednak długo.

W wieku dziesięciu lat Cyrus został wezwany przed oblicze króla Astyagesa po rzekomym pobiciu syna jednego z wysoko postawionych szlachciców. Chłopcy uprawiali zapasy, bawili się w zgodzie, a Cyrus wygrał potyczkę. Niedługo później został przez ojca przegranego oskarżony o podniesienie ręki na arystokratę. Akt, który chłopiec tak nisko urodzony mógł nawet przypłacić życiem.

Podczas dochodzenia przed królewskim obliczem w obecności przybranych rodziców chłopca król Astyages zorientował się, że stoi przed nim jego wnuk, i wspaniałomyślnie postanowił odesłać go do jego biologicznych rodziców. Wyczerpał jednak tym samym wszystkie pokłady człowieczeństwa, na jakie było go stać, bo już szykował okrutną zemstę za nieposłuszeństwo wobec jego rozkazów.

Harpagus zapłacił za swoje dobre serce bardzo wysoką cenę. Król Astyages zdawał się tak zadowolony z uratowania wnuka, że wydał na cześć Harpagusa ucztę, co samo w sobie nie byłoby straszne, gdyby główną zaserwowaną potrawą nie było ciało jego trzynastoletniego syna, zamordowanego przez króla w odwecie.

Harpagus nigdy nie wybaczył tego władcy. Z zemstą czekał na odpowiedni moment.

Tymczasem król Astyages przyjął wobec Cyrusa zupełnie odmienną od dotychczasowych strategię. Zamiast próbować się go pozbyć, postanowił zwalczyć przerażające przepowiednie, uczyniwszy z niego swojego bliskiego doradcę i najbardziej zaufanego wysłannika. Kilka lat później wyprawił też swojemu wnukowi huczne wesele. Cyrus poślubił miłość swojego życia – Cassandaną.

Potajemnie Harpagus tworzył front arystokratów niezadowolonych z rządów króla i pielęgnował swoją przyjaźń z Cyrusem, który przecież zawdzięczał mu życie. Kiedy poczuli, że są wystarczająco silni, w królestwie zaczął się bunt przeciwko królowi. Cyrus stanął na czele perskiego powstania – pierwszej z bardzo wielu rewolucji w historii tego narodu. Wkrótce potem z uformowanymi z rebeliantów silnymi wojskami ruszył na rządzone przez swojego dziadka tereny. Poszczególne prowincje imperium Medów zaczęły się poddawać pod naporem armii Cyrusa, a wkrótce przestało ono istnieć, stając się Imperium Achemenidów, czyli przyszłą Persją. Koszmar króla Astyagesa stał się rzeczywistością.

Cyrus okazał się nie tylko skutecznym dowódcą, ale i wytrawnym strategiem. Natychmiast po podboju imperium swojego dziadka podzielił je na częściowo autonomiczne prowincje zwane satrapiami i rządzone przez lojalnych satrapów. To położyło podwaliny pod stabilny system polityczny, za pomocą którego administrował wciąż zwiększającym swój zasięg, a i tak już całkiem rozległym imperium.

Przez pierwsze lata swoich rządów Cyrus cieszył się wsparciem silnych sąsiadów – Imperium Babilońskiego i położonej nad Morzem Czarnym krainy zwanej Lydią. Ta ostatnia rządzona była przez króla Croesusa, który jak niegdyś dziadek Cyrusa lubował się w przepowiedniach.

Wyrocznia przestrzegła króla przed niebezpieczeństwem nadchodzącym ze strony nowego sąsiada. Croesus nie zamierzał na nie czekać bezczynnie i zaczął zbroić swój kraj na potęgę, a wkrótce sam wypowiedział wojnę. Cyrus próbował jej zapobiec zabiegami dyplomatycznymi, ale nie zdały się one na wiele. Król Croesus był pewny swojego zwycięstwa, jednak niedługo potem Lydia zniknęła z ówczesnej mapy świata, na zawsze stając się częścią Imperium Achemenidów.

O wielkości Cyrusa świadczą jednak nie tylko jego sukcesy militarne, ale również to, jak traktował wrogów. Większość zwycięzców w tamtych czasach za swój główny łup wojenny uznawały głowy władcy pokonanego kraju. Cyrus

widział to zupełnie inaczej. Oszczędził Croesusa, a nawet uczynił go jednym ze swoich doradców.

Choć oceniając dorobek Cyrusa, można odnieść odmienne wrażenie, powiększanie zasięgu swoich wpływów nigdy nie było jego priorytetem. Chciał stworzyć nowoczesne państwo słynące z filozofii, literatury, a także z zupełnie niepopularnych w tych czasach praw człowieka. Ale sytuacja polityczna często sprawiała, że musiał przykładać równie wielką wagę do sztuki wojennej.

Królestwem Babilonu rządził w tym czasie Nabonidus, król, który poważnie naraził się swoim poddanym i duchownym. Zatrzymał rozwój państwa, zubożył obywateli, a czarę goryczy przelało zakazanie obchodów dorocznego święta ku czci boga Marduka. W chwili, gdy król przekazał swoją koronę synowi Belshezzarowi, udając się na emeryturę, niezadowolenie wobec obu władców urosło do rewolucyjnych rozmiarów, a lojalność nawet zaufanych satrapów drastycznie zmalała.

Wśród babilońskiego ludu pojawiła się wówczas plotka, że podziwiany w ich kraju Cyrus planuje przywrócić bogu Mardukowi należne mu miejsce w świątyniach. Ta idea porwała ludzi w Babilonie. Kiedy wywołane do odpowiedzi perskie wojska zainterweniowały w jednej z prowincji, król Nabonidus wrócił z emerytury i stanął na czele babilońskiej armii. Rozpoczęła się wojna, w której Cyrus traktowany był przez Babilończyków nie jako najeźdźca, ale wyzwoliciel.

Podbicie Babilonu nie było jednak łatwe. Wymagało sprytu i zmyślnej strategii. Stolicę chroniła trudna do spenetrowania fosa zasilana przez rzekę Eufkrat. Cyrus rozkazał wykopanie kanału powyżej koryta rzeki, tak by osuszyć fosę, i w nocy, w trakcie jednego z babilońskich świąt, kiedy wszyscy pochłonięci byli zabawą, ostatecznie podbił królestwo.

Nie był jednak ciemieżcą dla jego ludu. Przeciwnie – przywrócił zakazane święta i możliwość czczenia boga Marduka, obniżył podatki i zaczął dbać o rozwój kraju pod swoim panowaniem. W tym czasie dokonał też aktu, który zapewnił mu miejsce w Biblii. Przywrócił wygnanych przez Nabonidusa Żydów do Jerozolimy, czym zdobył ich serca. Hebrajska Biblia wychwala jego czyny w blisko stu wersetach, zwłaszcza że na zwróceniu im ojczyzny nie skończył.

Cyrus ufundował *Bet ha-Mikdasz ha-Szeni* – Drugą Świątynię, najważniejsze dla Hebrajczyków miejsce kultu. Będący w tym czasie w zaniku judaizm bez interwencji Cyrusa – który wcale go nie wyznawał – mógł zupełnie zniknąć. Gdyby tak się stało, prawdopodobnie nie powstałoby również ani chrześcijaństwo, ani islam. Z tego punktu widzenia wpływy Cyrusa na losy świata rozciągają się aż

po dziś dzień. I choć imperium znacznie się zmniejszyło po jego śmierci, jeszcze długo pozostawało największym w historii.

Koniec króla Cyrusa opisywany jest w różny sposób. Jedni historycy uważają, że zmarł naturalnie i w spokoju, inni, że od ran odniesionych w boju, jeszcze inni, że na polu walki, gdzie odcięto mu głowę i zboczono ją zwierzęcą krwią.

Niezależnie od tego, w jaki sposób pożegnał się z tym światem, jego ciało złożono w grobie w Pasargady. Mogiła przetrwała do dziś i znajduje się w prowincji Fars niedaleko irańskiego miasta Shiraz.

Cyrus często nazywany jest królem królów – *szachinszach*. I nie ma przypadku w tym, że zafascynowany nim Mohammad Reza jako pierwszy od czasów antycznego władcy odważył się przyjąć taki właśnie tytuł. Współczesny szach nie miał szans, by udowodnić swoją wielkość podbojami na skalę tych, jakimi zasłynął wielki poprzednik. Aby jednak dosadnie uzmysłowić światu, że jest bezpośrednim spadkobiercą Cyrusa, zorganizował w Iranie przyjęcie, które przeszło do historii.

Zaprezentowanego na nim zbytku nie da się porównać absolutnie z niczym. Pahlawi osiągnie swój cel. Wywoła zdziwienie i podziw wielu możliwych współczesnego mu świata, ale tym samym wzbudzi wielki gniew swojego ludu. To nieprawdopodobne widowisko stanie się iskrą, która roznieci pożar. Ten zaś już za kilka lat ogarnie cały kraj.

Początek lat siedemdziesiątych zdaje się wcale nie tak odległy, a jednak świat wyglądał w tym czasie tak inaczej od naszego, jakby to była zupełnie inna epoka. Chinami rządził Mao, wciąż potężny Związek Radziecki znajdował się w rękach Breżniewa, nawet Hiszpania była dyktaturą terroryzowaną przez Franco. Na czele Stanów Zjednoczonych stał Richard Nixon, który prowadził krwawą wojnę w Wietnamie i wciąż jeszcze nie wiedział, że wkrótce zostanie pierwszym – i jak do tej pory jedynym – amerykańskim prezydentem zmuszonym do ustąpienia ze stanowiska. Nie istniała jeszcze Unia Europejska, podobnie zresztą jak Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Oman czy Bahrajn. Te kraje dopiero przygotowywały się do emancypacji spod Korony Brytyjskiej i sprawowania własnych, samodzielnych rządów. Afganistan, a nawet Grecja były jeszcze monarchiami. W takim właśnie świecie Iran rozpychał się łokciami, walcząc o swoją pozycję, a stojący na jego czele szach miał coraz większy apetyt na uwielbienie ze strony jego możnych.

*Wrzesień 1970 roku, Teheran*

Dwa i pół tysiąca lat od chwili, gdy Cyrus Wielki ustanowił państwo, którego spadkobiercą jest Iran, wydawało się idealnym momentem, by pokazać jego potęgę. Ostateczną decyzję o wydaniu przyjęcia, które zadziwi wszystkich, szach podjął nieco ponad rok przed samym wydarzeniem. W jego wizji cesarze, królowie, prezydenci, szejkwowie i dygnitarze z całego globu mieli zjechać do starożytnych ruin Persepolis, by w ciągu trzech dni przekonać się o wspaniałości króla królów i jego kraju. I choć impreza, którą zorganizował Mohammad Reza, była iście spektakularna, w równym stopniu stanowiła popisową farsę.

W założeniu miała zaprezentować Iran od najlepszej strony, ale zawiedli się ci, którzy mieli apetyt na autentyczne doświadczenia czy lokalne specjały. Szach chciał się pokazać jako światowiec, a nie człowiek Bliskiego Wschodu, dlatego postanowił, że wszystko tu będzie na światowym, a nie irańskim poziomie. Policzek, jaki wymierzył tym samym obywatelom swojego kraju, niemającym szans choćby na skorzystanie z miejsc pracy powstałych przy organizacji imprezy, choć sfinansowano ją z ich podatków, był naprawdę bolesny.

Należy tu dodać, że kilka lat po ogłoszeniu białej rewolucji, której idee niewątpliwie były chwalebne, szach praktycznie ją porzucił. Zapewne głównie dlatego, że złożonej gospodarce kraju nie da się tak po prostu wydać rozkazu, by sama się naprawiła – a jemu zabrakło determinacji, by przeprowadzić reformy do końca. Dość powiedzieć, że w chwili, gdy wydawał najdroższe przyjęcie na świecie, połowa Irańczyków żyła poniżej poziomu ubóstwa, a fakt, że za panowania Pahlawiego liczba biednych obywateli wyraźnie się zmniejszyła, nie jest wielkim pocieszeniem. Zwłaszcza dla tych, którzy nie mieli za co wyżywić swoich rodzin.

Przygotowania do tego spektakularnego wydarzenia rozpoczęto od rozesłania zaproszeń. Szach, nie będąc pewnym swego, sondował, czy w ogóle jest szansa na to, by przy jednym stole zasiedli komunistyczni tyrani, arabscy dyktatorzy, monarchowie i prezydenci demokratycznego świata. I choć nie otrzymał potwierdzenia od dwójki wymarzonych gości – królowej Elżbiety II i prezydenta Stanów Zjednoczonych Richarda Nixona, w nadziei, że jednak przyjadą, dał zielone światło pracom nad organizacją obchodów.



Impreza miała się odbyć w zbudowanym od podstaw miasteczku położonym na pustyni tuż przy ruinach legendarnego Persepolis. Wybór tego miejsca nie był podyktowany wyłącznie nawiązaniem do starożytnej historii kraju. Wynikał też z tego, że Iran nie dysponował luksusowymi hotelami ani pałacami, które mogłyby być godne tak elitarnych gości. A już na pewno nie w spodziewanej ich liczbie. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że pojawienie się przywódców z całego świata będzie inspiracją do różnego rodzaju protestów, choć te już wtedy były krwawo i bezkompromisowo tłumione przez służby szacha. Szybko mogłoby się okazać, że chwalony na całym świecie za swoje decyzje dotyczące praw człowieka i wolności słowa władca tak naprawdę jest dyktatorem, który prawa człowieka ignoruje, a wolność słowa zapewnia tylko tym, którzy mówią o nim dobrze. Szach obawiał się również ataków terrorystycznych mogących obrócić stanowiące o jego wielkości przedstawienie w krwawą jatkę i międzynarodowy skandal.

Po tym, jak zdecydowano, że impreza odbędzie się na pustyni, szach rozkazał zmienić ją w rajską, zieloną oazę. W tym celu sprowadzono piętnaście tysięcy drzew i mniej więcej tyle samo innych roślin ozdobnych gatunków, w tym zupełnie egzotycznych dla tej szerokości geograficznej. Już samo to stwarzało ryzyko, że nie przetrwają. Zasadzenie ich na trzydniową imprezę i zapewnienie im odpowiedniej ilości wody w kraju trawionym suszą było ogromnym wyzwaniem i pomysłem absolutnie niedorzecznym. Ale ten dopiero otwierał ich naprawdę długą listę.

Aby zapewnić gościom bezpieczeństwo, teren, na którym powstawała oaza, oczyszczono ze wszystkich żyjących tam zwierząt – pustynnych ssaków, węży, skorpionów i wszelkiej maści owadów. Przy tej okazji odkryto kilka nieznanych do tej pory nauce gatunków, ale niewielka to pociecha, zważywszy na przyrodniczy pogrom. Zresztą na tym się nie skończyło. Do gaju, który powstał na pustyni, sprowadzono pięćdziesiąt tysięcy ptaków ze specjalnie dobranych śpiewających gatunków. Z Hiszpanii na przykład przysłano samolotami dwadzieścia tysięcy wróbli, ale okazało się, że mimo rozkazu króla nie dadzą one koncertu dla jego gości, bo niemal wszystkie padły w ciągu zaledwie kilku dni od zakwaterowania w sztucznie nawadnianym lesie. Nie były w stanie przeżyć ekstremalnych warunków pogodowych.

Oaza powstawała ogromnym kosztem dla środowiska, ale to zdawało się kompletnie nie zajmować władcy. Zwłaszcza że ten miał na głowie inne ważne tematy, jak na przykład specjalnie projektowane na tę okazję pustynne namioty. Zdawać by się mogło, że w Iranie nie brakowało ekspertów w tym temacie, ale szach zdecydowanie bardziej ufał francuskim markom. Do wykonania projektu i realizacji wynajął renomowaną firmę wnętrzarską Maison Jansen. Ich zadaniem było wybudowanie klimatyzowanych luksusowych apartamentów, które tylko z zewnątrz miały przypominać namioty – ich wnętrza przywodziły na myśl raczej pałace. Każdy z apartamentów miał dwie sypialnie, dwie łazienki, salon i kuchnię, w której oczywiście nikt z gości nie zamierzał gotować. Miała być obsługiwana przez dedykowanego służącego, dostępnego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Budowa namiotów zajęła niemal rok, a pracowało przy nich tysiące projektantów i wykonawców. Wszystkie zostały najpierw skonstruowane na polach nieopodal Paryża, a następnie samolotami przetransportowane do Iranu i zamontowane na miejscu przeznaczenia. By dokonać tej operacji, konieczne było kilkaset rejsów pomiędzy Paryżem a Iranem.

Kiedy w końcu ustawiono je zgodnie z projektem, stworzyły zachwycające układem i pełne przepychu miasteczko złożone z pięciu alejek, z których każda miała reprezentować inny kontynent. To wzdłuż nich ustawiono dokładnie pięćdziesiąt namiotów mieszkalnych. Dzięki temu po raz pierwszy w historii królowa Ingrid z Danii miała być bliską sąsiadką Jovanki Tito, żony dyktatora rządzącego Jugosławią. To był kompletnie surrealistyczny pomysł. Wielu z historyków do dziś zachodzi w głowę, jak to możliwe, że w ogóle wypalił. Każdy z zaproszonych krajów otrzymał osobny namiot, a dla uhonorowania przywódcy goszczonego państwa w formie swoistej wizytówki wieszano na nich jego ręcznie tkany portret. Każdy z nich sam w sobie był istnym dziełem sztuki.

Alejki, przy których stały namioty, prowadziły do ustawionej centralnie fontanny, która z kolei była zwieńczeniem najbardziej eksponowanej promenady głównej, wiodącej do wielkiego, przypominającego cyrkowy namiotu honorowego, gdzie miały się odbywać oficjalne uroczystości pierwszego dnia. Obok znajdował się jeszcze namiot bankietowy i kilka innych, mniejszych.

A skoro o bankietach mowa... Jedzenie zapewniła słynna francuska restauracja Maxim's, uznawana w tym czasie za najlepszą na świecie, która ze względu na zlecenie szacha zamknęła na dwa tygodnie swoje paryskie podwoje i skierowała wszystkich swoich pracowników do pracy przy przyjęciu w Persepolis. Ale nie tylko kucharze i kelnerzy byli z Francji. Szach nie zaufał nawet rodzimym producentom żywności. Sprowadzono jej do Iranu aż osiemnaście ton, samych jaj blisko czterdzieści tysięcy, prawie trzy tony wołowiny, drugie tyle stanowiły inne wykwintne mięsa. Taki transport wymagał niezwykle zmyślnej logistyki, ale dla opętanego swoją wizją szacha nic nie stanowiło problemu. Specjalnie na tę okazję zbudowano oddalone o pięćdziesiąt kilometrów od Persepolis lotnisko w Shiraz, a pomiędzy nimi nowoczesną autostradę. Były momenty, że lotnisko obsługiwało nawet sto lotów dziennie.

Trudno wyliczyć wszystko, co zwieziono na pustynię, ale wśród transportowanych rzeczy była specjalnie produkowana luksusowa porcelana z godłem dynastii Pahlavi, najdroższe na świecie kryształy Baccarat, dwanaście tysięcy butelek alkoholu, a same sprzęty kuchenne dla Maxim's ważyły sporo ponad trzydzieści ton.

W namiocie bankietowym ustawiono długi na siedemdziesiąt metrów zwinięty w serpentynę stół. Ponad sto kobiet spędziło pół roku na wyszywaniu obrusu, którym go nakryto. Podczas przyjęć goście – królowie, premierzy i prezydenci – siedzieli przy nim po jednej stronie, zwróceniem twarzą do stołów, przy których zasiadały osoby towarzyszące, urzędnicy i ambasadorowie. Pierwsza wydana kolacja ze względu na czas jej trwania (ponad sześć godzin) oraz menu, w którym znajdowały się nawet pieczone pawie po przyrządzeniu ponownie ubrane w pióra, trafiła do Księgi rekordów Guinnessa.

Samej tylko pierwszej nocy na stołach stanęło blisko sześć tysięcy butelek szampana – rocznik 1911, koniaku z 1860 roku oraz specjalnie wyselekcjonowanych win. Sporo, jak na muzułmański i oficjalnie stroniący od alkoholu kraj.

Choć szach i jego ludzie robili wszystko, by nie informować ubogiego społeczeństwa Iranu o defraudacji gigantycznych sum państwowych pieniędzy na kaprysy władcy, wieści o tym, co się dzieje w Persepolis, przedostawały się do opinii publicznej, powodując coraz większe wzburzenie. Propaganda wprawdzie próbowała ubierać wydarzenie

w ogromny sukces i budować dumę narodową Irańczyków na wizycie przywódców świata w ich kraju, ale to zdecydowanie nie wystarczało. Zarówno komuniści, jak i fundamentaliści islamscy tłumaczyli te wydarzenia narodowi w zupełnie inny sposób. Niezadowolenie rosło, a to rodziło spore obawy o bezpieczeństwo imprezy.

Szach nie mógł sobie pozwolić na kompromitację, dlatego w tej kwestii nie było miejsca na kompromis. Zwłaszcza że mowa przecież o największym spotkaniu światowych liderów, jakie widział świat. Atak terrorystyczny w takim miejscu mógłby mieć nieobliczalne skutki dla losów całego świata.

Aby zapewnić bezpieczeństwo kilkuset osobom, na miejsce sprowadzono sześćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy, którzy mieli za zadanie pilnować, by do oazy w Persepolis nie przedostała się choćby jedna pustynna mysz. Obywatele chcący zakłócić lub choćby przyjrzeć się temu widowisku mieli być z miejsca i bez ostrzeżenia usuwani. „Usuwanie” jest tu oczywiście eufemizmem.

Najbardziej strzeżonym miejscem były jednak kuchnia i sala bankietowa, ze względu na podejrzenia wywiadu, że może dojść do zatrucia jedzenia. Żaden Irańczyk nie został do niego dopuszczony. Zresztą nie byli potrzebni, bo poza francuską obsługą osobny garnitur wyszkolonych pracowników obsługi sprowadzono ze Szwajcarii. Jak na władcę kraju, który z taką dumą reprezentował, szach Pahlavi wyraźnie nie miał dobrego zdania o swoich rodakach.

Środki bezpieczeństwa poszły jeszcze dalej. Z chwilą, gdy w Shiraz wylądował pierwszy z gości, zamknięte zostały granice kraju i jego przestrzeń powietrzna dla wszystkich samolotów niezwiązanych z imprezą. Obywatele zostali w nim dosłownie uwięzieni. Nikt nie mógł do Iranu przyjechać ani przylecieć. Nikt też nie mógł się z niego wydostać. Zakaz obowiązywał przez trzy dni.

Na rozkaz władcy milicja zaczęła też wnikliwą inwigilację środowisk potencjalnie nieprzyjaznych szachowi. Splądrowano tysiące mieszkań w poszukiwaniu materiałów wrogich monarchii, kilkanaście tysięcy ludzi profilaktycznie trafiło do więzień i aresztów. Nawet jeśli nie było dowodów, że mają cokolwiek wspólnego z działalnością wywrotową. Schach po prostu nie chciał ryzykować sabotażu. To oczywiście też nie przysporzyło mu fanów.

Podczas gdy informacje o przyjęciu wewnątrz kraju raczej dawковано i cenzurowano, na promocję wydarzenia poza jego granicami wydano kilkadziesiąt milionów dolarów. Największe międzynarodowe telewizje i agencje informacyjne dosłownie biły się o możliwość relacjonowania imprezy na żywo. Szach kupił sobie nawet hollywoodzką ekranizację, która ukazała się pod tytułem *Flames of Persia*, a jej narratorem był sam wielki Orson Welles. Welles zgodził się na to w zamian za sfinansowanie jego własnego filmu zatytułowanego *Druga strona wiatru*. Nie był to najszcześniejszy układ, bo sam reżyser nigdy nie doczekał się końca jego realizacji. Film ukazał się długo po jego śmierci, po aż czterdziestu latach produkcji.

Krótko przed zjazdem w Persepolis irańskie ambasady w każdym z zaproszonych państw zorganizowały hojnie sponsorowane przez szacha przyjęcia, które miały zwrócić uwagę na główne wydarzenia. Promocję kraju miały też zapewnić książki, które napisano specjalnie na tę okazję. Przedstawiały one historię kraju, w której szach Pahlavi był w prostej linii potomkiem Cyrusa Wielkiego. Przetłumaczono je na kilkadziesiąt języków.

Media oszalały na punkcie wydarzeń z Iranu. Niektóre gazety poświęcały sporą część swoich codziennych wydań tylko relacjom z tej imprezy. Dla kraju takiego jak Iran była to nieprawdopodobna nobilitacja, a ego szacha pęczniało niczym balon. Zresztą dziennikarze stanowili spory odsetek zaproszonych gości. To specjalnie dla nich zbudowano dwa luksusowe hotele w Shiraz nazwane imionami dwóch perskich władców – Cyrusa i Dariusza.

Cała garderoba królewskiej pary również została uszyta specjalnie na tę okazję. Prestiżowy – i oczywiście paryski – dom mody Lanvin dostał zadanie zaprojektowania inspirowanych perskimi strojami kreacji dla szacha i jego żony. I tutaj cena nie grała roli. Każda z kreacji została wyceniona na kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

#### *14 października 1971 roku, lotnisko w Shiraz*

Nieprzebrany tłum dziennikarzy czekał w upale na przyjazd pierwszych gości. Niektórzy nadawali relacje na żywo, inni trwali niemal bez ruchu z aparatami i kamerami wycelowanymi w miejsce, gdzie oczekiwani byli goście. Wśród głosów słychać było sporo tych sarkastycznych,

zapowiadających spektakularną klapę, ale cichły one z każdym kolejnym samolotem, którego koła dotykały rozgrzanej słońcem płyty lotniska w Shiraz. Liczba i ranga gości zaczynała zadziwiać nawet największych sceptyków. Nikt wcześniej, nawet dziennikarze relacjonujący na co dzień międzynarodowe wydarzenia, nie miał okazji zobaczyć na żywo tylu możnych tego świata. Nikt się nie spodziewał, że aż tak wielu często poważnie ze sobą zwaśnionych i pochodzących z obu stron żelaznej kurtyny polityków przyjmie zaproszenie szacha. W świecie, w którym toczyła się zimna wojna, nikt nie wyobrażał sobie nawet takiego obrotu spraw. Szach Pahlavi obrósł tego dnia w piórka prawdziwego gołąbka pokoju.

Każdy z gości witany przez wysokich rangą wysłanników szacha kroczył po długim czerwonym dywanie, po czym wsiadał do jednej z dwustu pięćdziesięciu kuloodpornych (oczywiście sprowadzonych specjalnie na tę okazję) limuzyn, by ruszyć prosto do Persepolis. Niedługo po odjeździe na początku czerwonego dywanu pojawiał się kolejny samolot. I następny...

Całość trwała ponad sześć godzin, ale dziennikarze relacjonujący imprezę zgodnie przyznawali w późniejszych wywiadach, że choć warunki pracy w skwarze nie należały do najłatwiejszych, było to fascynujące widowisko. A to przecież dopiero preludium, którego szach nawet nie ujął w swojej wizji. Prawdziwa magia miała się dzieć dopiero pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Wśród osób, które przybyły na zaproszenie Mohammada Rezy, nie było ostatecznie dwójki, na której obecność szach liczył najbardziej. Prezydent Nixon wprawdzie bardzo chciał przylecieć do Iranu, ale nie dostał na to zgody od amerykańskiego wywiadu, więc jego miejsce zajął wiceprezydent Spiro Agnew. Królowa Elżbieta II też nie zaszczyciła imprezy. Dokładnie tak jak w przypadku koronacji, pałac Buckingham nie chciał, by królowa Imperium Brytyjskiego była widziana jako składająca swoisty hołd władcy innego państwa. Ale godnie reprezentowali ją jej mąż Filip i córka, księżniczka Anna.

Przybyli za to dygnitarze z wciąż stanowiącego potęgę Związku Radzieckiego i z niemal całego europejskiego bloku komunistycznego od Bułgarii, Rumunii i Węgier po Czechosłowację i Polskę, a także z Chin i Kuby. Obecność przedstawicieli komunistycznego świata nie przeszkadzała politykom z Austrii, Szwajcarii, Finlandii, Francji, Włoch,

Niemiec Zachodnich czy Portugalii. Mało tego – do Persepolis przyleciał nawet specjalny wysłannik papieża. Nie pominięto też krajów Azji i Afryki. Wszystkie największe wysłały swoich przedstawicieli, z reguły najwyższych rangą. Nie zabrakło również reprezentacji Kanady, Australii i polityków z Ameryki Południowej.

Ze względu na sztywne protokoły panujące na dworach królewskich wydawać by się mogło, że o koronowane głowy będzie najtrudniej, ale nie wszyscy podeszli do tego tak pryncypialnie jak królowa Anglii. Przyjechało ich do Iranu naprawdę sporo. Cesarz Etiopii, sułtan Omanu, król Jordanii, Norwegii i Lesotho, emirowie Bahrajnu, Kataru, Kuwejtu i Abu Dhabi, królewskie pary z Danii, Belgii, Grecji i Nepalu. Wśród gości znalazła się też księżniczka Afganistanu i księżęta z Liechtensteinu, Francji, Luksemburga, Monako, Szwecji, Hiszpanii, Włoch, Tajlandii, Japonii i Maroka. Zważywszy na to, że w bardzo wielu krajach szach Pahlavi był krytykowany za to, że jest dyktatorem, lista gości, którzy zjawili się na przyjęciu, była równie imponująca co zaskakująca.

#### *14 października 1971 roku, Persepolis*

Krótko przed południem wszyscy zgromadzeni goście zostali powitani krótką ceremonią przy grobie Cyrusa Wielkiego. Żeby nikt nie miał wątpliwości, kto jest inspiracją tego zjazdu – ani kto jest jego gospodarzem – szach wygłosił płomienną mowę chwalebna na cześć wielkiego władcy Persji, nie omieszkając wielokrotnie powtórzyć kłamstwa, jakoby Cyrus był jego przodkiem. Szybko stało się jasne, że szach nie ma więcej celów niż ten, by wypromować samego siebie i napompować swoją legendę. Goście jednak zdawali się przyjmować taką narrację z grzeczności i podziwu dla tego, czego dokonano na irańskiej pustyni.

Oaza w Persepolis była pomyślana tak, by poza oficjalnymi uroczystościami goście mogli odwiedzać się w swoich namiotach. Ale mieli też do dyspozycji klub rozrywkowy, gdzie mogli tańczyć przy muzyce na żywo i raczyć się dobrodziejstwami baru serwującego najlepsze trunki. Czas mogli też spędzać w ekskluzywnej restauracji, a nawet w kasynie. Tak, Persepolis przypominało w tych dniach najbardziej luksusowy kurort all inclusive na świecie.

Po raz pierwszy w historii ludzkości w jednym miejscu zebrało się tak wielu tak nieprawdopodobnie różnych ludzi. Przeprowadzono tu wiele nieformalnych rozmów, a w przyjaznej atmosferze bawili się przedstawiciele nawet najbardziej zwaśnionych ze sobą krajów. Choć szach, organizując to wydarzenie, miał zupełnie inne priorytety, wielu historyków zgodnie twierdzi, że zawiązane w tym czasie relacje lub choćby wymienione grzeczności mogły mieć niebagatelny wpływ na bieg losów świata.

Oprócz namiotu rozrywkowego był w Persepolis także namiot piękności skupiający dwadzieścia salonów z usługami fryzjerów i makijażystów dla pań oraz jeden dla panów. Nietrudno zgadnąć, skąd sprowadzono personel, chociaż francuskie pochodzenie, talent i doświadczenie nie wystarczyły w tym wyjątkowym miejscu. Wszyscy specjaliści musieli przejść trening umożliwiający im podniesienie tempa swojej pracy, tak by mogli obsłużyć każdą z zaproszonych dam. Specjalnego instruktazu wymagało też zakładanie tiary na koronowane i książęce głowy, co okazało się sprawą nie tak łatwą nawet dla profesjonalnych fryzjerów.

Do dyspozycji gości była też pozostająca w stałej gotowości grupa projektantów mody i krawcowych, którzy mieli za zadanie zaradzić wszelkim garderobianym wpadkom. Zadbano również o przywieziona przez gości biżuterię. Na pustyni zbudowano zabezpieczony najnowocześnieszą dostępną w tym czasie technologią i nieustannie strzeżony bunkier z sejfem, w którym można było przechować swoje kosztowności.

### *15 października 1971 roku, Persepolis*

Na drugi dzień przypadło główne wydarzenie spotkania – gigantyczne widowisko przedstawiające najbardziej chwalebne akty perskiej i irańskiej historii. Goście tłumnie zgromadzili się na widowni. Widać było wśród nich ekscytację. Każda godzina spędzona do tej pory w Persepolis była pełna zaskoczeń. Teraz nie mogło być inaczej. Będą świadkiem nieprawdopodobnego spektaklu przypominającego rozmachem hollywoodzką produkcję.

Prawie dwa tysiące irańskich żołnierzy przebranych w mundury i stroje z różnych epok maszerowało w idealnie wyreżyserowanej paradzie.



Z wolna przejeżdżały przed nimi idealnie wystylizowane platformy. Każda z nich reprezentowała inną z dynastii, które w przeszłości rządziły Persją. Aby wiernie odtworzyć wszystkie rekwizyty, pojazdy, peruki i stroje, szach zatrudnił sporą grupę historyków, którzy nadzorowali jeszcze większą grupę projektantów i rzemieślników. Porównanie do hollywoodzkich produkcji nie jest tu na wyrost – przygotowania nie różniły się rozmachem od prac nad najbardziej epickimi filmami. Nie było w nich miejsca na jakiegokolwiek błędy czy ustępstwa. Wyprodukowano nawet instrumenty muzyczne znane z dawnych czasów, które wydawały dźwięki, jakich ludzie nie mieli okazji słyszeć przez całe stulecia, oraz trzy zatknięte na platformy monumentalne repliki okrętów wojennych z czasów króla Kserksesa, znanego ze słynnej bitwy ze Spartanami pod Termopilami.

Finał tego niezwykłego przedstawienia musiał mieć oczywiście miejsce pod trybuną, na której zasiadał szach Mohammad Reza Pahlavi. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że ta wspaniała historia ma swoją kontynuację, a on jest jej uosobieniem. Po zachodzie słońca do zebranych przemówili dawni wielcy władcy Persji w odczytanych przez aktorów tyradach, a całość zakończyła się spektakularnym pokazem sztucznych ogni.

### *16 października 1971 roku, Persepolis*

Uroczystości dobiegały końca. Wielu gości już z samego rana opuściło Iran, odlatując wprost z lotniska w Shiraz. Ci, którzy zostali, też pojechali do Shiraz, ale odlecieli stąd podstawionymi przez szacha samolotami do Teheranu, gdzie czekało na nich jeszcze sporo atrakcji. Największą z nich i z pewnością niezapomnianą było spektakularne otwarcie Shahyad Tower – najbardziej znanej budowli Iranu.

Ta marmurowa wieża ma czterdzieści pięć metrów wysokości i jest głównym punktem orientacyjnym w Teheranie. Jest też punktem odniesienia, bo w całym kraju to właśnie od niej odlicza się odległość do wszystkich miejsc. Stanowi część kompleksu kulturowego miasta, absolutnie obowiązkowego dla turystów, zwłaszcza że w jej podziemiu mieści się muzeum. Sporą część swoich zbiorów zawdzięcza ono właśnie zabiegom *szachbanu* Farah Diby.

Było wiele pomysłów na to, jak nazwać tę monumentalną budowlę. Początkowo, jeszcze na etapie projektu, miała nosić miano Bramy Cyrusa, ale

choć szach chętnie się do niego porównywał, nie chciał, by tak charakterystyczny i wzniesiony za czasów jego panowania budynek zupełnie go pomijał. Brama Cesarska była znacznie bliższa jego zamysłowi, ale on był znany na świecie jako szach, dlatego ostatecznie ustalono, że będzie to Wieża Pamięci Szacha – Shahyad Tower.

Irańska rewolucja usuwała szacha z pamięci obywateli Iranu, a na pewno robiła wszystko, by nie kojarzył się on z niczym wzniosłym. Dziś ten spektakularny budynek nazywany jest Azadi Tower – Wieżą Wolności. Jakby złośliwie i na przekór, bo wolność jest tym, czego Irańczykom brakuje najbardziej.

W chwili, gdy szach przyjmował swoich gości na pustyni, moja babcia miała dwadzieścia lat. Dokładnie zapamiętała niesamowity spektakl sztucznych ogni, które rozświetlały niebo w noc otwarcia Shahyad Tower. Była nawet w tłumie ludzi, którzy świętowali to wydarzenie.

Nie sama. Była tam ze swoim nowo poślubionym mężem.

Byli z moim dziadkiem dosłownie kilka dni po ślubie, a mojej mamy nie było jeszcze na świecie. Wszystko wydawało się jej wtedy możliwe i choć wiedziała, że szach ma wiele za uszami, dawała się ponieść entuzjazmowi, jaki w tym czasie udzielał się wielu Irańczykom.

W tym tłumie pobrzmiwał jednak także niepokój. To właśnie wtedy babcia po raz pierwszy na własne uszy usłyszała słowa krytyki względem szacha. Później słyszała je regularnie od swojego męża, ale wtedy było to dla niej zupełnie nie do pomyślenia. To było jak herezja. Odruchowo zaprzeczała, choć nie miała pojęcia, czy zaprzeczając, ma rację. Wychowana w patriotycznym uwielbieniu dla kraju i władcy, we wdzięczności za poprawę sytuacji rodziny, co zawsze podkreślał jej ojciec, nie miała odwagi powiedzieć niczego, co mogłoby być dla szacha obraźliwe. Nie miała też powodu. Ale wtedy pierwszy raz zaczęła się nad tym zastanawiać. Jako Iranka miała obowiązek służyć swojemu władcy i nie kwestionować jego decyzji, jednak świat wokół niej zdawał się budzić z letargu i głośno werbalizował swoje niezadowolenie.

Kiedy pytałam ją, jak to wielkie przyjęcie w Persepolis wyglądało z perspektywy obywateli, mówiła, że większość nawet o nim nie wiedziała. Dziś pewnie nie udałoby się go ukryć, ale wtedy Irańczycy w znakomitej większości zajmowali się głównie przetrwaniem. Dopiero z czasem opozycja zaczęła nagłaśniać szczegóły przyjęcia, które oburzały zwykłych

Irańczyków. Jedni byli wściekli na władcę za marnotrawienie takiej ilości jedzenia w kraju, w którym połowa obywateli głoduje, a druga ledwo wiąże koniec z końcem. Inni, kierowani religijnymi przekonaniami, nie mogli mu wybaczyć hektolitrów alkoholu, jakie przelano w kraju Allaha. Byli oburzeni kreacjami niektórych gości, zwłaszcza kobiet. Większości daleko było do spełnienia wyobrażeń islamskich radykałów o tym, jak powinna się ubierać płęć żeńska.

Najbardziej jednak Irańczyków zabolął fakt, że zostali kompletnie pominięci przez szacha w przygotowaniu i udziale w tej imprezie. Uznali to za ewidentną arogancję. Wielu mówiło wprost, że władca się ich wstydzi. I wcale się nie mylili, bo szach w tej kwestii nie miał niczego na swoją obronę.

Zajmująca się propagandą irańska telewizja próbowała ratować sytuację, podkreślając, że wizyta tak wielu możnych świata jest wynikiem pozycji, jaką Irańczycy osiągnęli wśród narodów. Miała ona budzić w nich patriotyczną dumę, ale z tej niestety nie da się ugotować obiadu. Jedynym, co obudziła, był jeszcze większy gniew.

Szacunki kosztów, jakie pochłonęła feta, mówią o niebotycznych sumach. Najmniejsza liczba, jaka pojawiła się w prasie, to sto milionów dolarów, czyli dziś sześć razy więcej. Ale najbardziej wiarygodne źródło, czyli audytorzy królewskiego skarbcza, wspomina o pięciuset milionach, czyli trzech i pół miliarda dolarów w przeliczeniu na dzisiejsze kwoty. Sądząc po rozmachu tego niespełna trzydniowego wydarzenia, właśnie te drugie szacunki wydają się najbardziej dokładne.

To wyliczenia księgowych, ale Irańczycy mają swoje zdanie na temat ceny widowiska w Persepolis. Na pytanie, ile kosztowało ono szacha Pahlawiego, wielu z nich odpowiada krótko: „Wszystko!”.

zapraszam na... (P)

## ROZDZIAŁ 5

# Ajatollah

*W wielu naszych miastach i w wielu naszych wsiach nie ma lekarzy ani lekarstw. Nie ma w nich szkół, łazienek, wody pitnej. Dzieci głodują – nie ma jedzenia, podczas gdy reżim tyrana wydaje miliony dolarów na karygodne świętowanie.*

Takimi słowami imprezę w Persepolis podsumował wciąż przebywający na wygnaniu w Iraku duchowy przywódca szyickich muzułmanów ajatollah Ruhollah Khomeini. Poszedł nawet dalej, nazywając ją „festiwalem diabła”.

Szach Mohammad Reza początkowo nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielki prezent podarował swoim politycznym oponentom. Zupełnie jakby własnoręcznie rozlał benzynę i wręczył im zapałki. Iran zaczął płonąć gniewem, którego nie dało się już stłumić dotychczasowymi represjami.

Jeszcze zanim goście namiotowego miasteczka w Persepolis zdążyli wylecieć z kraju, na ulicach pojawili się protestujący domagający się tego, by ekstrawagancki szach, którego obwiniali o swoją trudną sytuację ekonomiczną, oddał władzę.

Partie komunistyczne i islamskich fundamentalistów dzieliło wszystko poza jednym – nienawiścią do monarchii. A jak wiadomo, nic tak nie łączy jak wspólny wróg. Szach był uosobieniem zła zarówno dla domagających się równości i odrzucenia zwierzchnictwa elit socjalistów, jak i dla niechętnych obyczajowemu zbliżeniu z Zachodem szyickich radykałów. Obie grupy w dużej mierze inspirowane były z zagranicy.

Sowieccy komuniści widzieli spory interes w sprowadzeniu kraju na drogę, jaką przeszła Rosja. Obalenie szacha i budowa komunistycznego Iranu wydawały się idealnym scenariuszem. Sowieci potrzebowali sojuszników, a Iran był wprost wymarzoną materiałem, by przeprowadzić ten plan – było tu i zubożałe społeczeństwo, i znenawidzony władca.

Po drugiej stronie stali islamiści, którzy widzieli przyszłość Iranu jako państwa wyznaniowego. Ich wygnany z kraju przywódca miał nie tylko ochotę na przejęcie władzy w kraju, żył też chęcią osobistej zemsty, którą żywił wobec rodziny Pahlavi od najmłodszych lat.

Ruhollah Khomeini nigdy nie poznał swojego ojca. Mężczyzna został rzekomo zamordowany przez tajne służby szacha Rezy. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, kiedy Ruhollah miał zaledwie pięć miesięcy... albo dwa lata, bo tak jak nieznane są faktyczne okoliczności jego śmierci, tak nie jest pewne, kiedy do niej doszło. Szczegóły nie mają tu jednak większego znaczenia. Ważne są skutki tego wydarzenia, bo będą one miały wpływ na przyszłość całego kraju.

Khomeini urodził się na początku XX wieku na obrzeżach położonej około trzystu kilometrów na południe od Teheranu miejscowości Khomeyn, w dzisiejszej prowincji Markazi. Był najmłodszym z szóstki rodzeństwa. W jego oczach ojciec był bohaterem i męczennikiem. Dorastał w cieniu jego legendy, tworząc swój prywatny kult i pielęgnując nienawiść do tego, którego obwiniał o jego śmierć. Kiedy doszło do zmiany władzy i szach Reza stracił tron na rzecz swojego syna, Khomeini nie miał wątpliwości, że adresatem jego niechęci powinien być również młody szach, choć ojciec zginął za czasów jego poprzednika. Był przekonany, że to właśnie na rozkaz władcy zabito jego ojca, i choć nie było na to żadnych twardych dowodów, on nigdy nie przestał w to wierzyć. Niechęć do dynastii Pahlavi stała się jego obsesją, a ta paliwem w dążeniu do obalenia cesarskiej dyktatury.

W swoich późniejszych przemówieniach niezwykle często będzie używał sformułowania „ci, których ojcowie zostali zabici przez szacha Rezę”, budując tym propagandowy przekaz niechęci do obalonej monarchii, ale też wyrażając swój osobisty żal. Sam był jednym z nich.

Ruhollah w języku arabskim oznacza „droga”. Jego własna, życiowa była bardzo wyboista, ale nie da się ukryć, że wiodła do sukcesu, nawet jeśli ten sukces oznaczał tragedię milionów jego współobywateli. To jednak nigdy nie jest problemem dla ludzi dążących do władzy po trupach i bez względu na wszystko. Zwłaszcza jeśli są przekonani, że ich działaniem kieruje boska wola. Tę mogłoby wyjaśniać drugie tłumaczenie imienia duchownego,

które oznacza „duch Allaha”. Trudno znaleźć drugiego człowieka, którego przeszłość tak wyraźnie nakreśliło jego imię.

W bardzo młodym wieku Khomeini został odesłany do swojej bogatej ciotki, która obiecała zadbać o jego edukację i spełniła tę obietnicę, zwłaszcza że mały Ruhollah był bardzo obiecującym uczniem. Od najmłodszych lat studiował Koran i język arabski, a krewni, w tym kuzyn i starszy brat jego matki, pomagali mu w nauce. Szybko się okazało, że ma do niej niezwykle talent. Już jako pięcioletek potrafił płynnie czytać w dwóch językach. Zdobywanie wiedzy stało się jego obsesją. Nie bawił się z innymi dziećmi, cały czas wolny spędzając nad książkami, zwłaszcza tą jedną, której treść stała się treścią jego życia.

Już jako wczesny nastolatek zaczął zabierać głos w kwestiach religijnych, a jako młodzieniec był niezwykle charyzmatycznym mówcą. Kiedy szach Reza wprowadził w Iranie *kashf-e hidżab* – zakaz noszenia czadorów przez kobiety, głośno protestował, nazywając to pogwałceniem zasad islamu i *moharabeh*, wojną przeciwko Bogu, a więc największym przestępstwem, jakiego może się dopuścić muzułmanin. Dla niego osobiście był to tylko kolejny powód do nienawiści wobec władcy, który najpierw odebrał mu ojca, a teraz dokonał gwałtu na jedynej słusznej religii, stawiając się ponad władzą Allaha.

Szybko stał się znany wśród społeczności muzułmańskiej i podbił jej serca. Pierwszą próbę nakreślenia przyszłości Iranu jako republiki islamskiej podjął, kiedy znienawidzony przez niego król został zmuszony do abdykacji. Nawoływał do tego, by zamiast sukcesji tronu zakończyć w Iranie czas panowania monarchów i oddać władzę Allahowi. Jego słowa trafiały jednak w próżnię, choć ziarno zostało zasiane i już wkrótce zacznie kiełkować, znacznie utrudniając sprawowanie władzy nowemu władcy.

Młody szach nie wykpił się od nienawiści Khomeiniego, którą poprzysiągł dynastii Pahlavi już w dzieciństwie. Choć ojciec władcy zmarł na wygnaniu niespełna trzy lata po abdykacji, niechęć do monarchii w czterdziestoletnim wówczas, rosnącym w siłę duchownym wciąż narastała. Miał teraz do niej znacznie więcej powodów niż tylko te osobiste. Z każdą obietnicą reform zbliżających Iran do Zachodu Khomeini radykalizował swoje działania, uważając je za zdradę Boga i narodu, choć nowy szach był w porównaniu do swojego ojca znacznie łaskawszy wobec duchownych i przynajmniej na początku rządów starał się zręcznie

lawirować pomiędzy ich dążeniami a nowoczesnym porządkiem, jaki chciał zaprowadzić w Iranie.

Zdając sobie sprawę, że zaprowadzenie muzułmańskiego porządku w Iranie będzie wymagało solidnej pracy u podstaw, Khomeini skupił się na nauczaniu prawa islamskiego, a jego płomienne nauki trafiały do uszu tysięcy młodych studentów, którzy pod jego wpływem szybko się radykalizowali. Część najbardziej zafascynowanych duchownym słuchaczy zorganizowała się nawet w grupę zwaną *Fadā'iyān-e Islam* – męczennicy islamu, poświęceni islamowi. Jej centralną postacią stał się młody, zahipnotyzowany słowami Khomeiniego, Navvab Safavi, który nie miał wątpliwości, że w walce o swoje idee będzie musiał sięgnąć po najbardziej radykalne rozwiązania.

On też miał charyzmę i łatwość porywania tłumów. Skupił wokół siebie szyickich fundamentalistów, pochodzących z najbiedniejszych części Teheranu. Ich jedynym postulatem było wprowadzenie w Iranie nowego ustroju – opartej o koraniczne zasady teokracji. Żądali tym samym zerwania stosunków ze światem grzesznego Zachodu i zakazania kobietom działalności publicznej, pracy zarobkowej oraz odsłaniania głów i twarzy.

Początkowo nikt nie przywiązywał uwagi do działalności kilkudziesięciu radykalnych krzykaczy, ale wkrótce było ich już kilkuset, a potem kilka tysięcy. Zaczęli stanowić trudną do zignorowania grupę wpływów. Niedługo ich działalność zaczęła również przynosić krwawe efekty.

Na ich celowniku jako pierwszy znalazł się Ahmad Kasravi, ze względu na miejsce pochodzenia znany również jako Tabrizi. Był nieco ponad dekadę starszy od Khomeiniego i jak on był klerykiem, ale w wyniku konfliktu z duchownymi został wydalony z ich szeregów i okryty niesławą wśród radykalnych wyznawców islamu.

Faktycznie jego postępowość i otwarte spojrzenie na przyszłość Iranu nie pasowały zbyt do ich agendy. Kasravi był lingwistą, historykiem, wspierał gospodarcze reformy obu władców z dynastii Pahlavi, ale był też zwolennikiem reform w szeregach szyickich duchowych. Został jednym z pierwszych profesorów nowo powstałego uniwersytetu w Teheranie i głosił potrzebę budowania świeckiego państwa. W oczach



fundamentalistów trudno było o większą herezję, a zważywszy na jego przeszłość w stanie duchownym – wręcz o zdradę.

Młody Navvab Safavi osobiście wydał na niego wyrok.

Pięć lat po objęciu władzy przez młodego szacha radykałowie z *Fadā'iyān-e Islam* dokonali swojego pierwszego aktu terroryzmu. Z zimną krwią zasztyletowali Kasraviergo i jego współpracownika w biały dzień na ulicy Teheranu.

Choć sam Khomeini zaprzeczył związkom z zabójstwem, krótko przed tym, jak do niego doszło, wezwał młodych męczenników islamu do przeciwstawienia się „temu analfabecie Tabriziemu”. Doskonale wiedział, że tym samym wydaje na niego wyrok śmierci, ale egzekucję przeprowadził w białych rękawiczkach.

W szyickim islamie zabójstwo przestaje być przestępstwem, jeśli zostało dokonane na podstawie fatwy duchownego, i choć to nie Khomeini osobiście wydał fatwę na Kasraviergo, nie będzie wielkim nadużyciem stwierdzenie, że to on stał za jego zabójstwem.

Ten zamach miał być dla duchownego testem siły. Zakończył się sukcesem, a sądząc po tym, że rozpoczął serię zabójstw, stał się dla Khomeiniego kolejnym orężem w walce o realizację jego islamskiej wizji. W podobny sposób zginęło dwóch premierów Iranu Hazhir i Razmara, a wkrótce potem dokonano próby zamachu na samego szacha. W przypadku próby zabójstwa władcy nie jest pewne, kto zamach zainspirował, bo sprawę rozegrano politycznie. Szach miał przeciwko sobie dwa potężne wzajemnie skonfliktowane obozy – komunistów i fundamentalistów. Oba pragnęły widzieć go martwym, a przynajmniej z dala od Iranu.

Kiedy po nieudanym zamachu szach dochodził do siebie, postanowił wykorzystać to, co się stało, na swoją korzyść. Jako władca absolutny mógł zdecydować, kto jest winny. W praktyce oznaczało to wskazanie siły, której obawiał się bardziej. Szach wskazał na irańskich komunistów. O zamach oskarżono działaczy prosowieckiej partii Tudeh, choć nie jest wykluczone, że zupełnie niesłusznie. Partię rozwiązano, a około dwustu jej czołowych działaczy trafiło do niewoli. Na tym jednak represje się skończyły. Szach, mając świadomość, że udział Tudeh w zamachu nie jest pewny, nie odważył się na wyciągnięcie poważniejszych konsekwencji.

Niezależnie od wewnętrznej opozycji, która próbowała uniemożliwić Iranowi współpracę z Zachodem, szach pozostawał na obranej przez swego ojca ścieżce. Zwłaszcza że zakończona właśnie druga wojna światowa przyniosła ogromne zapotrzebowanie na paliwa kopalne. To otworzyło przed irańskim władcą duże możliwości.

Ocean ropy pod powierzchnią zajmowaną przez Iran znaleziono w pierwszej dekadzie dwudziestego wieku i było to pierwsze tego typu odkrycie w tym rejonie świata. Można zatem powiedzieć, że to właśnie Iran wytyczył pozostałym krajom Zatoki Perskiej drogę do poszukiwań ukrytego w ziemi skarbu i budowania swej potęgi. Każde z nich wykorzystało tę szansę na swój sposób. Iran miał w tej kwestii potężne ambicje.

Właśnie z tego względu szach był przyjmowany w Stanach Zjednoczonych jak władca mocarstwa, a nie kraju, który był do tej pory traktowany raczej lekceważąco. Amerykanie byli zdeterminowani, by robić z nim interesy, nie mniej niż on sam. Szach, który w trakcie swojego panowania dał się poznać jako człowiek o wybujałym ego i wielu kompleksach, był dla nich idealnym partnerem. Łatwo było go kupić prostymi zabiegami. W czasie swojego panowania odbył aż piętnaście wizyt za ocean, sam przyjmował amerykańskich prezydentów w Iranie kilkakrotnie. Pahlavi uważał to za dowód swojej wielkości – Amerykanie raczej za świetny interes.

Zbudowana trzy dekady wcześniej i przez większość tego czasu pozostająca największą na świecie rafineria w leżącym na wyspie w pobliżu irackiej granicy Abadan stała się dla szacha centrum wszechświata i sposobem na osiągnięcie spektakularnego sukcesu. Po nacjonalizacji wydobywania, z którego do tej pory ogromne zyski czerpali również Brytyjczycy, szach miał zdecydowanie większe pole manewru i choć chwilowo zyskał tym samym spore poparcie społeczne, spór doprowadził do kryzysu, a ten chętnie wykorzystali jego polityczni przeciwnicy. Oni też zbijali ogromny kapitał. Braki paliw w kraju z tak ogromnymi ich złożami niełatwo wyjaśnić przeciętnemu zjadaczowi chleba. Ale populiści na wszystko znajdą prostą receptę.

Gniew tłumów był dla szacha coraz groźniejszy. W końcu władca uciekł z kraju. Amerykanie, zdając sobie sprawę z tego, że kupowanie ropy zarówno od rządu komunistycznego, jak i tego stworzonego przez

islamskich radykałów byłoby praktycznie niemożliwe, zdecydowali się zainterweniować. Dzięki nim nie doszło do rewolucji obalającej monarchię, a szach wrócił do kraju, utrzymując swoją władzę. To właśnie wtedy dzięki amerykańskiemu wsparciu finansowemu i ekspertyzie CIA powstały służby specjalne szacha – SAVAK. Od tej pory będą miały za zadanie tłumić wszelkie niepokoje i represjonować politycznych przeciwników władcy.

W czasie, gdy szach przebywał za granicą, Khomeini nie zabrał głosu podczas żadnych politycznych wieców. Mogłoby się zdawać, że zrezygnował z ambicji, a nawet pokonał swoją niemal wrodzoną niechęć do monarchy. Wiódł spokojne rodzinne życie w mieście Qom. W tym czasie spotykał się wyłącznie ze swoimi najbardziej zaufanymi współpracownikami i studentami, ale nikt nigdy nie poznał treści ich rozmów. Mogły nie mieć żadnego politycznego znaczenia, ale równie dobrze mogły kłaść podwaliny pod przejęcie władzy w kraju.

Zwłaszcza że niedługo potem doszło do spotkania Khomeiniego z szachem. Duchowny miał do władcy konkretny interes. Chciał, żeby ten ułaskawił jednego z terrorystów z grupy *Fadā'iyān-e Islam* skazanego na śmierć. Mimo kiepskich doświadczeń z fundamentalistami szach po raz kolejny wybrał drogę pojednania i spełnił prośbę Khomeiniego. Miał nadzieję, że rozładuje tym samym napięcie narastające zwłaszcza od czasu, gdy SAVAK zabrała się do porządkowania społeczeństwa, bezkompromisowo, często bardzo boleśnie tłumacząc obywatelom, kto sprawuje władzę w ich kraju.

Aby podkreślić, że nie jest wrogiem islamu i warto stanąć po jego stronie, szach odbywał regularne i mocno nagłaśniane pielgrzymki do Mekki. Zresztą faktycznie był oddanym muzułmaninem, choć w oczach fundamentalistów pozostawał zdrajcą ich religii. Sam szach widział jednak w demonstracji swojej religijności cel polityczny. Wiedział, że nie jest w stanie zwalczyć dwóch opozycyjnych obozów nawet dzięki represjom funkcjonariuszy SAVAK. Wciąż się upierał, że dużo groźniejszymi dla niego są komuniści, a przekonując do siebie islamskich radykałów, będzie w stanie ich zwalczyć. Czas miał pokazać, jak bardzo się w tej diagnozie pomylił.

Budowę relacji z duchownymi zdecydowanie zniweczyła biała rewolucja, która pozbawiła kleryków sporych źródeł dochodu i przypomniała im o tym, że szach jest ich wrogiem. Publiczne rozdawanie przez władcę praw

do własności ziemi biednym rolnikom rozwścieczyło wielu. Zwłaszcza tych, którym dotychczasową możliwość wyzysku odebrano. Oczywiście buntując wiernych, nie mówili o prawdziwych powodach wściekłości, ale o tym, że szach występuje wprost przeciwko Bogu. Zresztą reformy dostarczyły im więcej argumentów na potwierdzenie tej tezy. Wykorzystali do tego między innymi rozszerzenie praw kobiet o te wyborcze. Radykałowie zaczęli coraz poważniej uderzać w reżim szacha.

Niedługo przed ogłoszeniem białej rewolucji Khomeini został głównym liderem irańskich szyitów. Nie zamierzał być wyłącznie figurantem – od pierwszego dnia zaczął wykorzystywać powierzoną mu przez wiernych władzę i wspierany przez wielu innych duchownych publicznie krytykował szacha.

Władca nie pozostawał dłużny i przypuścił atak na ulemów – duchownych, nie bez racji wskazując, że nie bronią oni Boga, a jedynie własnych przywilejów. Problem w tym, że szach był ostatnią osobą, która mogła komukolwiek zarzucać uprzywilejowanie i wykorzystywanie obywateli. W odpowiedzi słyszał o własnym rozpasaniu i zbytkach.

Ten argument Khomeini wykorzystywał najchętniej. Kontynuował płomienne przemowy uderzające w szacha Pahlawiego i podburzające naród przeciwko niemu. Szach nie mógł tego dłużej tolerować. Po kolejnym publicznym przemówieniu przeciwko władcy Khomeini został zatrzymany w Qom i przewieziony do Teheranu. Jego aresztowanie spowodowało wybuch gwałtownych zamieszek. Ich pacyfikacja pochłonęła około czterystu ofiar śmiertelnych. Mimo brutalnej odpowiedzi na protesty szach, widząc reakcję obywateli, nie zdecydował się na zamknięcie Khomeiniego w więzieniu. Ajatollah pozostał w areszcie domowym przez kolejne dwa miesiące.

Kara nie zwiodła jednak duchownego z obranej drogi. Wręcz przeciwnie – radykalizował się coraz bardziej. Trzy miesiące później znowu publicznie potępił szacha za zapewnienie immunitetu dyplomatycznego amerykańskiemu personelowi wojskowemu w Iranie. Uznał to za zdradę i przyznanie szczególnego statusu wrogom. Tym razem trafił do więzienia na pół roku, a po wyjściu z niego został wezwany na spotkanie z premierem Hassanem Alim Mansurem. Polityk – wyraźnie na polecenie władcy – próbował przekonać duchownego do zmiany retoryki i zaprzestania publicznego buntowania obywateli, ale Khomeini nie zamierzał się ugiąć.

Kolejne dwa miesiące później w drodze do parlamentu Mansur został zamordowany przez członków *Fadā'iyān-e Islam*. Nie było wątpliwości, że inicjatorem zamachu był sam duchowy przywódca irańskich szyitów. Zamachowców stracono, ale zabójstwo premiera niedługo po rozmowie z ajatollahem było jasnym sygnałem, że Khomeini staje się coraz bardziej niebezpieczny.

Jednym z rozważanych rozwiązań było jego usunięcie – zamach lub nawet publiczna egzekucja. Ale przecież skutki takiego aktu mogłyby się okazać nieobliczalne, skoro zwykłe aresztowanie wywołało kilkudniowe zamieszki. Poza tym islamscy fundamentaliści zyskaliby swojego męczennika, co z pewnością jeszcze bardziej zjednoczyłoby ich przeciwko szachowi.

Khomeini został więc wygnany z kraju, co miało ograniczyć jego wpływy i z czasem pomóc opanować fundamentalistyczną opozycję. Początkowo osiadł w Turcji, a już po roku pozwolono mu na przeprowadzkę do świętego irackiego miasta Nadżaf. Mieszkał tam przez blisko czternaście lat, dopóki nie nadepnął na odcisk Saddamowi Husajnowi, który w konsekwencji też wydalil go ze swojego kraju.

Lata spędzone w Iraku Khomeini poświęcił głównie nauczaniu i pisaniu książek. Choć z każdym rokiem jego szanse na zrealizowanie marzenia o stworzeniu w Iranie teokracji malały, oddał się opisywaniu idealnego modelu władzy, jaka jego zdaniem powinna cechować kraj wierny Allahowi. Wtedy też nakreślił ramy konstytucji swojego wymarzonego państwa. Nie miał pojęcia, że niedługo będzie miała ona szansę wejść w życie, choć już po zdobyciu władzy Khomeini dokona w niej jednej, bardzo zasadniczej zmiany...

Tymczasem wbrew oczekiwaniom w kraju narastały niepokoje, a wraz z nimi represje. Wszystkie protesty były tłumione przez SAVAK mniej lub bardziej radykalnie. Oprócz buntu pojawiło się inne, bardzo niebezpieczne dla władzy szacha zjawisko. Choć to rzadkie w świecie islamu, bo religia ta zakazuje czczenia jednostki, wśród wiernych Khomeiniemu Irańczyków zaczął się budzić jego kult. Tego szach obawiał się najbardziej.

Mimo że ajatollah nadal żył, ze względu na jego wygnanie przypisywano mu cechy męczennika. Ludzie opowiadali o cudach, które miały mieć miejsce za sprawą Khomeiniego. Były też przekazy niemal mesjańskie. Jednym z najczęściej powtarzanych była przepowiednia, jaką tuż przed

swoją śmiercią u schyłku VIII wieku miał wygłosić szyicki imam Musa al-Kadhem. Głosiła ona, że z Qom wyjdzie człowiek i wezwie ludzi na właściwą ścieżkę. Nie było dowodów na prawdziwość tego proroctwa ani na to, że faktycznie dotyczyło ono Khomeiniego. Nawet jeśli nic nie wskazywało na to, że ma szansę kiedykolwiek się spełnić, było to dopełnienie mitu, który pieczołowicie budowano w Iranie i poza nim. Bardzo się on przydał, gdy Khomeini, zupełnie się tego nie spodziewając, mógł wreszcie wrócić do swojej ojczyzny.

Oczywiście nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie ogromne, podsycane przez komunistów i fundamentalistów niepokoje społeczne. Do jednej z najtragiczniejszych w skutkach demonstracji doszło w dniu nazwanym dla jego upamiętnienia Pupil Day – dzień ucznia. Studenci Uniwersytetu w Teheranie zebrali się na jego kampusie, by zaprotestować przeciwko reżimowi władcy. Do ich protestu, co nie było częste, dołączyli też uczniowie szkół średnich, a nawet podstawowych. Było ich tysiące, a niepokoje zaczęły się rozlewać poza mury uczelni. Wtedy zainterweniowały służby. Podobno dostały rozkaz od samego szacha: „Strzelać, by zabić”. Z taką licencją na zabijanie nie musieli się ograniczać wyłącznie do amatek wodnych i gazu łzawiącego. Od kul sił posłusznych królowi zginęło blisko sześćdziesięciu studentów i uczniów. Setki zostało rannych, wielu umarło w szpitalach i więzieniach.

Trzy miesiące później, w styczniu szach nie miał już wyjścia. Opuścił Iran. Był przekonany, że tak jak poprzednio tylko na krótki czas. Oficjalnie wyjechał na leczenie zaawansowanego raka, ale wielu już wtedy wieszczyło, że nigdy do Iranu nie wróci. Doszło do sytuacji, w której ten, który skazywał na wygnanie, został wygnany. A wygnany mógł wreszcie powrócić...

Tak jak wyjazd szacha pozostał niemal niezauważony, tak powrót Khomeiniego do Teheranu był iście triumfalny. Ajatollah przyleciał do swojego kraju z Francji, gdzie udał się jako turysta po tym, jak z Iraku wygonił go Husajn. To dość ironiczne, że zakochanego we Francji szacha zastąpił ktoś, kto właśnie z Francji przyleciał. Legenda stawała się rzeczywistością. Rozentuzjasmowany pięciomilionowy tłum witał go na lotnisku i ulicach stolicy. Na pokładzie wycarterowanego samolotu linii Air France Khomeiniemu towarzyszyło stu dwudziestu dziennikarzy, były wśród nich także kobiety. Oczy całego świata znowu zwróciły się na Iran,

a przywódcy wielu krajów wstrzymali oddech w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Nie było wątpliwości, że w kraju właśnie dochodzi do spektakularnego przewrotu, który nie pozostanie bez znaczenia dla losów świata.

Po wyjeździe szacha władzę w Iranie przejął rząd tymczasowy, ale Khomeini natychmiast po przyjeździe ustanowił własnego premiera. Został nim kompletnie zdominowany przez duchownego Mehdi Bazargan. Kiedy ajatollah przedstawiał go ludowi, Bazargan oświadczył, że jego rząd to „rząd boży”, a nieposłuszeństwo wobec niego będzie uważane za „bunt przeciwko Bogu” – dając jasno do zrozumienia, że sprzeciw wobec nowej władzy będzie uważany za *moharabeh* i karany śmiercią.

W tym czasie wcale nie było jeszcze pewne, że to właśnie Khomeini stanie na czele państwa. Apetyt na władzę mieli również komuniści. Ale ajatollah po tylu latach czekania i walk nie miał zamiaru odpuścić tej szansy i od samego początku zachowywał się tak, jakby rządził Iranem niepodzielnie. Jego obywatelom obiecał nadejście nowej ery, w której wolność słowa i narodowe bogactwo naftowe będą wykorzystywane dla dobra narodu irańskiego. Ta obietnica, której nigdy nie miał zamiaru dotrzymać, chwyciła za serce wielu doświadczonych represjami szacha i biedą wynikającą z defraudacji narodowego majątku. Iran stanął w ogniu, z którego miał się odrodzić niczym Feniks.

W czasie, gdy wybuchła rewolucja islamska, moja babcia była młodą matką z siedmioletnim synem. Zupełnie rozerwaną pomiędzy obietnice świetlanej przyszłości i przeszłość, której wcale nie chciała wymazać, czego domagali się radykałowie ze wszystkich stron.

Owszem, była świadoma błędów, jakie popełniał szach, i wiedziała, że wielu jej rodaków ma całkiem poważne powody, by go nienawidzić, ale ona pamiętała też czas sprzed reform władcy. Sama była jednym z dzieci, które dzięki niemu miały szansę się wykształcić. Uwielbiała czytać, ale zanim do jej wioski trafił oddział umundurowanych kobiet mających za zadanie nauczyć dzieci tej umiejętności, nawet nie wiedziała, że istnieje coś takiego jak książka.

Gdyby nie zmiany, jakich dokonał Mohammad Reza, nie miałyby szans pójść na uniwersytet. Jej rodzice byli wyrobnikami ze wsi. Ją czekał taki

sam niewolniczy los, ale dzięki szachowi miała szansę na jego odmienienie. Chciała być jedną z nich, kobiet, które uczą dzieci i niepiśmiennych dorosłych czytać, pisać i liczyć.

Nie były nauczycielkami. Na mocy aktów z białej rewolucji to zadanie powierzono żołnierzom, a wśród nich było mnóstwo kobiet. Babcia uwielbiała swoją pracę. I choć często oznaczała ona rozłąkę z synkiem, czuła, że ma obowiązek wobec innych dzieci takich jak on, które nie miały w życiu tyle szczęścia. Chciała, żeby to rozumiał. Dlatego zawsze wracała do niego z nową historią z podróży.

Każda z nich opowiadała o innym dziecku mieszkającym gdzieś na irańskiej prowincji. Tylko babcia wiedziała, czy są prawdziwe, ale mój tata święcie w nie wierzył. Wiele opowiadał później mnie, choć miałam też okazję poznać je w oryginale z ust babci. Najbardziej zapamiętałam tę o dziewczynce, która dzięki umiejętności czytania uratowała życie swojemu ojcu. Nawet jeśli była zmyślona, wywarła na mnie ogromny wpływ, bo nigdy nie miałam wątpliwości, że edukacja jest w życiu najważniejsza, a do nauki nikt nie musiał mnie namawiać.

*Pewna bezlitośnie trawiona suszą wioska na perskim południu znajdowała się pod rządami starego imama znanego jako wielebny Kasra. Dochody z suchej jak proch ziemi były niewielkie, ale Kasra pobierał od rolników uprawiających jego ziemie podatki, których wysokość znacznie przekraczała ich możliwości.*

*Kiedy przychodził czas zapłaty, pojawiał się w wiosce osobiście i ze słowami Koranu na ustach błogosławił wieśniaków, a następnie żądał, by spełniali swoją powinność wobec niego. Żaden z nich nie był w stanie tego zrobić, bo sami często nie mieli czym nakarmić swoich dzieci, a wielu w wiosce umarło już z głodu.*

*Któregoś dnia imam zawitał w progi mężczyzny o imieniu Ashkan, który po śmierci żony i trzech synów próbował zapewnić ostatniemu dziecku, siedmioletniej Gol, wszystko, co w jego mocy. Imię dziewczynki w języku perskim oznacza „kwiatek” i dokładnie jak wiosenny kwiatek była śliczna, choć kwiatów ta kraina nie widziała od czasów długo przed jej narodzinami.*

*– Niech ci Allah błogosławi, mój synu – powiedział wielebny Kasra na powitanie.*

*Ashkan nie był w stanie odpowiedzieć w uprzejmy sposób, widząc, jak duchowny swoim pełnym frazesów językiem próbuje uczynić go bardziej poddanym. Chciał pokazać, że opłaty, której oczekuje on, tak naprawdę wyczekuje sam Bóg.*



– Allah od dawna mi nie błogosławi – odparł gospodarz ze ściśniętym gardłem, bo zdruzgotany żałobą po żonie i trójce dzieci, cierpiący codzienny głód mimo pracy od świtu do zmierzchu, nie był w stanie dostrzec bożego błogosławieństwa.

– Bo grzeszysz, mój synu, bo grzeszysz... – odpowiedział wielebny Kasra z olbrzymią pewnością siebie.

– Nawet na grzech czasu mi nie staje. Czymże zresztą miałbym grzeszyć?

– Nieposłuszeństwem. Wiesz, że długi trzeba spłacać, a ty w nich toniesz i zdajesz się niczego sobie z tego nie robić.

– Nie mam pieniędzy! – odparł stanowczo Ashkan.

– Wszyscy to mówicie... Ale mam dla ciebie propozycję, która może cię od długu uwolnić, jeśli tylko będziesz tego chciał. To jednak wymaga Boga w sercu. Spróbuj go w sobie znaleźć, a ja wrócę za trzy dni i zadam ci pytanie, czy jesteś gotowy, by wypełnić wolę Najwyższego.

Mężczyzna nie miał pojęcia, co wielebny Kasra ma na myśli, ale sama myśl o uwolnieniu się od długu wobec pana ziemi, którą uprawiał, była niezwykle kusząca. Mimo ciężkiej pracy każdego dnia modlił się gorliwie, by przygotować się na wysłuchanie propozycji imama. Warunkiem miało być przecież serce wypełnione miłością do Allaha.

Ashkan był pobożnym muzułmaninem, ale życiowe tragedie oddaliły go od Boga. Każda z nich odebrała mu część wiary w to, że Bóg nad nim czuwa. Dopiero propozycja imama dała mu nadzieję.

W wiosce, w której mieszkał razem z Gol, zostało zaledwie siedmioro dzieci. Wszystkie uczęszczały na lekcje czytania i pisania prowadzone przez wysłanników króla, który chciał, by jego ludzie potrafili porozumiewać się w nowoczesny sposób. Na lekcje uczęszczali też dorośli, ale niewielu, bo niewielu mogło sobie pozwolić na odłożenie pracy i luksus nauki.

Gol uwielbiała się uczyć. W jej rodzinnym domu nie było żadnej książki, ale panie nauczycielki, które przyjeżdżały do wioski, przywoziły ich ze sobą całkiem sporo. Dziewczynka czytała niemal kompulsywnie, często kilka książek jednocześnie. Jakby chciała nacytać się na zapas.

W dniu, w którym wielebny Kasra powrócił do wioski, swoje pierwsze kroki od razu skierował do domu Ashkana.

– Jesteś gotowy, mój synu? – spytał.

– Nie wiem na co...

– Na największe dzieło swojego życia.

Mężczyzna był kompletnie skołowany tajemniczymi słowami imama. Nie wiedział, czego ten od niego oczekuje.

Wtedy duchowny wyjął zza pazuchy list.

– Wystarczy, że to podpiszesz i pojedziesz ze mną. To wszystko nie potrwa dłużej niż dwa dni. Gdy wrócisz, twoje życie zupełnie się odmieni...

Ashkan się zawahał. Choć perspektywa zmiany jego bolesnej egzystencji była niezwykle kusząca, przed podpisaniem listu, którego i tak nie potrafił przeczytać, powstrzymywał go brak umiejętności pisania.

– Gol, podejdź tu, kochanie – zawołał do córki.

Na twarzy imama pojawiło się zdziwienie. Jeszcze większe, gdy do izby weszła siedmioletnia dziewczynka.

– Powinna być zasłonięta – powiedział natychmiast.

– To tylko dziecko – odpowiedział Ashkan, sadzając sobie małą na kolanach.

– To dziewczynka. Powinna być zakryta – powtórzył stanowczo imam.

– Nie jest i nie będzie! – uniósł głos ojciec.

Duchowny zrozumiał, że podejmując ten temat, może nie być w stanie dobić targu, a przecież po to tu przybył. W czasie, gdy mężczyźni się spierali, Gol zobaczyła leżący na stole list i swoim zwyczajem zabrała się do czytania.

– Tatusiu, ty zabiłeś króla? – przerwała nagle rozmowę dorosłych.

– O czym ty mówisz, kochanie? – spytał zaskoczony Ashkan. – Nikogo nie zabiłem.

– Tu jest napisane, że zabiłeś króla. I że się do tego przyznajesz. I są jeszcze brzydkie słowa o królu. I że to kara za zdradę... Tatusiu, czy ty zabiłeś króla?

Ashkan nie umiał pisać ani czytać, ale inteligencji mu nie brakowało. W mig zrozumiał, na czym miał polegać układ z wielebnym Kasrą. Duchowny, obawiając się utraty gruntów i zwierzchnictwa nad ludźmi, których wyzyskiwał, postanowił na własną rękę unicestwić króla, który zabierał ziemie bogatym i oddawał je biednym.

Poprosił córeczkę o to, by schowała się w sąsiedniej izbie, a gdy tylko Gol posłusznie zniknęła za drzwiami, wstał gwałtownie, górując nad przestraszonym duchownym.

– To jest ta twoja szansa? – warknął.

– Szach od dawna nas wszystkich wykorzystuje. To przez niego jest tu bieda – próbował się tłumaczyć imam.

– Biedni jesteśmy my, a wykorzystuje nas pewien wielebny. Moje długi właśnie zostały anulowane. Jeśli jeszcze raz pojawisz się w tej wiosce, żądając zapłaty, nigdy już z niej nie wyjedziesz. Skoro miałem zabić ciemiężyciela, to z przyjemnością to zrobię.

*Ashkan sam nie rozumiał, skąd nagle wzięła się u niego taka siła, ale wiedział, że niewiele ma już do stracenia.*

*Wielebny Kasra wrócił do wioski kilka dni później w towarzystwie swoich ludzi, ale już po krótkiej wymianie zdań z jej zbuntowanymi mieszkańcami obstawa imama przeszła na ich stronę. Kasra musiał się ratować ucieczką, a kilka tygodni później stracił wyzyskiwane przez siebie ziemie. Król oddał je ludziom, którzy je uprawiali. Niedługo potem Allah zesłał deszcz, który uratował ich plony, a Ashkan codziennie po powrocie z pola pod okiem swojej córeczki pilnie szlifował czytanie i pisanie, by już nikt nigdy nie był w stanie nim manipulować.*

Ta opowieść brzmiała jak bajka, choć tak naprawdę była bardzo polityczna. Bajki z reguły nie opowiadają o faktycznych reformach władców i ich oponentach, ale właśnie takie były wtedy czasy w Iranie. Nie wiem, ile było w tej opowieści prawdy, ale wiem, że dla wielu uwłaszczenie mieszkańców Iranu przez szacha obrosło legendą i na zawsze stało się powodem, dla którego odrzucali jego krytykę. Sporo można mu zarzucić, jednak tego Irańczycy nigdy mu nie zapomną. Niejeden z nich do dziś dużo ryzykuje, opatrując wspomnienia o nim słowami: *khoda biamorz* – „niech go Bóg błogosławi”.

Wszystko się skończyło, gdy w kraju nastąpiła tyrania duchownych. Tacy jak wielebny Kasra znowu mieli władzę, znów dyktowali warunki. Pewnego dnia, kiedy moja babcia jak zwykle poszła do pracy i w wojskowym mundurze chciała uczyć wiejskie dzieci i ich rodziców, a czasem nawet i dziadków, dowiedziała się, że nie jest już potrzebna.

Kobiety nie mogły już pracować w armii. Musiały natychmiast porzucić mundury i zacząć ubierać się... jak kobiety. Odtąd miały się nosić na czarno i zakrywać najszczelniej jak tylko się da.



CZEŚĆ II  
**ZENDEGI**



# Zendegi – życie

Irańczycy mają do życia stosunek bardzo szczególny, bo od wieków traktowane jest ono przez ich władze przedmiotowo. Reżimy nie dbają o życie obywateli. Jako istotna wartość pojawia się ono tylko we frazesach, obietnicach i modlitwach polityków. Tak naprawdę jednak nie ma najmniejszego znaczenia.

Ważna w Iranie religia zrobiła z wielu Irańczyków niewolników, którym nie przeszkadzają trudności życiowe, bo nagroda ma na nich czekać po śmierci. Choć wymyka się to wszelkiej logice, zdają się zadowoleni z tego, jak traktuje ich państwo, i wciąż są mu oddani. Swoje życie podporządkowali religii i żywią przekonanie, że są częścią kraju, który jest blisko Boga, kompletnie nie zauważając, że to tylko manipulacja rządzących nimi duchownych i podporządkowanych im polityków.

To dlatego zmiana sytuacji w Iranie będzie bardzo trudna, bo poza ścieraniem się dwóch kompletnie odmiennych wizji świata na ulicach ścierają się ze sobą zwykli obywatele. Walczą na śmierć i życie. Jedni gotowi są zginąć za Boga, drudzy – za wolność. Tych, którzy nadal jeszcze mają na nią nadzieję, wciąż są miliony. A sądząc po tym, jak rozwijają się protesty w Iranie, nie ma szans na kapitulację.

W kobietach, które najczęściej wychodzą dziś na ulice, widać ogromną determinację i niesłabnącą nadzieję na zmiany. Mówią „nie mamy nic do stracenia”, „przecież wszystkich nas nie zabijają”. A zabijają je codziennie.

Życie Irańczyków nie jest mniej cenne od życia kogokolwiek innego, a jednak doniesienia o tym, że kolejna osoba je straciła, zupełnie nam spowszedniały. Media co jakiś czas ekscytują się głośną oficjalną egzekucją i wyrażają swoją dezaprobatę, tymczasem irański reżim takich egzekucji wykonuje setki dziennie – na ulicach, po kryjomu w więzieniach, doprowadzając do śmierci głodowej wielu swoich obywateli.

Od czasu, gdy władzę przejęli islamscy fundamentaliści, w kraju masowo umierają ludzie. Najpierw reżim zabił tysiące opozycjonistów, później na pewną śmierć wysłał wielu swoich zagorzałych zwolenników, których przez osiem lat wojennej pożogi zginęło półtora miliona, a doliczając ofiary bombardowań, liczba ta przekroczyła dwa miliony. Po wojnie w każdej demonstracji ginęli ludzie, a rząd lubował się w masakrach co jakiś czas urządzanych tym, którzy próbowali walczyć o zmiany. Ulice irańskich miast nie raz spływały krwią, a aresztowani wieszani byli publicznie.

Życie Irańczyków, nie dość, że trudne ze względów ekonomicznych, stało się ulotne. Każdy tu wie, że może mieć pecha, znaleźć się w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu, zostać zadenuncjowany, fałszywie oskarżony. Dla reżimu nie liczą się fakty – drżący przed utratą władzy nie odpuszcza nikomu. Ale Irańczycy także nie odpuszczają. Gdy twoje życie nieustannie wisi na włosku, zaczynasz rozumieć, że niewiele masz do stracenia. A wtedy walczysz z jeszcze większą determinacją.

*Baraye zendegi!*

Za życie!





## ROZDZIAŁ 6

# Rewolucja

Utrzymując pozory zapowiedzianej demokracji, Ruhollah Khomeini wydawał się zwolennikiem wyborów, które miały się odbyć po obaleniu szacha. Miały być wolne, równe i rozstrzygnąć, kogo chcą u władzy Irańczycy.

Komuniści i radykałowie stojący do niedawna ramię w ramię w opozycji wobec szacha teraz stanęli naprzeciw siebie do walki o głosy Irańczyków. W kraju już wtedy oficjalnie mówiło się o tym, że szach do niego nie powróci, choć również oficjalnie wciąż utrzymywano, że przebywa na leczeniu. I już wtedy obie strony nowo budowanej sceny politycznej zaczęły głośno domagać się tego, by monarcha bez względu na stan zdrowia powrócił i stanął przed sądem oraz plutonem egzekucyjnym (co samo w sobie zapowiadało proces jako farsę). Nigdy do tego nie doszło. Nawet wtedy, gdy szach przyznał w wywiadzie, że leczenie, choć konieczne, było tylko pretekstem i że jest na dożywotnim wygnaniu.

Islamscy fundamentaliści zmiażdżyli w wyborach swoich oponentów. Zręcznie wykorzystując meczety i charyzmę Khomeiniego, zdobyli absolutną większość – pięćdziesiąt pięć z siedemdziesięciu trzech miejsc w parlamencie. Iran stanął w obliczu nowej rzeczywistości. Niemal z dnia na dzień zmienił się nie do poznania, a początkowe nagłe przeobrażenia były tylko preludium do tego, co miało się w tym kraju wydarzyć w ciągu kolejnych miesięcy i lat.

Wtedy jeszcze Khomeini wciąż udawał demokratę. Przedstawił Irańczykom projekt napisanej przez siebie podczas pobytu na wygnaniu konstytucji islamskiej, ale w zmienionej w zasadniczych punktach wersji. Opozycyjni komuniści zwracali uwagę, że oryginalny projekt konstytucji nie zakładał, iż na czele państwa będzie stał *Velayat-e to Faghi* –

Najwyższy Przywódca. Demokracja nie polega na władzy duchownych, ale oszołomieni zwycięstwem ludzi Khomeiniego i jego charyzmą Irańczycy zdawali się tego nie zauważać. Rzecz jasna, nikt nie miał wątpliwości, kto jest jedynym kandydatem na stanowisko *Velayat-e to Faghi*.

Protesty opozycji przeciwko manipulowaniu konstytucji oczywiście nie podobały się ajatollahowi, więc szybko skierował przeciw nim aparat państwa. Wielu przeciwników zaaresztowano, zamknięto też kilka gazet, które najgłośniej zwracały uwagę na próbę manipulacji. Ostatecznie konstytucja w formie zgodnej z wolą Khomeiniego została poddana pod głosowanie obywateli, którzy nie zwracając uwagi na jeden bardzo ważny szczegół – albo popierając jego wprowadzenie – przyjęli ją, wyrażając ogromne poparcie.

Zaraz po jej przyjęciu zupełnie spodziewanie Khomeini został mianowany Najwyższym Przywódcą i stał się znany jako Przywódca Rewolucji. Choć oficjalnie Iran miał parlament, premiera i prezydenta, nic od tej pory nie odbywało się bez wiedzy i woli najwyższego duchownego stojącego na czele świeżo powołanej do życia teokracji. *Velayat-e to Faghi* sprawował swoją władzę bezpośrednio, wydając fatwy i dekrety, lub sterując rządem i parlamentem z tylnego siedzenia.

W dodatku zaczęto lansować doktrynę, zgodnie z którą zgromadzenie duchownych wybierające Najwyższego Przywódcę wcale go nie mianuje, a raczej „odkrywa”. Miało to oznaczać, że urząd ten i legitymacja do sprawowania władzy pochodzą od samego Boga i jego Proroka. Uważane przez Khomeiniego za ucieleśnienie szatana Stany Zjednoczone zostały ogłoszone wrogiem numer jeden Iranu. Nie pomagał tu fakt, że wciąż wspierały obalonego szacha. W Teheranie nadal funkcjonowała amerykańska ambasada, która wkrótce miała się stać areną epickich wydarzeń.

#### *4 listopada 1979, ambasada Stanów Zjednoczonych, Teheran*

Zmilitaryzowana grupa studentów, fanatycznych wyznawców idei Khomeiniego, w dramatycznym, brutalnym ataku wtargnęła do ambasady, zajęła ją i wzięła pięćdziesięciu dwóch jej pracowników za zakładników. Wszyscy byli obywatelami Stanów Zjednoczonych. Głównym żądaniem napastników było przywiezienie szacha Mohammada Rezy Pahlawiego do

Iranu na oczekiwany proces. Napastnicy nie bez racji uważali, że tylko Amerykanie mogą do tego doprowadzić, choć szach przebywał w Egipcie, ale Waszyngton nawet nie chciał o tym słyszeć.

Studenci domagali się też od USA przeprosin za ich dotychczasową politykę wobec Iranu i odmrożenia zablokowanych pieniędzy zdeponowanych w amerykańskich bankach, ale i te postulaty zostały przez Stany Zjednoczone zignorowane. Amerykanie byli wierni swojej słynnej zasadzie, że z terrorystami się nie negocjuje. Jednocześnie mieli świadomość, iż życie kilkudziesięciu ich obywateli wisi na włosku.

Sprawa rozgrzewała opinię publiczną przez półtora roku. Obie strony próbowały prowadzić rozmowy, ale nie przynosiły one żadnych postępów, bo USA nie ustępowały w kwestii żądań. Po kilku próbach uwolnienia amerykańskich obywateli podstępem finalnie się to udało, a całą historię opowiedziano w trzymającym w napięciu hollywoodzkim filmie *Operacja Argo*.

Zakładnicy byli przetrzymywani przez czterysta czterdzieści cztery dni. W tym czasie postulat rozprawienia się z szachem podczas planowanego krwawego spektaklu w Iranie przestał być aktualny. Szach zmarł w Egipcie nieco ponad pół roku po rozpoczęciu okupacji ambasady.

Prezydentem Stanów Zjednoczonych był w tym czasie Jimmy Carter, ale do końca kadencji nie udało mu się doprowadzić do uwolnienia zakładników. Wypuszczono ich dopiero w dniu inauguracji prezydentury Ronalda Reagana, dokładnie kilka minut po tym, jak ten wygłosił swoją pierwszą przemowę jako zaprzysiężony prezydent. Odebrano to jako sygnał otwartości do ułożenia współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Iran zdał sobie sprawę, że pójsie na noże ze światowym mocarstwem na dłuższą metę doprowadzi do katastrofy, zwłaszcza że Iran już wtedy stał u jej progu.

Nie oznaczało to oczywiście przyjaźni, ale nawet wymachujący szabelką islamscy radykałowie byli u władzy już na tyle długo, by zrozumieć, że współpraca międzynarodowa jest podstawą rządzenia. Na dodatek chodziło tu o kontakty z państwem, z którym Iran był związany przez wiele ostatnich dekad.

Nowe otwarcie jednak nie nastąpiło. Khomeini liczył, że w trwającej już wtedy od kilku miesięcy wojnie z Irakiem Ronald Reagan wesprze Iran, a przynajmniej powstrzyma się od wspierania ich wroga. Mocno się w tej kwestii przeliczył.

Irak zaatakował biedny, osłabiony i pogrążony w politycznym chaosie Iran pod koniec sierpnia 1980 roku. Głównym uzasadnieniem ataku była chęć powstrzymania Ruhollaha Khomeiniego przed eksportowaniem nowej irańskiej ideologii do Iraku. Lata wygnania dały mu ku temu solidne podstawy. Miał w Iraku wielu zwolenników.

Saddam Husajn obawiał się też, że szyiscy bojówkarze irańscy zaczną zagrzewać irackich szyitów do buntu przeciwko jego dyktaturze. Nie bez znaczenia jest fakt, że po zmianach u sterów starej Persji Irak chciał zastąpić Iran w roli głównego gracza w rejonie Zatoki Perskiej. Za sprawą polityki szacha Pahlawiego, który niewątpliwie zbudował kolosalną potęgę gospodarczą i militarną, Iran był postrzegany jako główny bliskowschodni partner dla krajów Zachodu, a przede wszystkim dla Stanów Zjednoczonych. Choć zważywszy, jak skończyły się jego rządy, brzmi to nieprawdopodobnie, Husajn w tamtym czasie miał ogromny apetyt na przejęcie na tym polu schedy po Iranie.

Nie było w tym cienia przyjaźni ze strony USA. Chodziło wyłącznie o opozycję wobec irańskiej teokracji. Zresztą podobną motywację do pomocy Husajnowi miał Kreml. Sowieci nienawidzili Khomeiniego, który represjonował i zabijał irańskich komunistów tysiącami. By go obalić, gotowi byli dołączyć w zbrojeniu Iraku do samych Amerykanów, z którymi wciąż toczyli wtedy zimną wojnę.

Wyniszczająca szczególnie dla Iranu pożoga trwała dokładnie osiem lat. Bez dwóch dni. Zginęło w niej ponad milion ludzi, z czego większość ofiar po stronie irańskiej.

Zdeterminowany do walki reżim Iranu chwycił się każdej deski ratunku, by zmobilizować jak największą liczbę żołnierzy mających bronić świętej ziemi Iranu. Proponował udział w wojnie setkom tysięcy uwięzionych przez siebie opozycjonistów. Ci, którzy się na tę propozycję nie godzili, byli uznawani za zdrajców państwa i trafiali przed pluton egzekucyjny. Reszta stawała przed irackimi lufami.

Jednak najbardziej okrutną praktyką stosowaną przez reżim w celu zapewnienia sobie mięsa armatniego było zaciąganie do armii kilkuletnich dzieci, które w perfidny sposób oszukiwano obietnicą równie trudną do odparcia, co do spełnienia...

Moja mama miała siedem lat, kiedy noszenie czadoru stało się obowiązkowe w jej świeckiej do tej pory szkole. Chłopcy nagle zniknęli z jej klasy, dziewczęta zostały od nich oddzielone. To był pierwszy przejaw

rewolucji kulturalnej Khomeiniego, jaki zapamiętała. Była zbyt mała, by na własnej skórze odczuć to, co przeżywały dorosłe kobiety, które z dnia na dzień straciły prawo do wystąpienia o rozwód, a w przypadku wystąpienia o niego przez męża – do zachowania opieki nad dzieckiem. Musiały zacząć się zasłaniać i zaczęły drzeć o swoje córki, bo dozwolony wiek na zamążpójście obniżono z osiemnastego do dziewiętego roku życia.

Mama zapamiętała jednak chwile, gdy wraz z koleżankami zdejmowały czadory, by podczas przerw w lekcjach nie przeszkadzały im w zabawie. Dziś irańskie dziewczynki robią to z zupełnie innych powodów, choć podobnie jak za czasów mojej mamy konsekwencje takich niewinnych aktów potrafią być naprawdę bolesne.

Była niewiele starsza, kiedy rozpoczęła się wojna z Irakiem, a gdy dobiegła końca, miała prawie siedemnaście lat. Dorastała w koszmarnych czasach, ale przynajmniej je przetrwała, czego nie można powiedzieć o dziesiątkach tysięcy jej rówieśników, których istnienie pochłonął konflikt z Irakiem. Mimo że życie w Iranie było trudne dla wszystkich, z reguły to kobiety miały najtrudniej. W czasie wojny jednak najwyższą ofiarę ponosili mężczyźni i ci, którzy jeszcze nie zdążyli się nimi stać.

Bijan był w wieku mojej mamy. W dzieciństwie bawili się na podwórku i ulicach Teheranu, a później już tylko po kryjomu, w mieszkaniach i piwnicach. Mówiąc o nim, mama zawsze zaczynała od tego, że potrafił ją rozśmieszyć nawet w najsmutniejszy dzień. A tych w jej życiu nie brakowało.

Potworna bieda, jaka ogarnęła trawione przez wojnę społeczeństwo, strach przed bombardowaniami oraz niemal codzienne wieści o śmierci kogoś znajomego... Sąsiada, sąsiadki, lokalnego sklepikarza, nauczyciela... I oczekiwanie na kolejną bombę. Która być może tym razem zakończy twoje życie. Ciągłe obcowanie ze śmiercią oswaja ją tak, że po pewnym czasie staje się niezauważalna. Przestaje być straszna, a zaczyna się jawić jako nieodłączna towarzyszka życia, gotowa wyznaczyć jego kres w dowolnej chwili, niekiedy wręcz przyjazna. Uwalnia od trosk, bólu i tęsknoty.

Bijan potrafił ignorować widmo śmierci jak nikt inny. Żartował z niej i był pewny, że jak po niego przyjdzie, to po prostu jej ucieknie. „Kostucha może i potrafi kosić, ale zbyt zwinna w biegach to nie jest”, twierdził, jakby była to wiedza oczywista, powszechna i sprawdzona.

On zaś był w biegach najlepszy. Od najmłodszych lat. Zawsze namawiał wszystkich, by się z nim ścigali – i zawsze wygrywał.

Kiedy on i moja mama mieli po dziesięć lat, wszystko się zmieniło. Bijan przestał mówić o uciekaniu przed śmiercią. Zaczął ją gloryfikować. Mówił, że jest bramą, dzięki której można się dostać do raju. Zupełnie jakby o niej marzył. Mama nie lubiła, gdy o niej wspominał. Nawet jeśli sama przyzwyczaiła się do myśli, że w każdej chwili może umrzeć, nie chciała wierzyć, że w tej całej śmierci jest coś pożądanego i pięknego. Dla niej była tylko smutnym końcem – niezależnie od tego, co czeka po niej człowieka.

Słyszając jej wątpliwości, Bijan reagował gwałtownie. Krzyczał, że to grzech i że mama jest głupia...

– Jak każda baba!

– Nie mów tak do mnie – prosiła.

– Prawdę mówię! Wszystkie jesteście głupie jak kozy!

Choć mama mieszkała w kraju, który od kilku lat oficjalnie uznawał kobiety za głupie i potrzebne tylko do obsługi mężczyzn i celów prokreacyjnych, aż do tej pory nigdy nikt jej tak nie nazwał. A już na pewno nie spodziewała się usłyszeć takich słów z ust swojego przyjaciela.

Rodzice mojej mamy umarli przedwcześnie. Ojca praktycznie nie pamiętała, mama zdążyła się zapisać w jej pamięci, ale za tę prawdziwą i tak uważała swoją ciotkę, która przygarneła sierotę. Do czasu rewolucji ciotka była szanowaną urzędniczką i mogła zapewnić mojej mamie wszystko, czego potrzebowała. Bez luksusów, ale też bez dotkliwych braków. Rewolucja Khomeiniego jednak mocno ją zubożyła, a wojna zrobiła z nich nędzarki. Niezależnie od statusu materialnego ciotka powtarzała swojej siostrzenicy, by nie pozwalala sobą pomiatać i zawsze była dumna z tego, że jest kobietą. „Mężczyźni bez nas są nikim i dobrze zdają sobie z tego sprawę. Dlatego próbują trzymać nas pod butem”, mawiała.

Mama pamiętała tę lekcję przez całe życie. Zresztą i mnie tego nauczyła.

– Dlaczego mam tak nie mówić? Kto mi zabroni? Ty? – najeżył się Bijan.

– Ja! Masz natychmiast przestać albo stąd wyjdź! – Dziesięciolatka nie zamierzała dać za wygraną.

– Żadna głupia baba nie będzie mi mówiła... – Chłopak na tym zatrzymał swoje cedzone przez zaciśnięte zęby słowa, bo w drzwiach pokoju stanęła ciotka z jego własną matką.

Wystarczyło, że zgromiła go wzrokiem, by natychmiast uznać zwierzchnictwo kobiety. Testował swoją nowo zdobytą w meczecie wiedzę w kwestii traktowania płci przeciwnej, ale pojawienie się matki szybko pozbawiło go odwagi.

Moja mama nie była na niego zła. Wiedziała, że w głębi duszy wcale taki nie jest. Rozszalały religijny patriarchat uczył chłopców niechęci do kobiet od najmłodszych lat, a Bijan w swojej młodszej naiwności przyjmował te słowa za prawdę objawioną.

Niestety wkrótce ta sama naiwność stała się jego zgubą. Kilka tygodni po kłótni z mamą przyszedł ją przeprosić. Możliwe, że zrobił to na życzenie swojej matki, ale przeprosiny brzmiały bardzo szczerze. Pokazał jej wtedy też skarb, który właśnie zdobył.

– Co to za klucz? – spytała mama na widok niechlujnie odlanego z zielonego plastiku kluczyka.

– To klucz do rajy.

Mama się zaśmiała. Myślała, że to jeden z żartów Bijana, ale on był śmiertelnie poważny.

– Naprawdę – przekonywał. – Idę walczyć, a jak zginę, będę mógł nim otworzyć bramę do rajy.

– Przecież to zwykły plastikowy klucz, niczego nie otworzy... – Mama, przerażona słowami przyjaciela, próbowała apelować do niego o rozsądek. – Okłamują cię, Bijan.

– Imam nie kłamie! – zareagował gwałtownie chłopak. – Ani się waż... – przerwał, bo nie chciał znowu obrazić przyjaciółki, zwłaszcza wiedząc, że zaraz rusza na wojnę.

– Twoja mama się na to zgadza? Pozwala ci iść na wojnę? – dopytywała mama.

Bijan uśmiechnął się z wyraźną ironią, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego rodzicielka nie ma w tej kwestii nic do gadania.

– Każda matka marzy o synu męczenniku – odparł.

Ta oczywista bzdura była dokładnym cytatem słów imama z lokalnego meczetu, który rekrutował młodych chłopców jako mięso armatnie na front wojny z Irakiem.

Bijan, który jeszcze niedawno był gotowy uciekać przed śmiercią, po kilku wizytach w meczecie teraz na nią czekał, byle tylko móc zrobić użytek z podarowanego mu klucza. Nie zważając na protesty swoich



bliskich, wkrótce dołączył do armii. Zginął kilka tygodni później. Ciało chłopca nigdy nie zwrócono jego mamie. Powiedziano jej tylko, że syn jest męczennikiem, ale nie wydawała się z tego dumna. Bijan został pogrzebany w zbiorowej mogile wraz z pozostałymi niezidentyfikowanymi żołnierzami. Nieważny, niewidoczny, zapomniany – dokładnie tak jak tysiące jemu podobnych.

Irańskie władze rozdały w tamtym czasie kilkanaście tysięcy takich plastikowych kluczy do rajy. W ten sposób na pole walki zwerbowano tysiące łatwych do zmanipulowania chłopców, nawet tak młodych jak Bijan. Reżim nie miał skrupułów. Nie miał też szans na polu walki, a jedyną bronią, jaką dysponował, była fanatyczna wiara jego wyznawców. Karmieni hasłami fundamentalistycznego islamu, nie chcieli widzieć, że plastikowy kluczyk nie przyda im się po śmierci. Szczerze wierzyli, że jest dla nich szansą na wieczną szczęśliwość.

Bijan był przykładem na to, co reżim robił z umysłami dzieci. Nie dotyczyło to oczywiście tylko chłopców. Na dziewczynki miał nie mniejszy wpływ. Niszczył całe pokolenie. Ajatollah Khomeini i jego ludzie próbowali zapobiec obaleniu swojej nowo ustanowionej władzy przez represje, więzienie i zabijanie wrogów, a swój cel osiągnęli, zmieniając Irańczyków w przerażone rzeczywistością zombie.

Moja mama do dziś często wspomina, że najsmutniejszym, co w tym czasie działo się w naszym kraju, był powolny rozpad irańskiego społeczeństwa, ale obserwując trwające protesty, palenie *hidżabów* i obcinanie włosów, powtarza, że naród właśnie się odradza. W wielu przypadkach dziewczynki w Iranie od małego wierzą w role, jakie narzuca im radykalny islam, a z czasem same stają się strażniczkami moralności. Są jednak takie – i wcale nie jest ich mało – które nie potrafią się temu podporządkować.

Czador nigdy nie był ukochanym przez mamę strojem. Tak naprawdę szczerze go nienawidziła. Choć miała już czas na to, by się do niego przyzwyczaić, zawsze nosiła go niechlujnie i od niechcienia. Zdarzało się, że ludzie na ulicy zwracali jej uwagę, by zakryła się dokładniej, ale to nie wystarczyło na długo. Ona po prostu nie mogła zrozumieć, po co to wszystko, dlatego często jej czador żył własnym życiem. Okiełznanie go było równie trudne jak okiełznanie jego właścicielki.

Tak, tak, wiele razy słyszała, że kobieta nie powinna się rzucać w oczy, że nie powinna zwracać na siebie uwagi, ale nadal nie rozumiała, po co w takim razie Allah ją stworzył. Skoro jej widok jest obrazoburczy dla wiernych, wystarczyłoby po prostu nie sprowadzać jej na świat. Skoro zaś już tu jest, ma prawo być widoczna, zwłaszcza że przecież miała być dumna ze swojej kobiecości, o czym zawsze przypominała jej ciocia. W czadorze trudno było o dumę, choć niektóre z kobiet twierdziły, że noszą go z chlubą. Tak czy inaczej, mama nie zamierzała histerycznie pilnować swojego czadoru, nawet jeśli nie wszystkim się to podoba. Ta filozofia zemściła się na niej wielokrotnie, ale najbardziej boleśnie dnia, gdy szkolne koleżanki zażądały, by ją ukarano.

Kiedy spóźniona wpadła do klasy w rozchełstany czadorze, Shams i Ziba przerwały trwającą lekcję, domagając się reakcji na strój ich rówieśnicy. Wstały i w iście rewolucyjnym tonie przejęły głos od zaskoczonych nauczycielki. Część dziewczynek nie podjęła ataku, niektóre tylko cicho przytakiwały ich słowom, ale Shams i Ziba były nieugięte. I nie mówiły jak zwykłe dziesięciolatki. To była perfekcyjnie przygotowana przemowa wzorowana na najbardziej populistycznych, propagandowych spektaklach, w jakich w Republice Islamskiej występowali głównie mężczyźni w turbanach.

– Musi być ukarana! – wrzasnęła Shams w finalnej scenie aktu oskarżenia. Była tak zdeterminowana, jakby od tego zależało jej życie.

– Swoim ubiorem łamię zasady Republiki i obraża Boga! Kobieta powinna być zasłonięta przed wzrokiem mężczyzn. Skoro każda z nas może dbać o to, by się zakrywać, jak oczekuje tego od nas Allah, to i ona może! – wtórowała jej Ziba.

– A jak nie, to trzeba ją w końcu przykładowo ukarać – obstawała przy swoim Shams. – Może to ją czegoś nauczy.

Moja mama wrywała się do konfrontacji, ale nauczycielka uciszała ją za każdym razem, gdy wypowiedziała choćby słowo. Mama nigdy nie należała do osób, które potrafią siedzieć cicho, zwłaszcza gdy rozmowa dotyczyła ważnych dla niej spraw, a ta niewątpliwie do takich należała. Nauczycielka miała jednak słuszość, nie pozwalając jej na konfrontację. Mimo że sama pracowała na zlecenie islamskich władz, zdawała się zde gustowana atakiem uczennic na koleżankę. Próbowwała załagodzić sytuację, ale kategoryczne zamknięcie sprawy mogłoby i na nią ściągnąć kłopoty.

– Nie możemy na to pozwalać – perorowały Shams i Ziba, aż w końcu, unosząc jedną dłoń, zaczęły wykrzykiwać: – *Allah Akbar!*

Do tego wezwania przyłączały się pozostałe uczennice, jedna po drugiej. To już nie było hasło wymierzone wyłącznie przeciwko mojej mamie, ale wychwalające Boga – a w Iranie nieprzyłączenie się do takiego skandowania mogłoby skutkować karą.

Niezależnie od tego, czy było to zamierzone, czy przypadkowe, zawołanie *Allah Akbar!* zmieniło protest dwóch dziewczynek w bunt całej klasy. Słyszac krzyki rozlegające się na cały korytarz, chwilę później w sali pojawiły się dwie nauczycielki. Gdy tylko się dowiedziały, co się wydarzyło, natychmiast przywołały moją mamę i wyprowadziły ją za drzwi. Jedna z nich złapała ją za ramię, bez wątpienia celowo wbijając w nie swoje długie, chude palce. Musiała mieć świadomość, że sprawia jej tym ból. Mama próbowała go zminimalizować, przechylając się na jedną stronę, a wtedy druga nauczycielka, myśląc, że chce się wyrwać, uderzyła ją w tył głowy. Cios był tak silny, że mama upadła na podłogę, przerażona i obolała. Próbowała się nie rozplakać, ale łzy mimowolnie popłynęły z jej oczu. Kobieta, która wcześniej trzymała ją za ramię, wyciągnęła rękę i gwałtownym ruchem postawiła ją na nogi. Nie był to akt łaski, raczej wyraz zniecierpliwienia. Ponownie złapała ją za obolałe ramię i poprowadziła do gabinetu dyrektorki.

Stało tam zgrzebne biurko na metalowych nogach zasłane sfatygowanymi segregatorami. Za nim ogromny regał z książkami pokryty grubą warstwą kurzu, podrywającego się do tańca przy podmuchach dusznego powietrza wpadającego przez uchylone okno. Na podłodze leżał mocno wydeptany, poplamiony dywan. Wiszący na ścianie wizerunek ajatollaha Khomeiniego ozdobiony tandetnymi sztucznymi kwiatami nie pozostawiał wątpliwości, kto będzie patronował rozprawie, która miała się tu za chwilę odbyć.

Nie było przesłuchania, nikt nie zadawał pytań. Nauczycielki zrelacjonowały wydarzenia, które zaszły w klasie, a raczej swoją ich wersję.

– Namawia dziewczynki do zrzucenia czadorów, wypowiada się przeciwko Republice, odmawia wspólnej modlitwy i wszystko neguje – wyrecytowała jedna z nich, wciskając moją mamę w ustawione przed biurkiem dyrektorki mocno wysłużone krzesło.

Żaden z tych zarzutów nawet nie ocierał się o fakty.

– Czy to prawda? – spytała szczerze zapakowana w czador dyrektorka szkoły.

– Nie! – rzuciła gwałtownie mama.

– No właśnie, wszystko neguje – powtórzyła nauczycielka, uznając odpowiedź uczennicy za potwierdzenie swoich zeznań.

– Ale to nieprawda... – mama próbowała jeszcze się bronić.

– Milcz! – usłyszała w odpowiedzi piskliwy wrzask.

Dyrektorka wstała zza biurka, wpatrując się w jej twarz z rosnącą nienawiścią. Trwało to bardzo długo. I było bardzo przerażające. Zupełnie jakby chciała ją tym wzorkiem zahipnotyzować. Aż wreszcie odezwała się chłodnym, zachrypniętym głosem:

– Wstań i odwróć się!

Mama wiedziała, co to oznacza.

– Nie! – powiedziała znowu, zdając sobie sprawę, że nie jest w stanie pogorszyć swojej sytuacji. Wyrok na nią został wydany, choć nikt go jeszcze nie wygłosił.

– Wszystko neguje – nauczycielka wciąż powtarzała swoje kłamstwo, ewidentnie licząc na to, że za którymś razem stanie się ono prawdą. Nawet wiedząc, jakie konsekwencje będą miały jej oskarżenia dla dziesięcioletniego dziecka, nie zamierzała się z nich wycofać.

– Wstawaj! Nie mam dla ciebie całego dnia! – wrzasnęła wyraźnie zaskoczona niesubordynacją dziecka dyrektorka.

W mamie narastał strach. Była w końcu tylko małą dziewczynką, która trafiła przed swoisty sąd, zupełnie nie pojmując swojej winy. Sparalizowana lękiem, tkwiła na krześle, na którym ją posadzono.

Dyrektorka wyraźnie traciła cierpliwość, nie miała zamiaru dłużej czekać. Mimo swojego podeszłego wieku była jeszcze całkiem energiczna. Złapała mamę z całej siły za rękę i ściągnęła z krzesła, a następnie, wykręcając ramię, obróciła ją i pchnęła na ścianę.

Chwilę później mamę przeszył potworny ból. Dyrektorka wymierzyła jej w plecy cios swoją laską. Unoszący się w powietrzu kurz wtórował ruchom laski i próbował wdzierać się do gardła i oczu. Mama rozplakała się i zakrzuszyła jednocześnie. Czekwała na kolejny cios, ale dyrektorka poprzestała na tym jednym. Chwilę później podała laskę jednej z nauczycielek, a sama, wspierając się o blat biurka, usiadła w swoim fotelu.

– Dziesięć! – rzuciła. – Dokończcie to!

Na plecy mamy posypał się grad zadawanych precyzyjnie i z wyraźną przyjemnością ciosów. Nie potrafiła ich zliczyć, ale nawet jeśli było ich dziesięć, bolały jak tysiąc.

Gdy razy ustały, mama słała się na nogach, aż w końcu upadła. Była jednak całkiem świadoma, wiedziała, że najważniejsze to chronić głowę. Nie miała pewności, czy atak się nie powtórzy. Nikt nigdy wcześniej nie mówił jej, że należy tak robić, ale dzieci wychowane w poczuciu ciągłego zagrożenia mają intuicyjne odruchy. Jakby podświadomie przechodziły kurs przetrwania. Przykre jest tylko to, że zagrożeniem nie były tu bomby zrzucone przez wroga, a nauczycielki, które za wszelką cenę powinny chronić swoich podopiecznych.

Przez chwilę jeszcze leżała na podłodze, a potem została brutalnie poderwana.

– Zabrać ją i powiadomić rodziców – wydała polecenie dyrektorka.

– Wychowuje ją ciotka – powiedziała jedna z nauczycielek.

Dyrektorka zdjęła swoje małe okulary w drucianych oprawkach i spojrzała na nią pogardliwie.

– Ta informacja... – zrobiła pauzę, po czym dokończyła dobitnie: – Jest zupełnie zbędna!

Nie miała pojęcia, jak bardzo się myli – i że już niedługo pozna krewką opiekunkę mojej mamy, czego z pewnością nie będzie mile wspominać.

Ciocia pojawiła się w szkole nieco ponad godzinę później. Przyjechała, gdy tylko dowiedziała się o kłopotach swojej siostrzenicy. O tym, że ją pobito, nie powiedziano jej ani słowa. Informacja dotyczyła jedynie niesubordynacji, niewłaściwego stroju i krytyki Republiki. Ciocia nie chciała w to wierzyć, ale zdawała sobie sprawę, że tak poważne zarzuty mogą skutkować naprawdę srogimi kłopotami, dlatego nie zwlekała ani chwili. Kiedy zobaczyła moją mamę leżącą na ławce na lewym boku i cicho łkającą z bólu, natychmiast się domyśliła, co zaszło.

Na widok ukochanej opiekunki mama podniosła się z trudem i padła w jej ramiona.

– Co się stało, kochanie? – Gdy ciocia dotknęła pleców wtulonej w nią mamy, ta jęknęła z bólu. – Pobili cię?

W końcu mama zebrała się na odwagę i w krótkich słowach opowiedziała, co zaszło, zapewniając, że jej jedyną winą jest to, iż wpadła do szkoły

w rozchełstanym z pośpiechu czadorze.

– Poczekaj tu na mnie, kochanie. Zaraz wrócę i zabiorę cię do domu – obiecała ciocia, po czym skierowała się prosto do gabinetu dyrektorki. Nie zważała na zaskoczoną sekretarkę, która próbowała ją zatrzymać, tylko bez pukania otworzyła drzwi i wparowała do środka.

– Nigdy więcej nie waż się podnosić ręki na moją córkę! – wrzasnęła od progu.

Dyrektorka też była wyraźnie zdumiona, ale szybko się z tego stanu otrząsnęła.

– Teraz już rozumiem, skąd ta mała ma tendencje do wichrzycielstwa – skwitowała, po czym postanowiła uderzyć tam, gdzie boli najbardziej. – Może gdyby wychowywali ją prawdziwi rodzice, nie byłaby wrogiem rewolucji.

– Ja jestem jej rodzicem. A to jest mała dziewczynka i nie jest niczym wrogiem. To wy jesteście wrogami!

– O to, kto jest wrogiem, możemy zapytać Strażników Rewolucji albo sąd – powiedziała spokojnie, ale bardzo dosadnie dyrektorka.

– Obie dobrze wiemy, jak będzie brzmiała ich odpowiedź. Wy wszyscy już dawno postradaliście zmysły. Wspieracie tę swoją rewolucję, ale zapominacie o ludziach! – Mówiąc takie rzeczy publicznie, ciocia stąpała po bardzo kruchym lodzie. – Nigdy nie pozwolę na to, byście się znęcali nad dziećmi. Wystarczająco dużo już zginęło przez takich jak wy.

Usta dyrektorki zaciskały się w coraz większej złości.

– Dzieci zabijał szach! – krzyknęła. – My tylko próbujemy je wychować!

– Krytykujecie szacha, a robicie znacznie gorsze rzeczy. Nie waż się więcej tknąć mojej córki! – powtórzyła ciocia.

– To nie jest twoja córka. A metody wychowawcze w tej szkole są moją decyzją.

– To nie są metody wychowawcze, tylko tortury! Jak można robić takie rzeczy dzieciom?!

– Jeśli znowu złamie zasady, poniesie karę. I to znacznie surowszą niż dzisiaj!

– Po moim trupie! – Ciocia była na krawędzi ostatecznego wybuchu.

– To pewnie kwestia czasu. Tacy wichrzyciele na szczęście nie żyją zbyt długo.

Ciocia wiedziała, że ta rozmowa musi się zakończyć w tej chwili, bo jeszcze moment i nie powstrzyma się od rękoczynów, a to znacznie pogorszyłoby sytuację. Ona mogłaby trafić do więzienia, a wtedy moja mama straciłaby ostatnią bliską osobę. Dlatego zacisnęła zęby i pięści, po czym gwałtownie wymaszerowała z gabinetu.

Po powrocie do domu mama przez długi czas nie chciała zdjąć czadoru, nie chciała nawet zsunąć go z głowy.

– Ściągnij tę szmatę. Tu nie musisz jej nosić – przekonywała ciocia, jednak mama nie reagowała na jej słowa. – Kochanie, wiem, że się boisz – nalegała, przytulając ją delikatnie. – Ale pamiętaj, że nigdy nie możesz im ulec. Tu jesteś bezpieczna, a nawet jeśli to się zmieni, nigdy nie pozwól, by ci ludzie zdeptali twoją godność.

Ciocia chciała wlać w mamę siłę i dumę, ale w Iranie ajatollahów siła i duma to prosta recepta na kłopoty. Zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Wierzyła jednak, że to jedyna droga. Wychowywanie siostrzenicy, którą traktowała jak rodzoną córkę i której poświęciła całe swoje życie, było jej misją. Nie chciała, by wyrosła z niej słaba, złamana kobieta, spolegliwa i gotowa przyjąć wszystko, co nakaze jej dyktat islamskiego reżimu.

– Nie chcę... – wyszeptała w końcu mama, naciągając czador.

– Na zewnątrz musisz ją nosić, ale nie pozwól, by ta chusta cię definiowała – tłumaczyła ciocia. – Nie jesteś czarną tkaniną. Jesteś wspaniałą, mądrą i odważną dziewczynką. Nigdy nie daj sobie tego odebrać.

– Allah chce, żebyśmy się zakrywały...

– Allah wcale tego nie chce. Chcą tego mężczyźni, którzy uważają, że my, kobiety, im zagrażamy – stwierdziła ciocia, która akurat w Allaha wcale nie wierzyła, postanowiła jednak nie wprowadzać nowego wątku do rozmowy.

– Ale to nie mężczyźni mnie pobili...

– Właśnie... – Ciocia zamyśliła się na chwilę. – To największy problem. Kobiety, które tak bardzo uwierzyły katom, że same stały się oprawcami.

I choć były to trudne słowa, mama już wtedy doskonale rozumiała ich sens. Ona też nie mogła pojąć, dlaczego wszystkie kobiety nie stoją po tej samej stronie.

– Gdybyśmy trzymały się razem, już dawno zakończyłybyśmy dyktat mężczyźni – powiedziała na koniec ciocia, nie zdając sobie sprawy, że przyjdzie w Iranie czas, kiedy kobiety powstaną i nie zważając na

konsekwencje, wypowiedzą posłuszeństwo tyranom. Choć i wtedy największym wrogiem protestujących kobiet – obok oczywiście władzy – będą kobiety wspierające reżim.

Mimo chwilowego załamania mama rosła na małą rebeliantkę, a kiedy straciła ciocię, wiedziała, że nic już nie powstrzyma jej przed walką ze znienawidzonym systemem, choć do działania pchnęły ją dopiero moje narodziny.

Ciocia zniknęła nagle. Mama miała wtedy szesnaście lat i usłyszała tylko, że ciocia trafiła do więzienia Evin. Nie pozwolono im na widzenia. Nie wyjaśniono, co było powodem aresztowania, jaki dostała wyrok... Niewoli nigdy nie opuściła. Nigdy więcej się nie zobaczyły. Nie wiadomo tego na pewno, ale ci, którzy ją poznali w celi, mówili później, że ciocia poważnie zachorowała. Twierdziła, że ma raka. Być może miała go już wcześniej, tylko ukrywała ten fakt przed moją mamą. W więzieniu nie miała szans na leczenie. Reżim bez wyroku skazał ją na pewną śmierć.

Aby uniknąć przytułków, mama starała się nie zwracać uwagi władz na fakt, że została sama. Choć zgodnie z prawem od kilku dobrych lat nadawała się na żonę, nie nadawała się do tego, by samodzielnie żyć. Wspierana przez osieroconą przez trzech synów sąsiadkę – mamę Bijana – zdołała skończyć studia i nawet dostać się na uniwersytet. Chciała studiować weterynarię, ale ta po rewolucji znalazła się na liście kierunków zakazanych dla kobiet. Ostatecznie zdecydowała się na matematykę, kierunek zdominowany przez mężczyzn i dostępny tylko dla wybitnych studentek.





## ROZDZIAŁ 7

# Fatwa

*Dwóch indyjskich aktorów Gibreel Farishta i Saladin Chamcha zrzuceniem losu znajduje się na pokładzie samolotu lecącego z Indii do Wielkiej Brytanii. Poza zawodem łączy ich tylko to, że obaj wyznają islam. Farishta jest niekwestionowaną gwiazdą Bollywood, znaną z wcielania się w hinduskie bóstwa. Chamcha to emigrant, który zerwał ze swoją indyjską kulturą i pracuje jako lektor w Anglii.*

*Samolot, którym lecą, zostaje porwany przez terrorystów i tragicznie eksploduje podczas przelotu nad kanałem La Manche. Choć nikt nie ma szans przeżyć katastrofy, obaj aktorzy zostają magicznie uratowani, a przy okazji zmieniają swoje wcielenia. Narcystyczny Farishta przybiera stopniowo osobowość Archaniola Gabriela, ale nie bez ceny. Mężczyzna coraz bardziej pogrąża się w schizofrenii. Chamcha natomiast sukcesywnie przemienia się w zniechęconego diabła. Kiedy docierają do Wielkiej Brytanii, Chamcha zostaje aresztowany jako nielegalny imigrant i staje się ofiarą nadużyć policji, ale finalnie odzyskuje wolność. Obaj trafiają do emigranckich społeczności Londynu.*

*Dostając niespodziewaną szansę od losu, mężczyźni próbują ułożyć swoje życie na nowo. Farishta znajduje utraconą miłość, angielską alpinistkę Allie Cone, ale ich związkowi daleko do szczęśliwego. Cieniem kładzie się na nim choroba psychiczna mężczyzny.*

*Tymczasem Chamcha chowa do niego ogromną urazę. Farishta opuścił go w potrzebie po tym, jak obaj doznali cudu. Teraz chce się za to zemścić. Będąc diabłem, ma ogromną moc i podsycą dzięki niej chorobliwą zazdrość Farishty, niszcząc w ten sposób jego związek z Allie. Farishta dowiaduje się o jego manipulacjach, ale poznając ich powody, ostatecznie mu wybacza.*

*Jakiś czas później obaj wracają do Indii. To tu Chamcha przeżywa pojednanie z ojcem, z którym był w trudnych stosunkach. Odnajduje też swoją indyjską tożsamość. Postanawia pozostać w ojczyźnie, celebrując tradycje przodków.*

*Tymczasem w akcie podsycanej przez schizofrenię zazdrości Farishta zrzuca swoją ukochaną Allie z wieżowca, a następnie popełnia samobójstwo. Jeszcze za życia ma częste półmagiczne wizje senne. Jedna z nich to fabularyzowana opowieść o życiu Mahounda, zwanego też Posłańcem. Wszystko dzieje się w sennej Jahilii. To tam Mahound ogłasza swoje boskie widzenie, w którym występują trzy wyznawane przez praludy bóstwa. Wkrótce potem jednak uznaje je za błąd wywołany podszeptem diabła. Ale diabeł nie jest jedynym wrogiem Posłańca. Jest tu też pogańska kapłanka Hind i sceptyczny, szydzący ze wszystkiego poeta o imieniu Baal.*

*Kiedy Mahound triumfalnie wraca do Mekki, Baal ukrywa się w podziemnym burdelu, gdzie prostytutki noszą imiona żon proroka Mahometa, a wkrótce potem Mahound rozmawia z Archaniołem Szatanem, który dyktuje mu swoje szatańskie wersety.*

*W innym widzeniu Farishta opowiada historię nawiedzanej dziewczyny o imieniu Ayesha. Jest ona indyjską wieśniaczką, która twierdzi, że otrzymuje objawienia od Archanioła Gabriela. Namawia całą swoją wioskę do wyruszenia na pieszą pielgrzymkę do Mekki, twierdząc, że będą mogli przejść suchą stopą przez Morze Arabskie. Pielgrzymka kończy się katastrofą, gdy wierni wchodzi pod wody i znikają pod jej powierzchnią. Pośród niepokojąco sprzecznych zeznań obserwatorów słychać głosy mówiące o tym, że utonęli. Inni twierdzą, że w cudowny sposób zdołali przepłynąć przez morze.*

*Jest też wśród widzeń Farishty dziejąca się współcześnie prześmiewcza wizja, opowiadająca o fanatycznym przywódcy religijnym nazywanym Imamem, uwięzionym w Londynie, który nienawidzi Ayeshy i marzy o powrocie do swojego rodzinnego kraju.*

Nie ma wątpliwości, że Mahound jest w tej historii prorokiem Mahometem, tak jak nikt się nie łudzi, że Imam to nie kto inny jak ajatollah Khomeini. Treść świetnie napisanych przez wyznającego islam brytyjskiego pisarza indyjskiego pochodzenia Salmana Rushdiego *Szatańskich wersetów* musiała wywołać poruszenie, ale chyba nikt się nie spodziewał, że wywoła wręcz religijną wojnę, która przyniesie wiele ofiar i konsekwencje sięgające dziesięcioleci w przyszłość.

Książka miała swoją premierę w Wielkiej Brytanii pod koniec września 1988 roku. Dekadę po tym, jak Iran zmienił się w islamską dyktaturę. Najbardziej radykalną w tym czasie na świecie. Choć Rushdie niewątpliwie

wymierzył swoją ukrytą w *Szatańskich wersetach* krytykę w fanatyzm irańskich władz, to nie w Iranie zaczęły się protesty przeciwko publikacji.

Kilka miesięcy po tym, jak książka trafiła do brytyjskich księgarń, na Amerykańskie Centrum Kultury w pakistańskim Islamabadzie napadł rozwścieczony tłum domagający się natychmiastowego wstrzymania jej dystrybucji. Nie był to najlepszy adres, bo instytucja nie miała nic wspólnego z wydawcą *Szatańskich wersetów*, a w Stanach nie zostały one jeszcze nawet opublikowane, ale dla wściekłych muzułmanów obrażonych książką, która ich zdaniem godziła w dobre imię najważniejszego dla nich proroka, nie miało to większego znaczenia.

Tłum nie chciał dyskutować. Żądał reakcji. Interwencja policji skończyła się kilkoma ofiarami śmiertelnymi i blisko setką rannych.

Oburzenie powoli ogarniało społeczność islamską na całym świecie. I postępowało wraz z rosnącą popularnością książki. Im więcej protestów, tym więcej egzemplarzy trafiało w ręce czytelników. Wkrótce potem Iran zażądał kary śmierci dla Rushdiego za bluźnierstwo i obrazę Proroka. Dwa dni po wybuchu protestów w Pakistanie ajatollah Khomeini wydał swoją fatwę<sup>2</sup>.

*W imię Boga,  
jesteśmy od Boga i do Boga powrócimy.*

*Informuję wszystkich odważnych muzułmanów świata, że autor Szatańskich wersetów, tekstu napisanego, zredagowanego i opublikowanego przeciwko islamowi, Prorokowi Islamu i Koranowi, jak i wszyscy redaktorzy oraz wydawcy świadomi jego treści są skazani na śmierć.*

*Wzywam wszystkich dzielnych muzułmanów, gdziekolwiek się znajdują na świecie, do bezzwłocznego zabicia ich, aby nikt odtąd nie ośmielił się obrażać świętych wierzeń muzułmanów.*

*Ktokolwiek zostanie zabity, wykonując ten wyrok, zostanie męczennikiem, jeśli Bóg pozwoli. Tymczasem jeśli ktoś ma dostęp do autora książki, ale nie jest w stanie wykonać egzekucji, powinien poinformować ludzi, aby został on ukarany za swoje czyny.*

*Niech spoczywa na was pokój  
i błogosławieństwo Allaha,  
Ruhollah Al-Musawi Khomeini*

Wydanie fatwy jeszcze bardziej zmotywowało radykalnych muzułmanów do wyrażania swojego gniewu. Na ulicach irańskich miast wybuchły gwałtowne protesty. Ludzie wieszali i palili kukły mające przypominać Rushdiego. Na stosach płonęły jego książki. Gniew rozlewał się po wszystkich krajach zamieszkiwanych przez znaczącą społeczność islamską. Niektóre z protestów kończyły się tragicznie, jak marsz protestujących w Bombaju, gdzie podczas próby interwencji policji zginęło kilka osób.

Protesty wybuchły też w samym Londynie. Radykalni Irańczycy mieszkający w stolicy Wielkiej Brytanii wyszli na ulice z transparentami: *You're dead!* – „Nie żyjesz!”. Policja starała się nie dopuścić do zamieszek, ale choć tym razem obeszło się bez ofiar śmiertelnych, było sporo zniszczeń, rannych i ponad setka aresztowanych.

Podczas gdy świat islamu grzmiał w oburzeniu, choć książki nie czytał, w zachodnich krajach trwały przygotowania wydań zagranicznych dla tych, którzy chcieli się z nią zapoznać. Dosłownie tydzień po ogłoszeniu fatwy Khomeiniego książka trafiła w ręce czytelników w USA.

Sam Salman Rushdie również nie zamierzał złożyć broni i dolał jeszcze oliwy do płonącego intensywnym płomieniem ognia. Na chwilę przed tym, jak zaczął się ukrywać, jeszcze bardziej rozwścieczył radykałów.

„Mówiąc szczerze, żałuję, że nie napisałem jeszcze bardziej krytycznej książki na temat religii, której wyznawcy i przywódcy są w stanie zachowywać się w taki sposób i twierdzić, że ta religia nie może być poddawana choćby szeptowi krytyki. To kompletnie nie ma sensu, bo zdaje się, że islamscy fundamentaliści właśnie teraz zasługują na krytykę”, powiedział w wywiadzie dla BBC.

A potem zniknął.

Brytyjski Scotland Yard zapewnił mu ochronę i tylko garstka jego funkcjonariuszy wiedziała, gdzie przebywa skazany na śmierć pisarz. Nie miał zresztą jednej kryjówki. Policja systematycznie zmieniała miejsca jego pobytu, tak by zminimalizować ryzyko ujawnienia. I choć wyrok Khomeiniego nie pozostawiał wątpliwości co do rodzaju kary, jaką ma ponieść za swój występki, Rushdie stał się więźniem. By uniknąć tragedii, musiał się zgodzić na znaczne ograniczenie wolności. Jego życie było skrupulatnie sterowane przez Scotland Yard. Nikt poza królową nie był w Wielkiej Brytanii strzeżony tak pilnie jak on.

Tymczasem niepokoje spowodowane wydaniem *Szatańskich wersetów* nie ustawały. Niespełna rok po opublikowaniu pierwszej edycji książki w siedzibie wydawnictwa podłożono cztery bomby. Tylko szybka interwencja sprawiła, że zaledwie jedna z nich wybuchła. Resztę udało się bezpiecznie zdetonować. W tym zamachu szczęśliwie nikt nie zginął, ale wykonawcy wyroku byli głodni sukcesu.

Sytuacja stała się naprawdę groźna, a sam pisarz zdał sobie sprawę, że może pociągnąć za sobą wiele niewinnych ofiar. Do tego już po roku ukrywania się miał dosyć życia w odosobnieniu. To sprawiło, że zdecydował się na wydanie skrupulatnie przemyślanych przeprosin.

*Zdaję sobie sprawę, że muzułmanie w wielu częściach świata są naprawdę zaniepokojeni wydaniem mojej powieści. Głęboko ubolewam nad cierpieniem, jakie ta publikacja wywołała u szczerých wyznawców islamu. Żyjemy w świecie wielu wyznań, a to doświadczenie przypomniało nam, że wszyscy musimy być świadomi wrażliwości innych.*

Jego list, zanim trafił do mediów, kanałami dyplomatycznymi został przesłany władzom Iranu. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Biuro Przywódcy Rewolucji wydało oświadczenie, w którym kategorycznie odrzuciło przeprosiny.

*Imperialistyczne zagraniczne media fałszywie twierdziły, jakoby urzędnicy Republiki Islamskiej powiedzieli, że wyrok śmierci wydany na autora Szatańskich wersetów zostanie cofnięty, jeśli okaże on skruchę. Imam Khomeini powiedział: „Zaprzeczamy temu w stu procentach. Nawet jeśli Salman Rushdie okaże skruchę i stanie się najbardziej pobożnym człowiekiem wszech czasów, każdy muzułmanin ma obowiązek wykorzystać wszystko, co posiada – swoje życie i majątek – aby posłać go do piekła”.*

Poza tym oficjalnym komunikatem Khomeini osobiście dodał: „Jeśli niemuzułmanin dowie się o miejscu pobytu Rushdiego i ma możliwość wykonania na nim egzekucji szybciej niż muzułmanie, muzułmanie mają obowiązek wypłacić nagrodę za jego pomoc”.

Na pojednanie nie było szans, a na celowniku fanatyków poza samym autorem znalazło się sporo innych osób.

Niedługo po odrzuceniu próby pojednania irański zamachowiec zaatakował włoskiego wydawcę Giannię Palmę. Mężczyzna cudem uniknął śmierci. Włoski tłumacz książki Ettore Capriolo został zaatakowany w swoim mieszkaniu w Mediolanie. Nie zginął, ale z ranami szyi, klatki piersiowej i rąk trafił do szpitala. Długo walczył o życie.

Hitoshi Igarashi, adiunkt na japońskim Uniwersytecie w Tsukuba, mieście znajdującym się na północny wschód od Tokio, został znaleziony martwy na korytarzu kampusu uniwersyteckiego. Poderżnięto mu gardło. Miał też rany na rękach, które wskazywały na to, że próbował się bronić. Przegrał. Początkowo nie skojarzono jego zabójstwa z fatwą Khomeiniego, ale wkrótce połączono fakty. Nikt nie miał wątpliwości, że było ono spowodowane tym, że Igarashi przetłumaczył wydane w Japonii rok wcześniej *Szatańskie wersety*.

Strzały oddano też do norweskiego wydawcy powieści Williama Nygaarda. Ciężko ranny został w porę uratowany przez lekarzy. Turecki tłumacz książki Aziz Nesin miał zginąć w hotelu Madimak w mieście Sivas, który islamscy terroryści podpalili niedługo po wydaniu książki w tym kraju. Tłumacz ocalał, ale w pożarze zginęło prawie czterdzieści osób, w tym wielu uczonych, poetów i muzyków.

Sytuacja zaogniała się z każdym kolejnym wydaniem. Na wszystkich, którzy pracowali przy tłumaczeniach dzieła Rushdiego, padł blady strach. W pierwszym polskim wydaniu z 1992 roku nie ma nazwiska tłumacza ani nazwy wydawnictwa. Jest tylko niezbyt konkretna informacja w języku angielskim mówiąca o tym, że „książkę przygotowano i wydrukowano w EWG”<sup>3</sup>.

Mijały lata. Po upływie pierwszych sześciu Rushdie przestał się ukrywać i zaczął pojawiać się publicznie. Nie znaczy to, że niebezpieczeństwo zniknęło. Wręcz przeciwnie. Nagroda za jego głowę wciąż rosła. Z dwóch i pół miliona dolarów na początku do miliarda oferowanego przez jedną z islamskich organizacji z Iranu w 1998 roku.

Dekadę później niezwykle ważny gest wykonała królowa Elżbieta II, nadając Salmanowi Rushdiemu tytuł szlachecki. Dała tym samym sygnał, że nadal znajduje się on pod ochroną jej królestwa, ale decyzja ta wywołała

kolejną falę krwawych zamieszek między innymi w Iranie, Pakistanie i Malezji.

Tymczasem Iran głosem swojego przywódcy, uchwałami parlamentu i w wypowiedziach różnych polityków raz po raz przypominał światu o tym, że fatwa wciąż obowiązuje i nie ma szans, by to zmienić. Ostrzegał, że wyrok na Rushdiego nigdy nie zostanie zniesiony.

Jak do dziś twierdzą przedstawiciele irańskiego rządu, tłumacząc powody skazania pisarza, „tak jak nie zmieni się fakt, że dokonał on bluźnierstwa, tak nie zmieni się to, że poniesie za nie karę”. Nie jest w stanie za to przeprosić, nawet gdyby chciał.

„To lekcja dla reszty muzułmanów, którzy powinni myśleć, zanim coś powiedzą”, grzmiał w wywiadzie dla brytyjskiej telewizji jeden z czołowych irańskich polityków.

Ale Rushdie mimo przeprosin nigdy nie chciał i nie zamierzał ugiąć się pod groźbami fanatyków, a ukrywał się głównie na polecenie policji, bynajmniej nie z własnej woli. „Jestem muzułmaninem, moja rodzina wyznaje islam. Nie jestem wrogiem muzułmanów, to w końcu moi ludzie”, tłumaczył. A po upływie kilku lat od wydania książki wrócił do normalnego życia. Było kilka prób zamachów na niego. Podobno więcej niż te ujawnione, a trzymano je w tajemnicy po to, by nie ośmielać kolejnych terrorystów.

Fatwa nałożona na Rushdiego zrobiła z jego książki światowy bestseller. W ciągu roku od jej wydania sprzedano dwumilionowy nakład. Szacuje się, że do dziś w ręce czytelników trafiło ponad dziesięć milionów egzemplarzy, choć prawdziwa liczba może być nawet trzykrotnie wyższa, bo powieść została wydana w kilkudziesięciu językach, w niektórych krajach na dziko, bez licencji. I wciąż doskonale się sprzedaje, a w 2022 roku ponownie trafiła na listy bestsellerów.

Tak jak groźba zamachu na życie Rushdiego wywindowała jego powieść na szczyty, a z niego samego zrobiła jednego z najbardziej rozpoznawalnych współczesnych pisarzy na świecie, tak sam zamach ponownie doprowadził do tego, czego fundamentaliści bardzo by nie chcieli. Ludzie znowu zaczęli masowo kupować jego zakazaną w wielu krajach książkę.



Hadi Matar prowadził zupełnie zwyczajne życie typowego, niczym niewyróżniającego się chłopaka z New Jersey. Jego rodzice rozwiedli się, gdy był jeszcze dzieckiem. Po rozwodzie ojciec wrócił do ojczystego Libanu, a matka postanowiła zostać w Stanach Zjednoczonych. Kiedy kilka lat temu niespełna dwudziestoletni Hadi poleciał w odwiedziny do ojca, jego postrzeganie świata znacząco się zmieniło.

Ojciec po powrocie do kraju osiedlił się w Yarun, mieście w regionie Nabatiyeh, który jest bastionem Hezbollahu – partii radykalnych szyitów uważanej oficjalnie przez wiele krajów Zachodu za organizację terrorystyczną.

Yarun to miejsce tak restrykcyjnych reguł, że nie ma tu przestrzeni na choćby najmniejsze odstępstwa od zasad islamu. Młody, zagubiony, wciąż poszukujący swojej drogi chłopak bardzo szybko wsiąknął w tę kulturę i odnalazł w niej swoje powołanie. Po miesięcznym pobycie w Libanie wrócił zupełnie odmieniony. Był przesycony islamskim radykalizmem. Przestał rozmawiać z rodzeństwem i skłócił się z matką, która nalegała, by kontynuował rozpoczęte studia. On jednak nie widział w nich sensu.

Zamiast tego całe dni spędzał na studiowaniu Koranu, dorywczej pracy w sklepie odzieżowym i długich wizytach na siłowni, gdzie brał lekcje boksu. W pewnym momencie z nich zrezygnował. Wysłał do siłowni maila z prośbą o anulowanie członkostwa. Wiadomość ta stała się ważnym elementem późniejszego dochodzenia milicji w sprawie Matara.

Mail był oznaczony ikonką ze zdjęciem, na którym zamiast wizerunku Hadiego była twarz Alego Khamenei, obecnego duchowego przywódcy Iranu, jako jego awatara. Wtedy nikt nie widział w tym jeszcze niczego podejrzanego. Mail nabrał zupełnie innego wymiaru trzy dni później, kiedy podczas przemówienia na imprezie organizowanej przez Chautauqua Institution w Nowym Jorku Hadi Matar zaatakował Salmana Rushdiego.

Chłopak wbiegł na scenę w momencie, gdy autor *Szatańskich wersetów* przygotowywał się do wygłoszenia wykładu. W szale uderzał nożem na oślepa. Zanim został obezwładniony, zadał Rushdiemu cztery ciosy w brzuch, trzy w prawą stronę szyi, jeden w prawe oko, jeden w klatkę piersiową i jeden w prawe udo.

Szybka reakcja zebranych sprawiła, że pisarz został natychmiast przewieziony helikopterem do szpitala, gdzie podłączono go do respiratora. Przez długi czas po ataku nie mógł mówić. Jego stan lekarze określali jako

ciężki, ale dający nadzieję. Niedługo potem okazało się, że Rushdie nieodwracalnie stracił wzrok w prawym oku i zdolność posługiwania się jedną ręką.

Matar schwymano od razu. Choć nie było wątpliwości co do jego winy, początkowo się do niej nie przyznawał. Dopiero po czasie, oczekując na proces, udzielił wywiadu, w którym ujawnił motyw swojego działania. Teraz było już pewne, że dwudziestoczterolatek dokonał zemsty za wydanie książki, która ukazała się na rynku dziesięć lat przed jego narodzinami.

„On zaatakował islam – powiedział Matar gazecie „New York Post”, usprawiedliwiając swój atak, ale nie przyznając się, że motywowała go fatwa Teheranu. – Szanuję ajatollaha. Myślę, że to wspaniała osoba. To tyle, co mogę powiedzieć na ten temat”.

Pierwsza oficjalna reakcja Iranu na atak została wyrażona w niemal identycznych słowach: „Salman Rushdie zaatakował islam i poniósł za to zasłużoną karę”. Władze kraju zaprzeczyły jednocześnie jakiegokolwiek związkowi z napastnikiem.

Nieco później następca autora wyroku na Rushdiego, ajatollah Khamenei, pochwalił jednak publicznie zamach na znienawidzonego pisarza, mówiąc, że fatwa przeciwko autorowi *Szatańskich wersetów* została „wystrzelona jak kula, która nie mogła spocząć, dopóki nie trafiła w cel”.

W środowisku islamskich fundamentalistów Hadi Matar z miejsca stał się bohaterem, a śledztwo w jego sprawie wkrótce rzuciło na nią znacznie więcej światła. Okazało się, że od dawna planował zrealizować to, czego przez ponad trzydzieści lat nie udało się dokonać żadnemu zradykalizowanemu muzułmaninowi.

Hadi Matar miał sfałszowane prawo jazdy wystawione na nazwisko Mughniyah. Jest ono niemal święte dla wyznawców Hezbollahu. Imad Mughniyah był szefem tej szyickiej milicji i dowódcą bojówek. Jest uważany za męczennika po tym, jak zginął zabity przez służby Izraela w Damaszku. Można uznać, że wybór tego nazwiska przez Matara był efektem jego fascynacji i sygnałem, że chłopak pozostaje pod silnym wpływem fundamentalistów. Trudno było jednak po takich symptomach zgadnąć, co tak naprawdę planuje.

Nieprzypadkową wydaje się też data zamachu na pisarza. Miał on miejsce dwa dni po tym, jak w Nowym Meksyku aresztowano sunnickiego Afgańczyka. Z zimną krwią zamordował on czterech muzułmanów,

z których trzech było szyitami, co wywołało obawy przed krwawą zemstą i eskalacją konfliktu między dwoma odłamami islamu. Sprawa była w Stanach Zjednoczonych bardzo głośna i niewykluczone, że to ona skłoniła Matara do działania. Wciąż jednak nie wiadomo, czy był samotnym wilkiem tylko inspirowanym przez radykałów, czy formalnie ich cichym wojownikiem.

Za czasów szacha Iran istniał w świadomości świata jako otwarty na współpracę kraj ogromnych ambicji. Może i rządzony przez dyktatora, ale gotowy do zmian. Szach dbał o stosunki międzynarodowe, a jego relacje z krajami po obu stronach żelaznej kurtyny były tak dobre, że nawet najbardziej demokratyczne kraje były skłonne pominąć milczeniem jego autorytaryzm.

Od kiedy władzę przejęli duchowni, o Iranie mówiło się równie dużo, ale tylko w kontekście religijnego fanatyzmu, koszmarniej wojny z Irakiem i represji wobec obywateli. Promowały nas nie dążenia do unowocześniania kraju, ale średniowieczne polowania na czarownice, palenie ksiąg i inspirowane przez nasze władze zamachy na życie ludzi. Z partnera przeobraziliśmy się we wroga, zagrożenie, potencjalnych zabójców.

Ta opinia bardzo utrudniła życie uciekinierom z Iranu, a na świecie mocno się od nich zaroilo.

Przez długi czas to właśnie my przodowaliśmy w liczbie wniosków o azyl polityczny składanych w krajach Zachodu. Tylko czasami przegrywaliśmy w tych rankingach z Afgańczykami. Khomeini zrobił z nas naród uciekinierów. Każdy, komu udało się zachować resztki nadziei na lepszą przyszłość, robił wszystko, by wydostać się z więzienia, jakim była nasza ojczyzna. Pozbawianie wolności stało się specjalnością irańskiej władzy, ale w tych trudnych warunkach Irańczycy nadal próbowali żyć normalnie, kochać, zakładać rodziny, marzyć.

Moi rodzice nie byli w tej kwestii wyjątkiem. Poznali się na uniwersytecie, w zasadzie w jego okolicach, bo w tym czasie legalne spotkania koedukacyjne na uczelniach nie były już możliwe. Mama mówiła, że od razu wpadli sobie w oko.

Nie wiem, ile w tym wpływu amerykańskich filmów romantycznych, których po przeprowadzce do Stanów mama została wielką fanką, a ile

prawdy, ale moment ich spotkania faktycznie przypomina scenariusz mocno naciąganego romansu.

Ich swatką była Baran, druga z trzech dziewczyn, które studiowały matematykę na roku mojej mamy. Oprócz świetnych wyników w nauce Baran miała też dryg do zabawy i była bardzo wyzwolona. Uwielbiała amerykańską modę, a że miała smykałkę do szycia, spod jej rąk wychodziły kopie najmodniejszych kreacji. Sama też zawsze zadawała szyku. Oczywiście pod czadorem jej talent nie miał szans zabłysnąć, ale Baran znała doskonale miejsce, by się nim pochwalić.

Kiedy się dowiedziała, że mojej mamie wpadł w oko pewien przystojny student, postanowiła działać.

– Który to? – dopytywała, gdy mama się jej zwierzyła.

– Nie powiem ci, bo wszystko zepsujesz.

– A jest co zepsuć? – rzuciła Baran, udając oburzenie brakiem zaufania przyjaciółki.

– No dobra... Ten w środku. – Mama wskazała na kilku chłopców siedzących na oparciu połamanej ławki przy wejściu do parku.

– Ten, który bez przerwy się na ciebie gapi? Mogłabym zgadnąć – parsknęła Baran.

– Ale nie zgadłaś.

– Fajny, wysoki, musimy ci go załatwić.

– Niby jak?

– No jakoś musimy.

Z jednej strony mama była tym pomysłem podekscytowana, z drugiej – obawiała się, że Baran narobi jej wstydu. Ta jednak podejrzanie szybko ucięła temat.

Kilka dni później po zajęciach obie poszły do domu Baran. Robiły to dosyć często, zwłaszcza wtedy, gdy Baran chciała pochwalić się nowymi kreacjami. Tym razem na mamę czekała niespodzianka. Baran przygotowała jej niezwykle modny zestaw, który w Iranie mógłby zaprowadzić ją prosto na stryczek, choć na Zachodzie królował w dyskotekach. Rozkloszowana krótką spódnica, kolorowy top i jeszcze jeden, uszyty z przezroczystej siatki, do tego neonowe getry. Stylizację można by określić wczesną Madonną. Baran sama miała podobny zestaw, różniły je kolory.

Mama była zachwycona, choć bała się tak ubrać, nawet w bezpiecznym zaciszu domu przyjaciółki. Mimo upływu lat szkolny incydent z czadorem odbił się na niej znacznie bardziej, niż można by się spodziewać. Bała się nawet mimo tego, że nikt pod dachem Baran nie należał do fanów reżimu, a nie licząc o dwa lata młodszego brata dziewczyny, mieszkały tu wyłącznie kobiety – jej dwie siostry, matka oraz babcia.

Dopiero widząc, jak szalowo Baran wygląda w swojej kreacji, w końcu się przełamała i wskoczyła w kolorowe fatałaszkę.

– Amin będzie twój. Jak nic! – orzekła koleżanka. – Jeszcze włosy na tapir i jesteśmy gotowe.

– Gotowe na co? – zapytała mama. – I kim jest Amin?

Baran w odpowiedzi tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

– No mów, o co chodzi! – domagała się mama.

– Dobrze, ale musisz obiecać, że nie będziesz protestować.

– Wiesz, że nie mogę ci tego zagwarantować.

– Musisz mi zaufać. Idziemy na imprezę do Harkana.

Mama aż usiadła. Była zniecierpliwiona i zagubiona w szczątkach informacji przekazywanych przez przyjaciółkę. Ta chyba to zauważyła, bo postanowiła dłużej nie przeciągać struny.

– Okej, słuchaj. Imprezy u Harkana są legendarne, ale trudno się na nie dostać, sama wiesz, jak jest. Mój brat nas tam wprowadzi. Będzie tam Amin, wreszcie będziecie mogli się poznać. Przecież tego chcesz...

– Ale kim jest Amin? – Mama nadal nie kojarzyła faktów.

– Żartujesz? To ten chłopak, który ślini się na twój widok.

– Ten z uniwersytetu? On wcale się nie ślini... Poza tym skąd znasz jego imię? – Targały nią trudne do opanowania emocje. Była bardzo szczęśliwa z szansy poznania chłopaka, który tak jej się podobał, ale jednocześnie skrepowana inicjatywą Baran. Z drugiej strony gdyby nie ona, mama pewnie nigdy nie odważyłaby się na pierwszy krok. W świecie, w którym zwyczajne zaloty mogą się skończyć w więzieniu, trudno znaleźć w sobie odwagę do najprostszych gestów. Potrzebowała chwili, by ochłonać.

– Uspokój się, kochana. Zobaczysz, będzie fantastycznie! – Baran wprost tryskała entuzjazmem.

– Skąd znasz jego imię? Naprawdę nazywa się Amin? – spytała po chwili mama.

– Wysłałam na zwiady mojego brata. On to wszystko załatwił.

Mimo wątpliwości, a nawet kilku prób wycofania się z tego pomysłu mama ostatecznie poszła z Baran na imprezę. Odbywała się ona na ostatnim piętrze starego bloku na jednym z teherańskich osiedli. Z braku klubów, nocnych barów i dyskotek wszystkie prywatki musiały się odbywać w mieszkaniach. A i tak wcześniej czy później kończyły się interwencją milicji, często aresztowaniami. Sąsiedzi z bloku Harkana wydawali się jednak wyrozumiali, bo jego imprezy zyskały już miano legendarnych.

Nie wolno im było zanotować numeru mieszkania, ale Baran dokładnie go zapamiętała. Zapisać miały za to swoje imiona, a kartkę z nimi wsunąć pod drzwi. Tylko to mogło sprawić, że te się otworzą. Ten system weryfikacji gości zapewniał, że na imprezie nie pojawi się nikt niepożądany, a jednocześnie pozwalał uniknąć niebezpiecznych rozmów na korytarzu i w miarę bezszelestnie znaleźć się wewnątrz.

Mieszkanie Harkana nie wyróżniało się niczym spośród typowych irańskich mieszkań, choć na potrzeby spędu wszystkie jego meble były zsunięte tak, by podłogę można było zamienić w parkiet do tańca. Mama słyszała kilka różnych wersji opowieści o tym, jak Harkan wszedł w posiadanie tego mieszkania – i jak to się stało, że mieszkał w nim sam. Jedni mówili, że jego rodzice zginęli i osierocili go, inni – że mieszkał tu razem z babcią, która zmarła, a on tego nie zgłosił. Jeszcze inni uważali, że to opuszczony pustostan, zapomniany przez urzędników po aresztowaniu jego byłych właścicieli. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, Harkan był królem życia i potrafił rozkręcić imprezę nawet w sparalizowanym fanatycznym islamem Iranie.

To była pierwsza domówka, na jakiej była moja mama. Dookoła w półmroku stał spory tłumek zajętych rozmowami ludzi. Dziewczyn i chłopaków. Żadnych welonów, chust, czadorów. Drinki w rękach, uśmiechy na ustach. Nieliczni tańczyli przy zakazanych piosenkach, wśród których najczęściej rozbrzmiewało *Everybody Dance Now* C+C Music Factory i *(Everything I Do) I Do It For You* Briana Adamsa.

Dziś znam te tytuły, ale dużo czasu zajęło mi i mamie ich odgadnięcie, choć ona oczywiście doskonale je pamiętała. Przesłuchałyśmy razem mnóstwo kawałków z tamtego okresu, aż wreszcie się udało. Mama do dziś jest jedną z najwierniejszych fanek Briana Adamsa. I tak już pewnie zostanie. To przy jego piosence po raz pierwszy tańczyła z chłopakiem. Z moim tatą.

Nie było to oczywiście proste, bo mama nie miała doświadczeń w takich kwestiach ani nikogo, kto mógłby ją w nich uświadomić. Może gdyby żyła ciocia... Baran była jednak zdecydowanie bardziej przebojowa. Żyjąc w domu pełnym świątłych kobiet, wyrosła na odważną dziewczynę, choć w przyszłości przyczyniło się to do jej zguby.

– Masz mnie nie zostawiać nawet na chwilę. Nikogo tu nie znam – szepnęła mama, gdy zdążyły się rozgościć.

– Dobrze, w takim razie masz się mnie trzymać – powiedziała Baran stanowczo, mając w tym swój cel.

Chwilę później obie stały przed grupą chłopaków, wśród których oczywiście był Amin. Moja mama ze spuszczoną głową, Baran z właściwą sobie charyzmą. Przedstawiła mamę chłopakom, po czym powiedziała wprost:

– Amin, wy chyba macie jakiś temat do omówienia. – Puściła oko do wyraźnie skrępowanego obecnością mojej mamy chłopaka. – Amin – powtórzyła, widząc brak reakcji.

– A tak... – Chłopak się ocknął, po czym zwrócił wprost do mojej mamy: – Masz ochotę na jakiegoś drinka? Harkan załatwił alkohol.

Gdyby nie fakt, że oboje od dawna się sobie podobali, można by stwierdzić, że tata poderwał mamę na alkohol, ale ta raczej nie dałaby się nim skusić. Tego wieczoru oprócz pierwszego tańca z chłopakiem i pierwszej rozmowy z kimś, do kogo czuła pociąg, mamie po raz pierwszy zaszumiało w głowie.

– Baran potrafi być bardzo... intensywna – powiedział mój tato, gdy zostali sam na sam. – Jej brat powiedział mi, że tu będziesz. Inaczej pewnie bym nie przyszedł, mam ostatnio sporo nauki – kontynuował, próbując namówić mamę na rozmowę, ale ona wciąż była bardzo skrępowana.

Niewykluczone, że dopiero działanie alkoholu rozwiązało jej język, bo w końcu powiedziała cicho:

– Baran mnie też przyciągnęła tu niemal siłą.

– Nie wyglądasz na zakładniczkę. Te ciuchy są świetne.

– Baran je uszyła.

– Nie wiedziałem, że ma aż taki talent – powiedział Amin, uśmiechając się. A później zmienił temat, mówiąc już tylko o mojej mamie. – Marzyłem o tej chwili od dawna. Straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek będę miał okazję stanąć z tobą twarzą w twarz.

– Ja też... – odparła mama, rumieniąc się.  
I od tego momentu wiedzieli, że już nigdy nie wypuszczą się z rąk.



<sup>2</sup> Wbrew temu, co się powszechnie uważa, fatwa nie jest islamską klątwą ani też sama w sobie nie stanowi wyroku śmierci. Określeniem tym nazywa się zarządzenia wysoko postawionych duchownych w kwestiach religii, etyki, rytuałów lub nawyków modlitewnych, pytań i dylematów dotyczących małżeństwa i związków.

<sup>3</sup> Europejska Wspólnota Gospodarcza, która później przekształciła się w Unię Europejską.

## ROZDZIAŁ 8

### Evin

Imprezy u Harkana stały się miejscem ich pierwszych randek, ale wkrótce Amin zaprosił moją mamę do mieszkania, w którym mieszkał z rodzicami. Oboje od razu ją polubili i zaczęli traktować jak córkę do tego stopnia, że gdy tylko nie przychodziła zbyt długo, zaczynali się o nią upominać.

To dziadek namówił mojego tatę, by się oświadczył. Tata początkowo się wahał – znali się wtedy dopiero kilka miesięcy – ale wiedział też, że nigdy nie poznają się naprawdę dobrze, jeśli nie będą małżeństwem. Brutalne prawo w Iranie nie przewiduje czasu na romanse. Ludzie mają się ze sobą żenić i produkować wiernych rewolucji obywateli. Ale wielu, podejmując decyzję o wczesnym małżeństwie, robi to właśnie po to, by móc legalnie przeżyć piękne chwile pierwszego etapu związku. Często jest to przyczyną rozwodów, choć nie w przypadku moich rodziców. Oni zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, a później wprost oszaleli na swoim punkcie.

Łączyło ich wszystko. Mieli wspólne spojrzenie na świat, identyczne marzenia, podobną wrażliwość. Nie będzie też chyba niespodzianką stwierdzenie, że oboje nienawidzili opresyjnego reżimu. Jak miliony innych ludzi w Iranie próbowali się w jakiś sposób do niego dopasować i przetrwać mimo wszystko. Szybko jednak się okazało, że życie z dnia na dzień i obserwowanie, jak ich świat rozpada się na coraz mniejsze kawałki, są trudne do zaakceptowania dla ludzi, którzy mają w sobie potrzebę wolności. Chcieli, by ich dzieci wychowywały się w wolnym kraju, pragnęli zapewnić im lepsze życie od tego, które sami wiedli jako malcy, uwięzieni w fanatycznym reżimie.

Pojawiałam się na świecie, kiedy rodzice mieli po dwadzieścia dwa lata. Gdy nieco podrosłam, bywałam świadkiem rozmów o powiększeniu

rodziny. Pamiętam jedną z nich jak przez mgłę, choć jej dokładny przebieg znam dzięki opowieściom mamy. Miałam może trzy latka, ale byłam już całkiem wygadana istotką mającą swoje zdanie na niemal każdy temat.

Kiedy usłyszałam, że rodzice planują dla mnie rodzeństwo, zakomunikowałam, że się zgadzam, ale nie bezwarunkowo.

– Musi być chłopak, *baba-jan* – powiedziałam zupełnie poważnie. I zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego mój warunek tak rozbawił mamę i tatę.

– A jak urodzi się siostrzyczka? – spytał tata.

– To nie – odpowiedziałam bez wahania.

– I co z nią zrobimy?

– Oddamy! – Byłam bezlitosna.

– Dlaczego? – dopytywała mama, starając się stłumić śmiech.

– Bo chcę pożyczać ubrania od chłopaka, a ona będzie miała tylko takie dziewczynskie.

– On będzie malutki, więc chyba się nie zmieścisz w jego ubranka – negocjowała mama, w mig pojmując, do jakiej konkluzji prowadzi myślenie jej trzyletniej córki.

– Jak urośnie, to będzie chodził w moich, a ja w jego, *baba-jan*. Albo się podzielimy jego ubraniami – wyjaśniłam.

– To chyba się nie uda. Ale dobrze, spróbujemy załatwić ci brata – obiecał tata.

Kiedy po latach mama opowiadała mi tę historię, wspomniała o przerażeniu, jakie wzbudziła w niej i w tacie, gdy tylko minęło początkowe rozbawienie moją kategorię. To wtedy zdecydowali, że jeśli będą mieli drugie dziecko, to tylko w innym kraju. Innym Iranie lub na emigracji. Nie mogli znieść faktu, że już trzyletnie dziecko ma poczucie braku wolności. Bo przecież właśnie dlatego chciałam chodzić w ubraniach mojego nieistniejącego brata. Nie potrafiłam tego jeszcze nazwać, ale wydawało mi się, że jeśli je założę, będę mogła udawać chłopca i nie będę musiała chodzić w czadorze ani zasłaniać głowy.

Wprawdzie jako trzylatki ten nakaz mnie nie dotyczył, ale już wtedy był moim zmartwieniem. Rodzice wiedzieli, że to nie jest kraj, w którym można normalnie wychowywać dzieci. Wiedzieli, że prędzej czy później stanę się trybikiem w maszynie, która widzi społeczeństwo jako masę i nie dostrzega w nim jednostek.

Kochali mnie nad życie, ale nie chcieli wychowywać kolejnego dziecka w reżimie. To tak, jakby z góry skazać je na nieszczęście. Kiedy ja pojawiłam się na świecie, byli tak szczęśliwi i zakochani, że wciąż mieli nadzieję na świetlaną przyszłość – mimo koszmaru codziennych aresztowań, egzekucji i trudów więzienia końca z końcem w zrujnowanym ekonomicznie kraju. Jednak ta nie nadeszła.

Po śmierci dziadka tata coraz częściej mówił o wyjeździe z kraju, ale nie było to takie proste. Po pierwsze, sama zgoda na wyjazd z Iranu była trudna do uzyskania. A gdyby nawet się udało, dokąd mieliby uciec? Fale irańskich emigrantów od dawna zalewały kraje Zachodu i znalezienie miejsca do życia w którymkolwiek z nich było coraz większym wyzwaniem. Poza tym czy skazywanie dziecka na tułaczkę faktycznie było lepsze od tego, co mieli tutaj?

Mama też marzyła o wyjeździe, ale jednocześnie wciąż miała nadzieję, że sytuacja w kraju się zmieni. Bieda doskwierająca Irańczykom, nawet tym, którzy za czasów szacha wiedli całkiem dostatnie życie, musiała budzić frustrację, a z frustracji rodzą się rewolucje. Skoro obalono szacha, da się również obalić ajatollaha. Nie miała zamiaru jednak czekać na to bezczynnie i nie pytając mojego taty, skontaktowała się z działającą w podziemiu opozycją. Jej łączniczką był nie kto inny jak Baran, która od dawna już działała w ruchu komunistycznym.

Był to akt najwyższej odwagi, bo przez kilkanaście lat rządów fundamentalistów zdołali wprowadzić społeczeństwo w stan paranoi, szpiegowania i raportowania. Zwyczajni Irańczycy mieli poczucie, że żyją w oblężonej twierdzy atakowanej przez wrogów ze wszystkich stron. W walce z nimi donosili na sąsiadów, przyjaciół, nawet na najbliższe osoby. A ci, którzy nie donosili, bali się, że ktoś doniesie na nich. Zadenuncjować mógł cię każdy, a gdy już tak się stało, trudno było się wykpić od nawet najbardziej absurdalnych zarzutów. Co dopiero, gdy te były prawdziwe.

Irańczycy byli zmęczeni wojną. Opłakiwali ludzi, których stracili na froncie i w więzieniach. Coraz częściej unikali tematów politycznych, coraz mniej oczekiwali. Zmieniali się w społeczeństwo zombie. Nie znaczy to jednak, że nie było wśród nich takich, którzy mieli dość. Wielu wciąż gotowych było ryzykować i robić co w ich mocy dla tego niegdyś pięknego, a teraz wyniszczonego wojną, biedą i strachem kraju.

Moja mama wciąż była w tym czasie idealistką, a Baran tylko podgrzewała jej nastroje. Miała dwadzieścia pięć lat i nie zamierzała godzić się na życie w kieracie do końca swoich dni. Przede wszystkim jednak nie chciała takiego życia dla mnie.

Dzięki protekcji Baran trafiła na osoby, które okazały się godne zaufania, co nie było w Iranie łatwe. Gdy tylko jej również udało się zdobyć ich zaufanie, zaczęła swoją prywatną walkę z fundamentalistycznym reżimem, święcie wierząc, że odmieni swój kraj, a jej córka w przyszłości będzie w nim szczęśliwa.

Moja mama nie była ideową komunistką, nie mam nawet pewności, czy potrafiła rozróżnić systemy polityczne, ale porwały ją hasła, które miały odmienić Iran.

Podchodziła do swojej działalności na rzecz jednej z wielu partii socjalistycznych bardziej jak do walki z opresyjną władzą, walki o przyszłość dla mnie, niż jak do budowania społeczeństwa znanego ze Związku Radzieckiego. Mama działała w podziemiu, ale nigdy nie interesowały jej legitymacje partyjne. Nie było dla niej ważne to, dla kogo pracuje, tylko to, przeciwko komu.

Myśl socjalistyczna w Iranie była bardzo powszechna, zwłaszcza pod koniec rządów szacha. Miała być przeciwwagą dla rozpasania władcy, który nie zważając na trudną sytuację ekonomiczną obywateli, trwonił niewyobrażalne pieniądze. Partie socjalistyczne rosły jak grzyby po deszczu. Kulminacją tego zjawiska była rewolucja islamska, podczas której główne organizacje komunistyczne rozkwitły w kraju, a najbardziej aktywni członkowie Konfederacji Studentów Irańskich i organizacji komunistycznych zlokalizowanych za granicą pospieszili do Persji i przyłączyli się do komunistycznych stowarzyszeń, kół i partii lub założyli własne. Grupy te reprezentowały różnorodne radykalne ideologie i sposoby rewolucyjnej mobilizacji, w tym podejście prosowieckiej, najbardziej znienawidzonej i zdelegalizowanej przez szacha partii Tudeh.

Sprzymierzeni z fundamentalistami do czasu zwycięskich dla Khomeiniego wyborów, zaraz po nich stali się ich zaciekłymi wrogami, tępionymi przez nowe władze w bezlitosny i niezwykle krwawy sposób.

Moja mama zajmowała się głównie dystrybucją ulotek. Była na tym polu bardzo sprytna. Dopiero kiedy dorosłam, wyznała mi, że już jako mała

dziewczynka uczestniczyłam w zwalczaniu islamskiej tyranii, przemycając ulotki... we własnych pieluchach. Wydaje mi się, że nawet trochę to pamiętam. Jak przez mgłę. Mama zakładała mi dwie pieluchy, a pomiędzy nie wkładała ulotki. Ta metoda przez długi czas była bardzo skuteczna, bo nawet najbardziej zaciekły obrońca Republiki Islamskiej nie miał ochoty ryzykować zagłądania do dziecięcej pieluchy. Zwłaszcza takiej, która wygląda na pełną.

Niestety i mama w pewnym momencie znalazła się na celowniku służb specjalnych, a wkrótce zaczęła być poszukiwana. Reżim ajatollahów miał już wtedy za sobą blisko dwie dekady rządów i sporą wprawę w represjach.

Zbudowane przez szacha teherańskie więzienie Evin pozostawało i do dziś pozostaje jednym z najbardziej upiornych miejsc. W zasadzie to dopiero po jego upadku zaczęło być naprawdę koszmarnie. W najgorętszym okresie spiskowych obsesji obalonego władcy w jego murach przetrzymywano około czterech tysięcy osób. Po nastaniu reżimu islamskiego liczba ta urosła poza skalę. Samych egzekucji wykonywano tu około pięciu tysięcy miesięcznie.

Oboje moi rodzice mieli nieszczęście znaleźć się za jego bramą. Jedyne mamie udało się Evin opuścić o własnych siłach, choć tylko ich resztkami.

Trudno o bardzo dokładne dane, ale szacuje się, że w okresach nasilenia represji codziennie aresztowano nawet tysiąc zbuntowanych Irańczyków, a wśród nich także kilkunastoletnie dzieci. Więzienia Khomeiniego i jego następcy błyskawicznie się zapełniały. Nowym przemysłem po powstaniu Republiki Islamskiej była budowa kolejnych, ale i one nie wystarczyły, dlatego reżim zaczął adaptować na więzienia miejsca użyteczności publicznej – łaźnie, duże sklepy, a nawet bloki mieszkalne. Było pewne, że z czasem i one znajdą swoich lokatorów.

Czasami pamiętam to jak sen, czasem mam wrażenie, że to tylko moja wyobraźnia, a innym razem widzę te obrazy tak, jakby wydarzyły się przed chwilą. Jakbym była świadkiem ich tu i teraz. Miałam nieco ponad cztery latka i niemal niemożliwe, żebym zapamiętała szczegóły, choć mówią, że traumy pamięta się niezależnie od wieku. Niekiedy wydaje mi się, że to się

zdarzyło w innym życiu. Jakbym miała ich już za sobą kilka i zajrzała pamięcią do jednego z nich.

Bardzo się przestraszyłam, gdy w naszym mieszkaniu rozległ się niewyobrażalny hałas. To nie był zwykły łomot do drzwi. Brzmiało to tak, jakby ktoś podłożył pod nie ładunek wybuchowy. Mój *baba-jan* skoczył na równe nogi, a ja wtuliłam się w babcię, która zasłoniła mi uszy. Do *majlisu* babci, który był jednocześnie kuchnią, wpadło ośmiu umundurowanych i uzbrojonych mężczyzn. Pamiętam, że było ich ośmiu, bo właśnie uczyłam się liczyć i liczyłam wszystko, co się dało. Ich też dokładnie policzyłam.

Wrzeszczeli na mojego tatę. Jeden z nich krzyczał też na babcię. Pytali o moją mamę, która w tym czasie była w pracy, a potem zaczęli przeszukiwać mieszkanie. Zrobili w nim potworny bałagan. Zaczęłam cicho płakać, ale przyglądałam się temu wszystkiemu przez zaszkłone łzami oczy. Czasami się zastanawiam, dlaczego babcia ich też mi nie zasłoniła. Może sama była przerażona i zupełnie o tym nie pomyślała... Ale nie, ona zawsze myślała najpierw o mnie. Bardziej prawdopodobne, że chciała, bym zobaczyła to, co z naszym krajem robi terroryzująca nas władza. To była bardzo wczesna lekcja, ale dzieci w Iranie muszą dorosnąć wcześnie. Przecież zgodnie z prawem, jakie ustanowiono w moim kraju, zostało mi w tym czasie niespełna pięć lat do ewentualnego zamążpójścia. Do dziś mam gęsią skórkę, jak o tym myślę, zwłaszcza że była to rzeczywistość bardzo wielu małych dziewczynek w Iranie.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Sfrustrowani brakiem wyników przeszukania mężczyźni coraz głośniejsze krzyczeli. Kazali mojemu tacie uklęknąć twarzą do ściany i jeden z nich wycelował w tył jego głowy z karabinu. Dopiero wtedy babcia zasłoniła mi oczy, a ja, przerażona, że zaraz go zastrzelą, zaczęłam głośno płakać.

– Ucisz ją! – warknął jeden z milicjantów.

Babcia przytuliła mnie do siebie jeszcze mocniej. Niewiele więcej była w stanie w tej sytuacji zrobić.

Tymczasem milicjanci, zdawszy sobie sprawę, że przeszukanie nie przyniesie rezultatów, postanowili zaarrestować mojego tatę w nadziei, że wtedy coś z niego wyciągną.

Nigdy nie zapomnę, jak wychodząc z domu, obrócił się w moim kierunku, uśmiechnął szeroko, mrugnął i posłał mi buziaka. Nie powiedział ani słowa.

Jakby chciał zbagatelizować to, co właśnie się wydarzyło. Jakby chciał powiedzieć, że to tylko żart, że zaraz wróci i wszystko będzie jak dawniej.

Gdy dziś zamykam oczy, potrafię dokładnie odtworzyć w pamięci jego twarz. Nie jestem pewna, czy zapamiętałam ją w tamtym momencie, czy pamiętam ją z fotografii, ale już na zawsze zostanie mi w głowie. W oczach taty nie było strachu. Była ogromna miłość do mnie. Zawsze się zastanawiam, czy wiedział wtedy, że widzi mnie po raz ostatni w życiu, czy może faktycznie miał nadzieję, że wkrótce wróci.

Moja babcia zachowywała spokój, choć wtulając się w nią, czułam, jak szybko bije jej serce. Musiała wiedzieć, że jej syn właśnie znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale starała się robić wszystko, by mnie nie przestraszyć.

– Gdzie poszedł *baba-jan*? – spytałam cicho, gdy hałas związany z gwałtowną wizytą zbirów reżimu ucichł na dobre.

– Musi odpowiedzieć na kilka pytań, a potem na pewno wróci. Trzeba nam tylko na niego czekać – odparła łamiącym się głosem babcia. – A teraz musisz mnie uważnie posłuchać. Będę musiała na chwilę wyjść, ale obiecuję ci, że zaraz wrócę. Nie zakładam nawet butów. Idę tylko do sąsiadki pożyczyć cukier. Jak wrócę, zrobimy *maluki*...

Uwielbiałam *maluki*. I zawsze już będą mi się kojarzyły z babcią. Jej rodzina pochodziła z południa Iranu, gdzie *maluki* są niezwykle popularne, ale dla mnie były wyjątkowe i związane tylko z nią. Już jako dorosła dziewczyna próbowałam je zrobić. Myślałam, że się uda – w końcu to pozornie zwyczajne słodkie ciasto z jogurtu, mąki, cukru i jajek. Ale nigdy nie zdołałam skopiować smaku, jaki pamiętam z dzieciństwa. Moja mama też nawet się do niego nie zbliżyła. Mimo że obie robiłyśmy *maluki* zgodnie z przepisem babci. Prawdopodobnie brakowało nam tego najważniejszego składnika – jej opiekuńczych dłoni. Zresztą brakuje mi ich nieustannie.

Zanim babcia opuściła mieszkanie, poprosiła, żebym weszła pod kołdrę i liczyła, do ilu umiem, a potem zaczynała od początku i tak dopóki nie wróci. Skrupulatnie zabrałam się do wykonania jej polecenia i choć umiejętności liczenia nie wykraczały u mnie wtedy daleko poza pierwszą dziesiątkę, udawałam, że znam całą resztę liczb, i wymyślałam ich nazwy, nie ustając w tym, dopóki nie usłyszałam skrzypienia drzwi.

– Nie masz cukru! – zawołałam na widok babci, zaniepokojona tym, że pieczenie *maluki* będzie musiało poczekać.



Ale okazało się, że nie musi.

– Sąsiadka nie miała cukru, ale przypomniałam sobie, że gdzieś jeszcze powinna mi zostać odrobina. Wystarczy nam – odpowiedziała z uśmiechem. – Chodź, pomożesz mi.

Wyskoczyłam z łóżka i w okamgnieniu dobiegłam do babci, uradowana, że będziemy razem piec, ale jeszcze bardziej dlatego, że wróciła.

– Musimy się pospieszyć – zapowiedziałam poważnie.

– Tak? A to dlaczego? – spytała babcia z udawaną powagą, pod którą skrywała lekkie rozbawienie.

– Bo jak rodzice wrócą, na pewno będą chcieli spróbować naszych *maluki*.

Czekałam na nich jeszcze długo po tym, jak ciepłe słodyczne opuściły piekarnik. W końcu zasnąłam znużona w nadziei, że gdy się obudzę, rodzice znowu będą obok mnie.

Mama wróciła do domu dopiero po kilku tygodniach. Gdy dorosłam, opowiedziała mi o kulisach tej sprawy. Kiedy babcia poszła do sąsiadki, tak naprawdę nie zapytała o cukier, tylko poprosiła jej syna, by poszedł pod fabrykę i ostrzegł moją mamę. Miała nie wracać do domu. Pierwszej nocy schroniła się w mieszkaniu Baran, ale tam też nie było bezpiecznie. Skoro służby były na jej tropie, prawdopodobnie wiedziały też o Baran. Obie wyjechały z Teheranu i schroniły się poza granicami miasta. Przez długi czas nie miałyśmy kontaktu, a ja zaczęłam za nią naprawdę tęsknić. Ona za mną też. W końcu uczucia wygrały. Świadoma tego, jak ogromne podejmuje ryzyko, zdecydowała się wrócić.

A potem ją też aresztowali. Baran wpadła kilka dni później.

Kiedy po wielu latach znalazłam się w Stanach Zjednoczonych, opowiadając o sobie, nie ukrywałam, że moi rodzice siedzieli w więzieniu. Pamiętam doskonale zdziwienie i komentarze moich rówieśników. Wszyscy pytali, jaką zbrodnię popełnili, a ja początkowo nie bardzo mogłam to zrozumieć.

W USA i wielu innych krajach do więzienia z reguły trafia się za złamanie prawa i po wyroku sądu, a ci, którzy się tam znajdują, są uważani za złych. Nawet jeśli są wyjątki od tej reguły, zasadniczo tak właśnie się to odbywa. Ja pochodziłam z miejsca, w którym o więźniach myślało się zupełnie inaczej, bo do niewoli trafiali często ludzie szlachetni i uczciwi. I choć wcale nie chcieli się w niej znaleźć, fakt, że trafili za kraty,

świadczył raczej o ich cnotach, a nie o winie. Moi rodzice należeli do grona takich bohaterów, choć Evin – więzienie, do którego trafili – kompletnie zrujnowało naszą rodzinę.

Więzienie Evin zostało otwarte w 1972 roku na rozkaz szacha Mohammada Rezy Pahlaviego. Zbudowano je u podnóża gór Alborz, w dzielnicy Teheranu, której zawdzięcza swą nazwę.

Na terenie więzienia znajduje się plac egzekucyjny, sala sądowa i oddzielne bloki dla pospolitych przestępców oraz osadzonych kobiet. Pierwotnie było ono obsługiwane przez służbę bezpieczeństwa i wywiadu szacha, SAVAK, i przeznaczone dla sześciuset więźniów, ale wkrótce rozbudowano je tak, by mogło zniewolić nawet tysiąc pięćset osób.

W 1979 roku, tuż po wygnaniu szacha, podczas rewolucji irańskiej tłumy rebeliantów zaatakowały więzienie i uwolniły wszystkich osadzonych. Żaden z rebeliantów nie mógł się wtedy spodziewać, że wielu z nich wkrótce trafi tam w zupełnie innej roli.

Po tym, jak proklamowano Republikę Islamską, więzienie Evin zaczęło pękać w szwach. Mimo że nie było tam wystarczająco dużo miejsca, osadzono w nim ponad piętnaście tysięcy ludzi, głównie młodych. To wtedy zaczęto je nazywać Uniwersytetem Evin – ze względu na ogromną liczbę przetrzymywanych studentów i intelektualistów. Wielu z więźniów nie spędziło w murach Evin dużo czasu. Plac egzekucyjny był regularnie zlewany świeżą krwią. O tym, że tam trafili, ich rodziny dowiadywały się zupełnym przypadkiem, ale nigdy tego nie potwierdzano. Wielu więźniów Evin uznawanych jest za zaginionych, a w ich dokumentach nie widnieje informacja o osadzeniu.

Evin nadal działa, a od dnia zabójstwa Mahsy Jiny Amin znowu pęka w szwach.

Wspomnienia mojej mamy z czasów, kiedy siedziała w więzieniu, do dziś wyciskają mi łzy z oczu. Wciąż naprawdę trudno mi o tym mówić.

Od chwili, gdy trafiła w ręce strażników więziennych, przestała czuć się jak człowiek. Żaden z nich zresztą nie traktował jej jak człowieka. Dla nich młode, często doskonale wykształcone dziewczęta były tylko organiczną masą, dzięki której mogli wyżywać się fizycznie, a często i seksualnie, zaspokajać swoje sadystyczne ciągoty i udawać, że robią to wszystko z miłości dla kraju i Boga.

Wszystkie osadzone w Evin musiały nosić czarne czadory. I w sumie nie różniłoby się to od tego, jak musiały się ubierać na wolności, gdyby nie jeden zasadniczy szczegół – tu musiały też nosić opaski na oczy. Mocowane gumką, uszyte z grubej szarej lub beżowej śliskiej tkaniny. Choć połyskiwały, były wątpliwą ozdobą. Bardzo szczelnie zasłaniały oczy, a więźniarkom nie wolno było zdejmować ich poza celą. Nawet gdy się przemieszczały. Z zasłoniętymi w ten sposób oczami widziały tylko fragment podłogi przez drobną szczelinę pomiędzy dolną częścią opaski a z reguły zapadniętymi z głodu policzkami.

Za uniesienie opaski groziło pobicie lub gwałt. A że strażnicy przykładali się do wymierzania sprawiedliwości bardzo skrupulatnie, niewiele kobiet ryzykowało taki akt odwagi. I bez niego były regularnie torturowane.

Strażnicy towarzyszyli im zawsze i wszędzie. Były nieustannie inwigilowane, prześwietlane, przeszukiwane. Mieszkały w nieludzkich warunkach, stłoczone często po dwadzieścia kilka w celach dwa na trzy metry, w których nie było szans, by wszystkie mogły się położyć, a wychodziły z nich jedynie do sali tortur, sądu i raz dziennie do toalety. W celach nie było niczego poza obdrapanymi, brudnymi ścianami, zakratowanym oknem i piętrową metalową konstrukcją, która miała udawać łóżko. Ale nawet przy mocno wybujałej wyobraźni trudno było ją tak nazwać. Na tej konstrukcji miejsce znajdowało po osiem osób na każdym z dwóch poziomów. Dwie, czasami trzy mieściły się na parapecie. Reszta miała do dyspozycji podłogę.

Kobiety trwały w niemal ciągłym bezruchu. By przetrwać, ustalały dyżury, które pozwalały im rozprostować kości – dwie z nich mogły się położyć normalnie, a reszta ścisnęła się na pozostałej przestrzeni jeszcze bardziej, często po prostu stojąc godzinami.

Choć już sam sposób przetrzymywania więźniarek był nieludzki i często doprowadzał do śmierci, reżim wcale go za taki nie uważał. Wszystkie osadzone w Evin poddawano regularnym dodatkowym torturom. Dopiero one były obliczone na osiągnięcie celu. Miały zastraszyć, zmusić do ujawnienia współpracowników albo wyznania wierności Republice Islamskiej Iranu.

Mówi się, że oprawcy reżimu ajatollahów nauczyli się swoich metod od CIA, ale prawda jest taka, że były one znane jeszcze za czasów szacha. Amerykanie nie mieli powodu, by wspierać reżim islamistów, trenując jego

katów. To SAVAK stosowała tortury pierwsza, ale fundamentaliści udoskonaliли je do tego stopnia, że w żaden sposób nie przypominały tych z dawnych lat.

Oprócz regularnego brutalnego bicia było też bicie oparte na dokładnym naukowym studiowaniu reakcji ludzkiego ciała, tak by zadawać ból celowany, najsilniejszy z możliwych. Dlatego bito w stopy. Metodycznie, w konkretny punkt, co potrafiło doprowadzić nawet do częściowego lub całkowitego paraliżu. Większość dziewcząt nie była w stanie wrócić z takich tortur o własnych siłach. Niektóre doznawały poważnych kontuzji. Moja mama miała złamane śródstopie. Wiele razy połamali jej żebra. Niedowład ręki, który pozostał jej do dziś, jest wynikiem nieleczonego złamania przedramienia.

Wszyscy jednak najbardziej bali się „trumien”. To niezwykle wyrafinowana, przestudiowana naukowo, a jednocześnie najokrutniejsza z tortur stosowanych w Evin od czasu, gdy więzienie znalazło się w rękach islamistów. Sama jej groźba przerażała osadzonych, choć z pozoru wydawała się zupełnie niewinna, a w porównaniu z biciem wręcz łagodna. W ogromnej sali ustawiano kilkadziesiąt skrzyń – to właśnie trumny. Kobiety zmuszane były do siedzenia w nich w bezruchu przez kilkanaście godzin dziennie. W pomieszczeniu panowała kompletna cisza, a gdy tylko któraś z osadzonych ją przerwała, zostawała brutalnie pobita. Jedynym dozwolonym tu dźwiękiem była puszczana z głośników recytacja Koranu. Ta tortura miała sprawić, że więźniarki będą się czuły tak, jakby już umarły. Miała sprowokować do zastanowienia się, czy aby na pewno tego chcą.

Wiele z nich chciało.

Siedzenie w trumnach mnóstwo dziewczyn doprowadziło do obłądu. Oprócz myśli samobójczych wywoływało pomieszanie zmysłów i depresję.

Moja mama w pewnym momencie też miała już dosyć i pragnęła śmierci. Bardzo chciała do mnie wrócić, ale któregoś razu pogodziła się z tym, że tak się nie stanie. To było po dniu ciężkich tortur, kiedy leżąc na podłodze, zbierała siły, by wstać i pójść do celi. Podszedł do niej wtedy jeden z jej oprawców, złapał ją za włosy i uniósł jej głowę tak, by móc jej spojrzeć prosto w oczy.

– Jutro będzie twoja egzekucja – powiedział z sarkastycznym uśmiechem.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – odpowiedziała moja mama spontanicznie, choć tak naprawdę w tamtym momencie zupełnie nieświadomie. Nie

potrafiła już znieść więcej, a perspektywa końca tej udręki wydawała się bardzo kusząca. I możliwe, że właśnie to ją uratowało.

Następnego dnia stracono osiem młodych dziewcząt, ale mojej mamy nie było wśród nich. Zupełnie tak, jakby strażnik, który obiecał jej egzekucję, stwierdził, że wyświadczyłby jej tym samym przysługę. A w więzieniu Evin na przysługi nie było miejsca. Oczywiście formalnie egzekucji dokonywano na podstawie wyroków, ale strażnicy mieli przyzwolenie na dość luźne ich traktowanie i w praktyce stosowali samowolkę. Zresztą respektowanie wyroków niewiele by zmieniło. One same w sobie były farsą.

Niektórzy z więźniów dawali się złamać. Te momenty mama wspominała z największym żalem. Najbardziej szkoda jej było osób przechodzących na stronę reżimu. Były wśród nich dziewczyny, które kiedyś dzieliły z całą resztą ból, strach i niewygody związane z mieszkaniem w jednej celi. Teraz pozornie odzyskały wolność, ale testem ich lojalności najczęściej było dozоровanie niedawnych współwięźniarek. To był przerażający widok. Ludzie, którzy tak niedawno walczyli z reżimem i byli gotowi wiele tej walce poświęcić, teraz stali się bezwzględnyimi oprawcami. Tak bardzo się pilnowali, by nikt nie uznał ich przemiany za fikcyjną, że nierzadko byli znacznie bardziej okrutni od zwykłych strażników.

Jednym z punktów dnia powtarzanych pięć razy na dobę była w Evin obowiązkowa modlitwa. Nie każdy jednak chciał się modlić. Pomijając fakt, że wielu ideowych komunistów odrzucało religię, niektórzy po prostu stracili wiarę. Odmowa modlitwy stanowiła jednak akt odwagi, na jaki decydowało się niewiele osób. Była niemal jednoznaczna z rychłą egzekucją. Wszyscy – niezależnie od tego, czy wierzyli w Allaha, czy uznawali, że ich opuścił albo że po prostu nie istnieje – modlili się, by przetrwać.

Innym elementem wyznaczającym czas w więzieniu były egzekucje. Niegdyś odbywały się one w Evin codziennie, w okresie, gdy osadzona była tam moja mama, dwa razy w tygodniu. Zawsze celowo przeprowadzano je wieczorami w sali blisko cel, tak by wszyscy mogli usłyszeć strzały. Miały być psychiczną torturą i ostrzeżeniem dla reszty. Siedząc w więzieniu, mama nie miała pojęcia o tym, że znajduje się zaledwie kilkadziesiąt metrów od mojego taty. Nie miała też świadomości, że jedna z kul, której wystrzał na pewno słyszała, była przeznaczona

właśnie dla niego. Dowiedziała się o tym dopiero jakiś czas po wyjściu z Evin.

Mężczyźni, którzy trafiali do więzienia, mieli zdecydowanie mniejsze od kobiet szanse na opuszczenie jego murów. Byli zabijani częściej, bo reżim uważał, że bez nich kobiety łatwiej będzie złamać. Ze względu na płeć uważani byli też za większe zagrożenie, a i ich winę postrzegano jako znacznie poważniejszą.

Rządzący Iranem fundamentaliści islamscy nigdy nie doceniali kobiecego intelektu, kobiecej siły. Społeczeństwo wyczyszczone z nieposłusznych mężczyzn i uformowane ze złamanych kobiet miało być tym, które nigdy nie podniesie na nich ręki, tym, które w pokorze będzie uznawać ich władzę.

Plac egzekucyjny w Evin widział setki tysięcy upadających pod ostrzałem ludzi. Jednym z nich był mój kochany *baba-jan*.

Koszmar mamy w Evin skończył się po ponad dwóch latach. Wyszła na mocy częściowej amnestii, którą reżim ogłosił w dwutysięcznym roku. Nie było o niej głośno, bo władze udawały, że nie miała miejsca. Ogłoszono ją w związku z kolejną wizytą przedstawicieli Amnesty International, którzy mieli sprawdzić, czy irańscy politycy przysięgający na wszystkie świętości, że władze kraju nie przetrzymują więźniów politycznych, mówią prawdę.

Podobne akcje odbywały się już w przeszłości. Zdarzało się, że do wizyt międzynarodowych delegacji przygotowywano się w zdecydowanie bardziej drastyczny sposób. Przed pierwszą głośną misją, zanim otworzono cele, przeprowadzano masowe egzekucje.

Każda z wizyt przedstawicieli krajów Zachodu kończyła się tym samym. Służbom reżimu nie udawało się nikogo przekonać, ale też trudno było znaleźć twarde dowody, że kłamią, bo robiły wszystko, by niewygodną prawdę zataić. Obie strony trwały więc przy swoim, a jedynymi wiarygodnymi informacjami na temat więziennego okrucieństwa były świadectwa jego ofiar.

Pamiętam doskonale ten poranek. Było bardzo wcześnie. Przez okna wpadały jasne promienie słońca. Spałam w pokoju, do którego przechodziło się z kuchni. Obudziły mnie ciche rozmowy i krzątanie. Przysłuchiwałam się jej przez chwilę z zaciekawieniem, zastanawiając się, kto też nas odwiedził o tak wczesnej porze. Ja i babcia od czasu aresztowania moich rodziców praktycznie nie miewaliśmy gości. Skądś znałam ten głos...

Kilka kolejnych słów, które dobiegły z kuchni, upewniło mnie, że to nie sen.

– Mamusiu! – zawołałam, stając w kuchennych drzwiach.

Nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę ona.

Mama się rozpląkała, otwierając przede mną ramiona, a ja wtuliłam się w jej wychudzone ciało z taką mocą, że chyba musiało ją zboleć. Nie umiałam jednak inaczej. Chciałam się do niej przykleić, tak by już nigdy nie zniknęła, a jeśli będzie miała taki zamiar, żeby musiała zabrać mnie ze sobą. Przede wszystkim jednak chciałam się upewnić, że jest tu naprawdę.

Kiedy wreszcie byłam gotowa na chwilę ją puścić, spytałam, czy tata wrócił razem z nią.

Mama spojrzała na babcię, a ta odwróciła głowę.

– Jeszcze nie – odpowiedziała mama cicho. – Jak ty wyrosłaś... – natychmiast zmieniła temat.

To akurat była całkiem słuszna uwaga. Kiedy widziała mnie po raz ostatni, miałam nieco ponad cztery latka – teraz sześć. To była spora różnica, zwłaszcza dla dziecka wychowywanego w kraju, w którym dzieciństwo uważane jest za fanaberię, a wczesne dorastanie za odruch wręcz patriotyczny.

Teraz do pełni szczęścia potrzebowałam jeszcze tylko powrotu taty. Ale w tamtej chwili żadna z nas trzech zebranych w kuchni nie mogła wiedzieć niczego o jego losie. Władze z założenia miały informować rodziny o egzekucjach, choć w praktyce nie zawsze to robiły. A ponieważ taka wiadomość do nas nie dotarła, wszystkie żyłyśmy nadzieją, że tata w końcu wróci.

Tak jak mama.

On nie żył już od roku, ale o tym mama i babcia miały się dowiedzieć po jakimś czasie. Ja, dopiero gdy dorosnę.

Mama dowiedziała się o tym, co stało się z tatą, od jednego z jego współwięźniów kilka miesięcy po tym, jak sama wyszła na wolność. Miał na imię Farid. Poznałam go bardzo dobrze, stał się częścią naszej rodziny. Był mi naprawdę bliski, choć przez długi czas nie wiedziałam, kim tak naprawdę jest ani jak zjawił się w naszym życiu.

Mój tata trafił do więzienia podczas nalotu, kiedy zbiry reżimu szukały mojej mamy. Został oskarżony o jej ukrywanie, a więc uznany za

współwinnego. I wszystko wskazuje na to, że przed pluton egzekucyjny również trafił w zastępstwie. Choć tym razem nie za moją mamę.

W lipcu 1999 roku Teheranem wstrząsnęła kolejna fala studenckich protestów. Zaczęły się pokojowymi demonstracjami spowodowanymi zamknięciem przez władze reformistycznej gazety „Salam”, uważanej za wrogą systemowi. W odpowiedzi milicja dokonała nocnego nalotu na akademik, podczas którego zginął student. To doprowadziło do eskalacji protestów. Do zamieszek dochodziło w wielu ośrodkach studenckich, ale największe miały miejsce w stolicy. Skończyły się kilkoma zabitymi, kilkuset rannymi, a do niewoli trafiło blisko półtora tysiąca studentów. Oficjalnie za głównych wiczychyeli uznano pięciu z nich. Mieli stanąć przed lufami karabinów. Nieoficjalnie za protesty życiem zapłaciła ponad setka osób, głównie mężczyzn.

Mój tata siedział w celi z niektórymi z nich. I wtedy właśnie miało dojść do pomyłki. Razem z nimi stanął przed plutonem egzekucyjnym.

– Nie wiem, może stracili go zamiast mnie – wyznał Farid ze łzami w oczach. – Tak bardzo przepraszam...

Mama, która od lat walczyła z identycznym poczuciem winy, wiedziała, jak wielkie to piętno. I nie chciała, by Farid z nim żył.

– Nie możesz tak myśleć – przekonywała. – Oni twierdzą, że wymierzają sprawiedliwość, a tak naprawdę zabijają na oślep. Mój mąż, mój kochany Amin jest ich ofiarą, nie twoją. Nie możesz przepraszać za to, że żyjesz. Jeśli któreś z nas jest winne, to ja. To przeze mnie trafił do więzienia. Wiele razy powtarzał mi, żebym odpuściła i nie ryzykowała roznoszenia ulotek. A ja, kretynka, łudziłam się, że to coś da, że może coś zmieni.

– Kiedyś zmieni...

– Ile jeszcze krwi musi spłynąć, by faktycznie się zmieniło? A może krew już zawsze będzie płynęła ulicami miast tego kraju?

– Nie! – zareagował gwałtownie Farid. – Wszystkich nas nie zabiją! A nawet jeśli nie wszyscy zginiemy, zginie w nas potrzeba wolności.

– Naprawdę tak uważasz? Czy po tym, co spotkało cię w Evin, byłbyś gotowy zrezygnować z wolności? – spytała mama.

Farid spojrzał głęboko w jej oczy. Oboje wiedzieli, że nie ma takiej siły, która może w nich zabić dążenie do wolności. Mogła zabić ich, ale nie



wolność.

W pełnej ciepła i miłości kuchni mojej babci znalazła się dwójka młodych złamanych doświadczeniami ludzi, których połączyło poczucie winy z powodu nieszczęścia jednego człowieka. A wkrótce miało połączyć znacznie więcej.

Farid przychodził do nas czasami. Nie miał rodziny. Nigdy nie mówił o swoich bliskich, jakby w ogóle nie istnieli. Oczywiście będąc wścibskim maluchem, dopytywałam o nich, ale nigdy niczego się nie dowiedziałam. Babcia bardzo go polubiła. Miałam wrażenie, że widzi w nim swojego syna. Jakby Bóg sprowadził Farida w jej progi w jego zastępstwie. Zawsze dbała o to, by nie wychodził od nas głodny, a on starał się odwdzięczać pomocą we wszystkich pracach domowych, które przypadłyby pewnie w udziale mojemu tacie.

Ja też bardzo go polubiłam. Brakowało mi taty i choć wtedy nie wiedziałam, że już nigdy go nie zobaczę, czułam się, jakby Farid w pewnym sensie mi go zastępował. Tak tymczasowo, dopóki nie wróci mój *baba-jan*.



## ROZDZIAŁ 9

### Coony

Urodziłam się pięć lat po śmierci Ruhollaha Khomeiniego, ale to, co działo się w Iranie tuż po tym, jak umarł, dobrze znam z opowieści mamy i babci. Podobno zabiło go pięć następujących po sobie ataków serca. Zwyczajni ludzie często nie są w stanie przetrwać trzeciego, a wielu umiera już po pierwszym, więc niewykluczone, że podając przyczyny jego śmierci, jak wcześniej za życia, próbowano budować jego mit. Nie wiem, jak było naprawdę. Nie ma to znaczenia, bo po jego odejściu nic w Iranie się nie zmieniło, a władza wcale nie stała się mniej opresyjna. Jeśli miałabym jednak określić, co naprawdę go zabiło, to za bardziej prawdopodobne uznałabym nie ataki serca, a fakt, że śmierci życzyły mu na głos lub po cichu miliony doświadczonych jego tyraniami Irańczyków.

Miliony jednak wciąż uznawały go za jedyne go prawego przywódcę narodu i gdy wydał ostatnie tchnienie, popadły w niekłamaną rozpacz. Zresztą żałobę narodową ogłoszono po jego śmierci nie tylko w Iranie. Przez kilka dni oplakiwali go również obywatele Pakistanu, Syrii, Libanu, Afganistanu, a nawet niemuzułmańskich Indii. Oczywiście najdłuższa, czterdziestodniowa żałoba została ogłoszona w samej Islamskiej Republice Iranu, której był twórcą i przywódcą przez pierwszą dekadę jej istnienia.

Na pięć dni zamknięto wszystkie szkoły i niektóre zakłady pracy. Prywatni sklepikarze pozamykali swoje biznesy, z własnej woli lub pod przymusem. Wszyscy musieli być smutni, bo tak wypadało, choć niejedni mieli ochotę urządzić z tego powodu huczną imprezę. Tymczasem stolica Iranu oficjalnie przygotowywała się na zdecydowanie bardziej historyczne niż historyczne pożegnanie swojego przywódcy.

Trumna z ciałem Khomeiniego została wystawiona na publiczny widok w czerwcową niedzielę w Musalla, pustej parceli w północnym Teheranie.

Ustawiono ją na wysokim podeście wykonanym ze stalowych kontenerów transportowych, w klimatyzowanej szklanej gablocie. Zgodnie z tradycją zwłoki zostały owinięte białym całunem. Tam przez kolejną dobę setki tysięcy zrozpaczonych żałobników mogły zobaczyć ciało i pożegnać się ze swoim idolem.

Następnego dnia, w poniedziałek, który do historii przeszedł pod nazwą *Crush Monday*, trumnę otwarto i odprawiono nad nią modlitwę pogrzebową – *Salat al-Janazah*. Zaraz po niej miała zostać przetransportowana na znajdujący się w przeciwległej części miasta cmentarz, ale szybko się okazało, że Irańczycy tak tłumnie wylegli na ulice, iż zostały one zupełnie zablokowane, nie było szans, by się przez nie przedostać. Jedynym sposobem na przetransportowanie jej był lot helikopterem.

Zanim jednak trumna ze zwłokami lidera znalazła się na jego pokładzie, doszło do zamieszek. Rozhisteryzowany tłum żałobników nie chciał pozwolić na to, by skrzynia z ich ukochanym duchownym odleciała na miejsce pochówku. Ludzie zaczęli się tratować, próbując dostać się do wnętrza helikoptera. W końcu jednak pilotowi udało się poderwać maszynę do lotu.

Prawdziwy horror miał się jednak rozpocząć, gdy helikopter z ciałem Khomeiniego dotarł na miejsce wiecznego pochówku. Gdy tylko otworzono właz luku transportowego, żałobnicy dosłownie wyszarpali na zewnątrz trumnę z ciałem duchownego. Przechwytyjąc cenny ładunek, zaczęli paradować z nim w chaotycznym kondukcie żałobnym. Funkcjonariusze Gwardii Rewolucyjnej próbowali zachować porządek, ale sytuacja wymykała się spod kontroli.

W pewnej chwili ciało ajatollaha, owinięte białym całunem, wypadło z cienkiej drewnianej trumny, a oszaleli ludzie zaczęli się zadeptywać, by móc go dotknąć. W trudnej do opisanego histerii zdarli biały całun, dosłownie szarpiąc półnagie zwłoki.

Żołnierze napierali, próbując odzyskać kontrolę nad ciałem duchownego. W końcu oddali strzały ostrzegawcze i odebrali trumnę ogromnym wysiłkiem, by ponownie wcisnąć ją do wnętrza helikoptera. Nie było wątpliwości, że pogrzeb w takich warunkach nie będzie możliwy. Przez otwarte drzwi helikoptera rzucono jeszcze komunikat, że pogrzeb został przełożony, ale to nikogo nie uspokoiło, a tylko bardziej rozgrzało zebranych.

Tłum zaroił się pod płozami próbującej się wznieść maszyny. Ludzie zupełnie irracjonalnie czepiali się ich, ciągnąc ją w dół. W końcu helikopter wystartował, zrzucając część najbardziej zdeterminowanych żałobników. Tymczasem inni, chcąc zachować dla siebie choć cząstkę relikwii po przywódcy, zaczęli rozdzierać między sobą zerwany z Khomeiniego całun. Walcząc między sobą, rozrywali go na strzępy. W wyniku uduszenia lub stratowania w tym akcie zbiorowej hysterii zginęło osiem osób, a około pół tysiąca żałobników zostało rannych lub straciło przytomność. Wielu zmarło później w szpitalach.

Pogrzeb lidera relacjonowała telewizja, ale w momencie, gdy na ekranie można było zobaczyć stopy ajatollaha, przerwano transmisję.

„Ludzie za bardzo kochają imama – mówił spotkany w tłumie młody mężczyzna. – Nie mogą znieść widoku jego pogrzebu. Chcą zdobyć fragmenty całunu jako święte relikwie”.

Trzy godziny później helikopter z Khomeinim wrócił w to samo miejsce i wylądował przy ogromnym wzburzeniu tłumu. Tym razem ciało ajatollaha znajdowało się w metalowej trumnie, która miała zapobiec ponownemu zbezczeszczeniu zwłok.

W ostatniej drodze towarzyszył ojcu syn Ahmad. Kiedy tłum zobaczył trumnę z duchownym, ponownie rzucił się w jej kierunku, powalając Ahmada na ziemię i strącając z jego głowy czarny turban. Poturbowany mężczyzna został zabrany przez karetkę.

W tym ogólnym zamieszaniu przestały się liczyć islamskie zasady. Odziane w czerń od stóp do głów kobiety ocierały się o obcych mężczyzn, pomimo że ich religia surowo tego zakazuje. Rozpacz związana ze śmiercią ukochanego przywódcy była zbyt silna, by zwracać uwagę na takie szczegóły. Nie mając innego wyjścia, milicja musiała użyć armatek wodnych, ale i te nie poskutkowały. Konieczna była interwencja strażaków, którzy próbowali uspokoić zgromadzonych silnymi strumieniami wody z węży strażackich.

Większość z sześciu milionów mieszkańców Teheranu wyszła na ulice, a dołączyły do nich ponad cztery miliony wyznawców z innych części kraju. To była siła trudna do okiełznania. Na cmentarzu Baheshte Zahra, na którym pochowano lidera Iranu, tysiące żołnierzy Gwardii Rewolucyjnej i cywilów kłębiły się wokół grobu, wzbijając tumany kurzu, gdy ciało Khomeiniego zostało ostatecznie złożone.

Relacjonując ten moment, spiker telewizyjny ochrypłym ze wzruszenia głosem skandował: „Ojcie, nie zostawiaj swoich dzieci! Ojcie, nie opuszczaj swych umiłowanych!”. Ludzie płakali i bili się pięściami po głowach oraz piersiach w muzulmańskim wyrazie żałoby.

Kiedy trumna ostatecznie spoczęła w płytkim grobie, ogromne betonowe płyty zamknęły go przed wzrokiem żałobników. Ale istniało spore ryzyko, że mogła zostanie przez nich ponownie otwarta. Aby tego uniknąć, dźwig opuścił metalowy kontener towarowy i ustawił go na grobie, tak aby uniemożliwić ludziom dostęp do trumny.

Karabiny oddały ostatni salut ku czci patriarchy, który obalił liczącą dwa i pół tysiąca lat monarchię i przekształcił Iran w wojownicze państwo islamskie. Oficjalny pogrzeb Khomeiniego dobiegł końca, ale szal związany z żałobą pociągnął za sobą więcej śmierci niż ta opłakiwana.

Iran stanął u progu kolejnego rozdziału w swojej historii. Osierocony przez lidera, miał do wypełnienia jego kilkudziesięciostronicowy testament. Jego fragmenty jeszcze tego samego dnia w teherańskim radiu przeczytał syn przywódcy. Obywatele po raz kolejny usłyszeli, że muszą się wystrzegać „Wielkiego Szatana” i spisków knutych przez wrogów wielkiego irańskiego narodu.

Kiedy ajatollah Khomeini zastąpił szacha, w sercach wielu Irańczyków pojawiła się nadzieja. A później te same serca pękły z rozpacz. Jeden tyran został zastąpiony innym. Choć trudno było to dostrzec w tłumie żałobników, nie wszyscy Irańczycy opłakiwali imama. Wielu od dawno życzyło mu śmierci, choć bez wiary, że cokolwiek ona zmieni.

Po Khomeinim władzę przejął równie radykalny Ali Khamenei. Sytuacja nie dawała zbyt wielkiej nadziei, ale jak się okazało, nawet gdy nie ma już nadziei, pragnienie wolności wciąż jeszcze się w nas tli. Wielu Irańczyków nigdy nie pozwoliło mu zgasnąć, choć ich położenie z roku na rok coraz bardziej się pogarszało.

Od chwili, kiedy mama opuściła mury Evin, była już pewna, że nie może pozwolić, bym dorastała w tym kraju. W zasadzie wiedziała to wcześniej, ale Evin tylko utwierdziło ją w tym przekonaniu. Wiedziała też, że przekazała mi rewolucyjne geny. Widziała we mnie siebie z czasów, gdy sprzeciwiała się dyrektorze swojej szkoły. Była pewna, że mam duszę

buntowniczką, a w Iranie to oznacza ogromne cierpienie, a niewykluczone, że nawet śmierć. Żadna matka nie jest w stanie spokojnie zasnąć ze świadomością, że taki los może spotkać jej dziecko.

Mama nie miała jednak pojęcia, jak wydostać się z Iranu. I dokąd się udać po ewentualnej udanej ucieczce. To problem bardzo złożony, bo Irańczycy chcący zamieszkać za granicą muszą nie tylko liczyć na łaskę obcego kraju i prosić o możliwość legalnego w nim pobytu, ale przede wszystkim przejść przez gehennę zdobywania pozwolenia na opuszczenie ojczyzny. A ta w obawie o własną reputację niechętnie pozwala na to swoim obywatelom. Zupełnie jakby dało się jej jeszcze zaszkodzić.

Irańczycy muszą uzyskać pozwolenie na opuszczenie swojego kraju za każdym razem, gdy chcą z niego wyjechać. Władze nie wydają zezwoleń na wielokrotny wyjazd i wjazd, kontrolują każdą taką próbę i każdy wniosek rozpatrują indywidualnie. Obywatele, ubiegając się o pozwolenie przekroczenia granicy, za każdym razem muszą uiścić tak zwany podatek wyjazdowy. Opuszczenie kraju bez ważnego paszportu i pozwolenia grozi grzywną lub karą więzienia. Albo jednym i drugim.

Byłam zdecydowanie za małą, by to wszystko rozumieć. Zresztą mama i babcia nie wtajemniczały mnie w te kwestie, robiły wszystko, by moje dzieciństwo było jak najbardziej normalne w tym nienormalnym świecie. O tym, przez co przeszły, mama opowiedziała mi dopiero, gdy byłam na studiach.

Przede wszystkim nie miałam pojęcia, że mama właśnie wtedy wyszła za mąż. W życiu bym tego nie zrozumiała, bo przecież wszystkie wciąż czekałyśmy, aż mój *baba-jan* wróci do domu. Tyle że ja czekałam trochę bardziej niż mama i babcia. I tylko ja z nas trzech miałam nadzieję, że to w końcu nastąpi. Co więcej, byłam tego absolutnie pewna. Przecież tata zawsze powtarzał, że mnie kocha, a ludzie wracają do tych, których kochają.

Mężem mamy został Farid. Ten sam, który siedział w więzieniu z tatą. Z mojego dziecięcego punktu widzenia nic się nie zmieniło, bo i tak bywał u nas dość często. Zdążyłam się już z nim zżyć, zwłaszcza że świetnie się sprawdzał w roli taty, a mnie bardzo go brakowało. Ale nie widziałam, by

Farid i mama zachowywali się jak mąż i żona. Byli dla siebie mili, to wszystko...

Kilka miesięcy później mama i babcia posadziły mnie przy stole. Na talerzu przede mną wylądowały moje ulubione *maluki*, które nie musiały długo czekać, bym się nimi zajęła. Okazało się jednak, że to nie one będą gwoździem programu tego wieczoru.

To wtedy usłyszałam, że wyjeżdżamy z Iranu.

– Dokąd? – chciałam wiedzieć.

– Na wakacje.

Nie wiedziałam, czym są wakacje, ale kojarzyły mi się całkiem przyjemnie. Nie wiedziałam też, jak trudna jest to decyzja dla wszystkich bliskich mi dorosłych, więc po prostu bardzo się ucieszyłam.

– Ale tata jedzie z nami? – spytałam, jakby to było oczywiste.

Na twarzy mojej mamy pojawiła się konsternacja. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale babcia natychmiast pospieszyła jej z pomocą.

– Ja zaczekam tu na niego i razem do was przyjedziemy...

– To babcia też z nami nie jedzie? – wywnioskowałam. Pomysł wyjazdu niemal z miejsca przestał mi się podobać. – Babciu, musisz z nami pojechać. *Baba-jan* może do nas dojechać później. Przecież jest duży i trafi...

Babcia wyciągnęła do mnie ręce, a ja zerwałam się z krzesła i usiadłam jej na kolanach.

– Kochanie moje, pamiętaj, że każdy pielgrzym idzie do Mekki swoją własną drogą – powiedziała.

Zapamiętałam te słowa, chociaż oczywiście wtedy zupełnie ich nie rozumiałam. Nie byłam pewna, czy jedziemy do Mekki, nie miałam pewności, czym w ogóle jest Mekka, choć uczyłam się o niej w szkole. Ale islamski system nauczania nie skupiał się zbytnio na tym, czy dzieci rozumieją to, co jest im wpychane do głów. Ważne było, by zapamiętywały wypowiedziane frazesy. Mekka zatem nie była mi obca, ale nie miałam pojęcia, co babcia tak naprawdę ma na myśli.

– To jedziemy tylko we dwie? – drążyłam dalej.

– Jedzie z nami Farid – odpowiedziała spokojnie mama.

– Super! – zareagowałam zachwycona tym pomysłem, na chwilę zapominając, że muszę zostawić swoją ukochaną babcię. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że rozstajemy się na zawsze.



Kulisy tej sytuacji skrywały prawdę, która nie nadawała się dla oczu i uszu dzieci. Od chwili, gdy moja mama wyszła z więzienia, była przekonana, że do niego wróci – i potwornie się tego bała. Miewała koszmary, a od kiedy się dowiedziała, że mój tata został zabity w czasie, gdy tam siedziała, nie mogła się pozbyć poczucia winy. To dręczyło ją od dawna, bo była przekonana, że gdyby nie jej działalność, nie zostałby aresztowany. Gdy dowiedziała się o jego śmierci, jej stan znacznie się pogorszył. Sumienie ją gryzło, a depresja potwornie się nasiliła. Mama jej nie leczyła, bo nawet nie wiedziała, że ją ma. Poza tym przyznawanie się do chorób psychicznych w Iranie to nie jest dobry pomysł. To zupełne tabu. Psychiatria w tym kraju jest w opłakanym stanie, a nowoczesne metody leczenia chorób psychicznych praktycznie nie istnieją, mimo że według szacunków cierpi na nie ponad sześćdziesiąt procent Irańczyków.

Tata śnił się mamie niemal codziennie. Choć w rzeczywistości byłoby to niemożliwe, w tych snach zawsze siedzieli w celi razem. I zawsze wsłuchiwali się w wywoływane przez głośniki nazwiska więźniów. Tata mówił wtedy cicho:

– Jeśli nie wymienią twojego imienia, dziękuj Bogu. Jeśli je wypowiedzą, zacznij się do niego modlić.

– Amin, przecież ty nie wierzysz w Boga – odpowiadała mama.

– Kiedy nie masz już wiary w człowieka, zostaje ci tylko wiara w Boga. Jeśli on nie istnieje, to nawet lepiej, nie może cię skrzywdzić.

A potem z głośnika zawsze padało imię taty. Wstawał i wychodził z celi w stronę światła. I nigdy nie był w brudnych więziennych ubraniach. Zawsze pięknie, elegancko ubrany, idealnie ogolony i uśmiechnięty jak w czasach, gdy się poznali.

Ten sen wracał niemal co noc, idealnie w takiej samej sekwencji. Fakt, że mama wiedziała, co zaraz nastąpi, sam w sobie był torturą. A potem to następowało i budziła się zrana potem oraz łzami. Choć mama wyszła z więzienia, tak naprawdę mentalnie nigdy go nie opuściła.

Represje wobec „wrogów Republiki” nasilały się i słabły w zależności od sytuacji politycznej w kraju. Władza nieustannie potrzebowała wroga, by udowodnić, że nie jej winą jest skrajna bieda, do jakiej doprowadziła społeczeństwo irańskie. Gdy tylko dochodziło do niepokojów społecznych związanych z ciężką sytuacją gospodarczą, organizowała masowe publiczne egzekucje, by stracić „winnych”. Na głównych placach wszystkich miast

i miasteczek od lat stały dźwigi, które służyły do wieszania przestępców i zdrajców Republiki Islamskiej lub samego Boga.

Niespełna miesiąc przed tym, jak babcia i mama powiedziały mi o wyjeździe z kraju, miał miejsce incydent, który do dziś jest dla mnie dowodem na to, jak okrutnymi władza fundamentalistów uczyniła niektórych ludzi z mojej ojczyzny.

Mama miała wybitnie matematyczny umysł, praca w fabryce była zdecydowanie poniżej jej możliwości. Ale i ją straciła. Po wyjściu z więzienia zatrudniła się w prywatnej manufakturze dywanów. Jej właścicielem był jeden z bogatszych ludzi w okolicy, który doskonale żył z władzą. To była jedyna szansa na to, by w Iranie zbić majątek. Płacił marnie, a wymagał pracy ponad siły. Mama codziennie przez kilkanaście godzin tkła dywany, które trafiały do sklepów w bogatych krajach Zatoki Perskiej, gdzie sprzedawano je za ogromne sumy. Zawsze wracała zmęczona, ledwo trzymając się na nogach.

Któregoś wieczoru kilkaset metrów od domu została zaczepiona przez ubranych po cywilnemu mężczyzn.

– Dokąd idziesz, *khanum*? – warknął jeden z trzech młodzieńców.

– Wracam z pracy – odparła krótko moja mama, próbując iść dalej, ale oni skutecznie jej to uniemożliwili. – Chcę przejść – powiedziała, spoglądając w ich twarze z wyraźną odrazą.

– To, co chcesz, jest tu nieistotne – kontynuował ten sam mężczyzna.

– O co wam chodzi? – rzuciła mama z irytacją.

– Zamierzamy sprawdzić, z kim mamy do czynienia, *khanum*.

– Z kobietą, która po kilkunastu godzinach pracy chce wrócić do domu, do swojej córki.

– Gdzie mieszkasz?

– Dwa bloki stąd.

– Pójdziemy z tobą.

– Nie! Kim wy w ogóle jesteście?

– Jesteśmy Strażnikami Rewolucji.

– Wy? – zakpiła. – Gdzie wasze mundury?

– Nie potrzebujemy mundurów, by walczyć z wrogami rewolucji. Jesteśmy z Basij.

– Uciemienieni? I dlatego próbujecie ciemnić innych?

– Bronimy rewolucji! – wycedził chłopak z wściekłością, po czym jednym gestem skłonił swoich towarzyszy do działania.

Obaj doskoczyli do mojej mamy. Jeden złapał ją z tyłu, a drugi zarzucił jej na głowę jutowy worek. Dobrze znała te metody. Kiedy świat przesłoniła jej brudna szmata, wpadła w panikę. Chwile przeżyte w Evin wróciły do niej z całą mocą. Strach kompletnie ją sparaliżował.

Tymczasem mężczyźni zaciągnęli ją w boczną uliczkę.

– Zostawcie mnie, proszę... – zdołała wydusić mama.

– Możemy to zrobić tylko pod warunkiem, że będziesz dla nas miła – powiedział wciąż ten sam, ewidentnie wyznaczony do negocjowania napastnik.

Mama nie bardzo wiedziała, jak rozumieją „bycie miłą”, czego od niej chcą. Evin nauczyło ją, by nigdy się nie poddawać, ale też nigdy się nie stawiać. Wiele dziewczyn, które odmawiały wykonywania poleceń, straciło życie na miejscu. Jej śmiercią nikt by się nie przejął, zwłaszcza jeśli napastnicy faktycznie należeli do Związku Mobilizacji Uciemionych. Więzienie nauczyło ją jednak też wyrafinowanej gry z oprawcą.

– Zdejmijcie mi ten worek z głowy, pogadajmy – powiedziała, znajdując w sobie resztki uprzejmości.

Podziałało. Zdjęli.

Stali w zaułku pomiędzy pokieroszowanymi budynkami, na których resztki tynku trzymały się już tylko siłą woli. Mama się obawiała, że mężczyźni ją skrzywdzą, ale oni mieli zupełnie inny plan.

– Idziemy do twojego domu – zarządził ich lider.

– Mam małą córeczkę... – próbowała negocjować.

– Tak, wiemy, już mówiłaś. I ona na pewno chciałaby zobaczyć swoją mamusię całą i zdrową.

Tym razem mama już nie protestowała. Szła pierwsza. Oni tuż za nią. Myśl o ucieczce przemykała przez jej głowę co jakiś czas, ale wiedziała, że wtedy zabiliby ją bez skrupułów.

Kilka minut później dotarli do budynku.

– Jesteśmy. Czego tu chcecie? – spytała ponownie.

– Chcemy przeszukać twoje mieszkanie.

– Po co?

– Mamy prawo podejrzewać, że jesteś wrogiem rewolucji.

– Nie jestem.

– Jeśli nie jesteś, nie masz się czego obawiać.

Mama nie wiedziała, czy blefują, czy mówią prawdę. Siedziała już w więzieniu pod tym zarzutem, a choć od tego czasu nie zajmowała się działalnością opozycyjną, nie miała pewności, czy nie pojawiły się wobec niej nowe oskarżenia. Zwłaszcza że to właśnie w tamtym czasie sny, w których siedziała z moim tatą w jednej celi, dręczyły ją najbardziej. Nie wiedziała, co jest ułudą, a co jawą. Strach odbierał jej możliwość oceny, ale najbardziej bała się tu nie o siebie, a o mnie.

– Musicie się zachowywać cicho. Moja córeczka śpi – powiedziała, otwierając drzwi mieszkania.

Ja faktycznie spałam, a babcia siedziała przy stole w kuchni.

– Przyszli przeszukać mieszkanie – powiedziała do niej mama i usiadła obok.

Babcia przesunęła w jej kierunku filiżankę z gorącą herbatą. Choć tego wieczoru mama nieco się spóźniła, babcia jak zwykle przygotowała dla niej świeży napar.

Jej opanowanie mogło zaskakiwać, ale w sumie było całkiem zrozumiałe. Co innego miała zrobić? Mieszkała w kraju, który był w rękach bezczelnych terrorystów. Mogła zostać ich ofiarą lub zachować honor.

– Napij się, kochana – powiedziała łagodnie, kompletnie ignorując zbirów plądrujących jej mieszkanie.

Przeszukiwanie szuflad, szaf i komód nie zajęło mężczyznom wiele czasu.

– Gdzie są pieniądze? Bizuteria? – rzucił ich lider.

Wreszcie odkrył karty. Bajeczka o szukaniu dowodów potwierdzających walkę z jedynie słuszną władzą była tylko pretekstem. Tak naprawdę próbowali nas okraść.

Babcia spojrzała na niego z politowaniem.

– Czy ty myślisz, syneczku, że po kilkunastu latach od chwili, gdy swołocz taka jak wy przejęła kontrolę nad tym krajem, zwykli ludzie mają jeszcze cokolwiek wartościowego? – powiedziała z odrazą podszytą sarkazmem.

Grabieżca wiedział, że nie jest w stanie powiedzieć niczego, co by przstraszyło tę kobietę. Nie był też mundurowym, by móc ją za tę niesubordynację aresztować. Ratując resztki honoru, zarządził odwrót.

Wyszli praktycznie bez łupu. Zabrali tylko kilka kryształów, które i tak nie miały zbyt wielkiej wartości.

Moja mama odetchnęła z ulgą. Ale tej nocy coś w niej pękło. Zrozumiała, że dla jej kraju nie ma już nadziei. Ciężone przez władze społeczeństwo nabierało obrzydliwych nawyków. Widząc, że Strażnicy Rewolucji i Basij mogą wszystko, młodzi chłopcy udawali funkcjonariuszy, co stało się powszechnym sposobem na zastraszenie i grabienie. Zasady, które kiedyś powstrzymałyby przed takim zachowaniem wielu, dziś przestały obowiązywać. Liczyło się tylko przetrwanie. Sumienie też przestało odgrywać jakąkolwiek rolę. Tylko przeszkadzało w przetrwaniu.

Nie miała pojęcia, co zrobić, by wydostać się z tego koszmaru. Wiedziała, że jako była osadzona nie ma szans na zdobycie pozwolenia na wyjazd, a poza tym wolała unikać urzędów, by się nie okazało, że jej amnestia była przypadkowa. W porównaniu z innymi więźniami nie siedziała w Ewin zbyt długo. Wolała nie ryzykować powrotu. Jej wiara w sprawiedliwość państwa praktycznie już nie istniała, ale żeby spróbować legalnie wyjechać, musiałaby pojawić się przynajmniej w jednej instytucji. Nie miała na to wystarczającej odwagi, choć wiedziała, że dalsze życie w tym kraju będzie jej wymagało znacznie więcej.

Mama nie spodziewała się jednak, że już dwa dni później będzie zmuszona do opanowania swojego strachu przed instytucjami. Bez tego ślub z Faridem nie byłby możliwy.

Chłopak pojawił się w naszym domu już następnego ranka po napadzie samozwańczych strażników. Jakimś przedziwnym prawem serii i on został tej nocy napadnięty. A może to wcale nie był przypadek?

Mama i ja wciąż jeszcze smacznie spałyśmy. Babcia była jedyną osobą w naszym domu, dla której późne pójście spać wcale nie wykluczało wczesnego wstawania. Tego poranka miała ręce pełne roboty.

Farid zapukał do naszych drzwi tuż przed szóstą raną. Był cały poobijany. Na jego twarzy widniało mnóstwo siniaków i rozcięć.

– Co ci się, synku, stało? – spytała babcia, pomagając mu wejść do mieszkania i prowadząc do stojącej w kuchni leżanki.

Zapłakany Farid próbował odpowiedzieć, ale widząc, jaki ból mu to sprawia, babcia go powstrzymała.

– Nie mów nic. Musimy cię opatryć i postawić na nogi, zanim dziewczęta wstaną – powiedziała, rozpoczynając krzątanie. – Leż tu

i odpoczywaj. Ja się wszystkim zajmę.

Babcia przemyśla i opatrzyła rany Farida, a następnie zabrała się do przygotowania śniadania i parzenia herbaty. Tylko ona potrafiła zrobić z niej napój bogów. Uwielbiałam poranki, które pachniały jej herbatą. To zapach mojego dzieciństwa...

Tego dnia nie było inaczej. Kiedy zwabiona zapachem herbaty w końcu wstałam, w kuchni odbywała się prawdziwa uczta. Oczywiście tak naprawdę było to skromne śniadanie, a jednak inne od tego, jakie babcia przygotowywała na co dzień. No i nigdy nie mieliśmy porannych gości. Farid odwiedzał nas często, ale nie o tak wczesnej porze.

Dopiero po latach się dowiedziałam, że to podczas tego śniadania moja mama i Farid postanowili, że wezmą ślub, a osobą, która to wymyśliła, była moja babcia. Wiem, że to dość dziwne, bo przecież mój tata był jej synem, mama nie była z nią spokrewniona, a Farid był zupełnie obcym chłopakiem. Ten pomysł wymykał się logice, którą można byłoby przypisać osieroconej przez syna matce, ale babcia myślała zupełnie innymi kategoriami. Była na wskroś pragmatyczna i niezwykle mądra. Gdyby takie kobiety rządziły naszym krajem, ten byłby najszcześniejszym miejscem na ziemi.

Z tego ślubu nie ma zdjęć. O tym ślubie wiem niewiele. Przez lata nie wiedziałam nawet, że w ogóle do niego doszło. Był to zwykły akt urzędowy. Kiedy podpytywałam mamę o jej życie, zawsze schodziła na temat taty i wspominała ich piękne początki. Nielegalną imprezę, która o mały włos nie skończyła się aresztowaniami, opisywała niemal jak królewskie wesele. O ślubie z Faridem nie mówiła nic. Jakby nawet po latach ciągle się bała, że ktoś się zorientuje, że był fikcyjny.

Tamtego poranka, kiedy jeszcze spałam, przy kuchennym stole mojej babci miała miejsce rozmowa, która zdeterminowała całą moją przyszłość. Mama, wciąż jeszcze wstrząśnięta spotkaniem z fikcyjnymi Strażnikami Rewolucji i dręczona koszmarami o Evin, pobity Farid i babcia, która niczym cudowna wróżka miała się pochylić nad ich losami i rozstrzygnąć o przyszłości.

Farid wyjawiał wtedy im obu swoją tajemnicę. Opowiedział o Mortezie. Chłopaku, którego kochał nad życie.

– Musieli nas obserwować od dawna. Spotykaliśmy się często i wszędzie razem chodziliśmy, ale nie robiliśmy niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że jesteśmy nie tylko kolegami. Nie wiem, kto im powiedział, że

łączy nas coś więcej. Ktoś musiał... – Farid zawiesił głos, przełykając łzy, którym nie chciał pozwolić spłynąć. – Wcześniej zatrzymywali nas wiele razy, ale po wylegitymowaniu puszczali wolno. Przecież w tym kraju to chodzenie z dziewczynami jest receptą na kłopoty.

– My z Aminem ciągle musieliśmy się ukrywać. Wzięliśmy wcześniej ślub tylko dlatego, że mieliśmy już dosyć nękania – wtrąciła mama.

– No właśnie. Po mieście przecież chodzą grupy chłopaków i nikt nie uważa, że łączy ich coś więcej. Ktoś musiał im powiedzieć... – Faridowi coraz trudniej było opanować emocje.

Poprzedniego wieczoru jak zwykle spędzał czas z Mortezą. Włóczyli się po mieście bez celu. Nie miało znaczenia, gdzie byli, nie miało znaczenia, dokąd szli, ważne, że byli razem. Nie zachowywali się w sposób, który mógłby zdradzić, kim tak naprawdę dla siebie są, ale patrol Strażników Rewolucji i tak zwrócił na nich uwagę.

– Co tu robicie? – spytali chłopaków siedzących na fragmencie wyburzonego muru.

– Siedzimy – odpowiedział Morteza, zeskakując na ziemię i stając naprzeciwko strażników. Był wyższy od dwóch z nich i tylko jeden dorównywał mu wzrostem.

Wydawało się, że w ogóle się ich nie boi. Po tylu latach nękania Irańczycy często w kontaktach ze strażnikami pozbywali się strachu. Ileż można się bać?

Farid zeskoczył z murku chwilę później i stanął u boku przyjaciela.

– Knujecie coś – zawyrokował jeden ze strażników.

– *Coony!* – rzucił drugi.

Nogi pod Faridem ugięły się na to hasło.

– A ty co? Ekspert? Sam jesteś *coony!* – rzucił Morteza, po którym nadal nie było widać cienia strachu.

Jego słowa wyraźnie rozjuszyły chłopaka. Podszedł do niego i z wściekłością wycodził:

– Znam takich jak wy...

– Tak? A skąd? – Morteza nie tracił rezonu.

– Dlaczego nie jesteście w domu, z żonami? – spytał drugi strażnik, podchwytyjąc podejrzenia pierwszego.

– Nie mamy żon.

– Mówiłem! – zaśmiał się ten pierwszy. – *Coony!*

*Coony* w języku perskim oznacza mniej więcej to, co w polskim „pedał”. Homoseksualiści są w Iranie nazywani również innym obraźliwym słowem: *bachevaz*. To określenie oznacza kogoś jednocześnie złego, niebezpiecznego seksualnie i molestującego dzieci. Lekceważącym słowem *evakhahar* nazywani są geje, którzy są delikatni i kobiecy w usposobieniu.

Reżim Republiki Islamskiej w bezkompromisowy sposób walczy ze środowiskiem LGBT, skazując jego przedstawicieli na śmierć. Utrzymuje jednocześnie, że wszyscy ukarani za akty homoseksualne zostali sprawiedliwie osądzeni, choć według nieoficjalnych doniesień jest to dalekie od prawdy.

Pomijając fakt, że zabijanie lub jakiegokolwiek formy represji ze względu na orientację seksualną są bezprawiem w każdym kraju, wielu gejów nie może liczyć na choćby karykaturalny proces, który pozwoliłby im zabrać głos. Społeczność LGBT jest często wykorzystywana seksualnie w więzieniach i używana do pokazowych egzekucji bez osądzenia. Wielu, trafiając do więzienia, umiera tam z powodu pobicia, tortur lub gwałtów.

Reżim twierdzi też, że homoseksualność to moda z Zachodu, która godzi w kulturę kraju, będąc zagrożeniem dla tradycyjnych wartości i rodziny. Zdarzają się jeszcze bardziej absurdalne wypowiedzi.

Były prezydent Iranu Mahmoud Ahmadinejad podczas swojej wizyty na Uniwersytecie Columbia, zapytany o karę śmierci nakładaną przez jego kraj na homoseksualistów, omówił karę śmierci dla przemytników narkotyków. Naciskany przez moderatora o odpowiedź na właściwe pytanie powiedział: „W Iranie nie mamy homoseksualistów, jak w waszym kraju. W Iranie nie mamy tego zjawiska. Nie wiem, kto ci powiedział, że to mamy”. Aż chciałoby się wyjaśnić: „nie mamy, bo gejów u nas się po prostu zabija albo przymusowo zmienia im płeć”.

Paradoksalnie zgodnie z fatwą ajatollaha Khomeiniego korekcja płci jest w Iranie prawnie dozwolona, a tranzycja bywa niekiedy wręcz nakazana nawet gejom, rzadziej lesbijkom, którzy czują się dobrze ze swoją płcią. W swej tragicznej prostocie myślenia irańscy fundamentaliści uważają, że jeśli gej zmieni płeć i zostanie kobietą, będzie „naprawiony” i przestanie tym samym gorszyć społeczeństwo swoją odmiennością.

W rzeczywistości takie działanie jest pozytywne tylko dla osób faktycznie transpłciowych, które mogą skorygować płeć i żyć zgodnie ze swoją płcią biologiczną. W tym potwornie homofobicznym świecie osoby LGBT spod literki T – trans – są więc w najlepszej sytuacji, choć oczywiście nie rozgrzesza to postępowania wobec pozostałych osób spod tęczęwej flagi. Reszta jest po prostu okaleczana niezgodnie z własną tożsamością, co często w konsekwencji



doprowadza do samobójstw albo publicznego powieszenia. Nic zatem dziwnego, że wielu gejów, znając tragiczne historie osób poddanych tranzycji, wybiera karę śmierci zamiast przedłużających się tortur zmiany płci na niezgodną z tą, w której czują się sobą.

Bardzo możliwe, że strażnik, który wyzywał Farida i Mortezę od *coony*, sam również należał do irańskiego środowiska LGBT, a żeby ukryć swoje upodobania, dołączył do Gwardii Republikańskiej, gdzie czuł się bezpiecznie.

Nic nie wskazywało na to, by Morteza i Farid byli gejami. Obaj świetnie zbudowani i męscy, co oczywiście nie świadczy o orientacji, ale w irańskim świecie pełnym stereotypów gwarantuje alibi. Tylko inny gej był w stanie wyczuć subtelności, które mogły ich zdradzać. Nie było jednak szans na to, by wygrać tę konfrontację.

– Patrz na jego buty – rzucił z sarkazmem ten sam strażnik.

Morteza faktycznie miał na nogach buty, które już wcześniej mogły mu napytać biedy. Mocno zniszczone, ale totalnie godne pożądania Nike, które w odizolowanym od świata Iranie były marzeniem wielu. Morteza nosił je z dumą. By nie kusić losu, zaklejał częściowo taśmą charakterystyczną łyżwę, choć wcale nie odbierało to butom prestiżu. Wręcz przeciwnie – były jeszcze bardziej oryginalne.

Dla fundamentalistów nawet takie buty były symbolem zachodniego zepsucia, choć rzadko który radykał znał się na amerykańskich markach, a ci, którzy się znali, raczej do ich szeregów nie należeli.

– Na modzie też się znasz? I to amerykańskiej? – Wściekły Morteza nie potrafił się powstrzymać od dogryzania strażnikowi. Zwłaszcza że miał nadzieję na zdemaskowanie go przed kolegami. Był pewien, że jest gejem. To irytowało go jeszcze bardziej. Jak mógł prześladować ludzi takich jak on w kraju, w którym za homoseksualność po prostu się ginie.

Nie chcąc ryzykować odkrycia, strażnik zaatakował. Uderzył Mortezę w brzuch. Natychmiast wywiązała się bójka. Farid dostał cios w twarz. Dwaj pozostali strażnicy próbowali ich obezwładnić, ale ten, który jako pierwszy zaatakował Mortezę, zdawał się mieć inny priorytet. Wyglądało to tak, jakby chciał się wyżyć.

Morteza był jednak wysportowany i nie zamierzał łatwo się poddać. Szala zwycięstwa przechyliła się nieco na stronę strażników, gdy drugi z nich dołączył do katowania Mortezy. Farid dawał sobie radę, ale coraz bardziej opadał z sił. Był już poważnie poturbowany.

W pewnym momencie jeden ze strażników wrzasnął:

– Dość! Zabieramy ich!

Słyszając to, Farid i Morteza bez namysłu rzucili się do ucieczki. Farid biegł co sił w nogach, a Morteza za nim. Niestety wkrótce strażnicy ich dopadli. Wywiązała się kolejna bójka. Farid był już wcześniej w więzieniu. Wspomnienie tego koszmaru wywołało w nim przypływ nadludzkiej siły. Walczył o życie jak poranione dzikie zwierzę. W końcu udało mu się wyrwać i ruszył pędem przed siebie. Na widok kolejnego patrolu Gwardii Republikańskiej schował się w zaułku. Próbował dojść do siebie i zebrać siły na dalszą drogę. Wiedział, że tej nocy nie może wrócić do swojego mieszkania, dlatego postanowił doczłapać do domu mojej babci. Na miejsce dotarł w środku nocy, gdy wszyscy spali. Schował się w piwnicy, a nad ranem wspiał się po schodach na czwarte piętro i zapukał do drzwi.



## ROZDZIAŁ 10

### Nike

Plan babci był prosty i w swej prostocie absolutnie genialny. Ślub miał pomóc Faridowi wyciągnąć Mortezę z opresji. W świecie prostych schematów bycie mężem z miejsca likwiduje podejrzenie o homoseksualizm. A zatem oskarżenie o niego Mortezy musiałyby się okazać bezpodstawne.

Farid nie zamierzał czekać na ślubne formalności. Gdy tylko poczuł się trochę lepiej, chciał iść na milicję i zapewnić, że Morteza został aresztowany bezpodstawnie. Dopiero babcia przemówiła mu do rozsądku.

– Zamkną cię i tak się to skończy – orzekła. – Strażnicy tej ich rewolucji to tępe typki. Ich myślenie jest proste jak minaret. Jak pójdziesz tam jako mąż, to przecież nie będą mogli go oskarżyć o to, że coś was łączy. Dla nich to proste. Jak ktoś jest mężem, nie może być homoseksualistą. Sam przecież mówisz, że jeden z nich prawdopodobnie sam woli mężczyzn, ale nie może się do tego przyznać. – Na tym jednak pomysł babci się nie kończył. – Jak już wyciągniesz swojego przyjaciela z więzienia, obaj zabierzecie stąd moją córkę i wnuczkę i wszyscy razem uciekniecie – dodała.

– Uciekniemy! – poprawiła ją moja mama, wciąż jeszcze nie wiedząc, że babcia nie zamierza opuścić kraju.

– O nie, nie, moje dziecko. Ja chcę umrzeć w Iranie. Mnie nic nie zrobią. To was, młodych, ścigają i zabijają.

– Ale... – mama próbowała jeszcze negocjować, jednak babcia ucięła łagodnie, choć stanowczo:

– O wszystkich „ale” porozmawiamy później. Teraz musimy zorganizować wasz ślub. I to szybko. Już was umówiłam.

Okazało się, że babcia nie tylko przygotowała śniadanie, zaplanowała misję uratowania Mortezy i naszą ucieczkę z Iranu, ale też załatwiła z sąsiadką wizytę w urzędzie, w którym pracowała jej córka.

Farid poszedł tam jeszcze tego samego dnia, a następnego przed południem był już mężem mojej mamy. Przez cały ten czas umierał ze strachu o Mortezę, choć rozumiał, że to jedyna szansa, by to jego ukochany mógł do niego dołączyć na wolności – a nie Farid do niego w więzieniu.

Bardzo się bał pójść na milicję. Chciał powiedzieć, że to wszystko pomyłka, choć spodziewał się nawet tego, że go zaaresztują. Uciekł przecież strażnikom. Ten fakt miał jednak zamiar pominąć.

– Czego tu chcesz? – spytał go obcesowo milicjant, gdy tylko Farid pojawił się na komisariacie.

Już to warknięcie kompletnie zbiło go z tropu. Strach, jaki czuł, kiedy uciekał, przerażenie towarzyszące mu każdego dnia w Evin – wszystko to wróciło w jednej chwili. Sparaliżowany odwrócił się i pośpiesznym krokiem wyszedł z komisariatu. Emocje dopadły go, gdy tylko znalazł się na ulicy. Rozpłakał się. Kompletnie rozkleił. Nie potrafił powiedzieć niczego, co mogłoby uratować Mortezę. Stracił nadzieję, że może dla niego cokolwiek zrobić. Czuł się kompletnie bezsilny. Cały ten fikcyjny ślub był bez sensu. Miał uratować Mortezę, a on najpierw zostawił go na pastwę oprawców, a teraz nie znalazł w sobie odwagi, by chociaż spróbować się za nim wstawić. Evin zrobiło z niego tchórza. Morteza na pewno by go ratował... Takie myśli dławily jego gardło. Nie potrafił ich odpędzić. Wiedział, że nie pozbędzie się ich, dopóki nie zrobi czegoś, by uratować ukochanego. Ale może nie dziś. Może jutro znajdzie w sobie więcej siły.

Ostatecznie Farid wrócił do mieszkania babci.

Od czasu ślubu zamieszkał z nami i mimo że nie miałam pojęcia, jaki jest tego powód, bardzo mi się to podobało. Uwielbiałam bawić się z Faridem, choć pamiętam, że w tamtym czasie był bardzo smutny. Widziałam nawet, jak płakał. Spytałam dlaczego, ale on zaprzeczył, że płacze. Otarł twarz i uśmiechnął się sztucznie, po czym wziął mnie na ręce i zrobił samolot... Wiedział, jak bardzo to lubię, choć ta zabawa przyprawiała babcię o palpacje.

– Jestem tchórzem – powiedział w rozmowie z babcią, kiedy skończyliśmy się wygłupiać.

Nie mogłam być jej świadkiem, byłam na to za mała, ale mama później opowiedziała mi o niej. Dorastając w świecie z dala od Iranu, przez wiele lat odbierałam lekcje właśnie w formie opowieści o mojej dziwnej, posklejanej z kawałków rodzinie. To wystarczyło, by się dowiedzieć, co przeżywali zwykli mieszkańcy tego opętanej ideologią i pełnego nadużyć kraju.

- Nie jesteś – zaprzeczyła natychmiast babcia.
- Zostawiłem go na pastwę losu... – mówił przez łyżę.
- Nie ty jesteś tu oprawcą, synu.
- Ale z nas dwóch tylko ja jestem tchórzem. Morteza by po mnie wrócił.
- I co? Razem siedzielibyście teraz w więzieniu?

Na tę myśl Farida przeszył zimny dreszcz.

– Ja wiem, co oznacza to więzienie... – wyszeptał. – Nie chcę, żeby tak cierpiał.

– Spróbujemy go stamtąd wyciągnąć. Ale działanie w pośpiechu nie ma sensu.

– Przecież po to wzięliśmy ślub...

– Wasz ślub miał cię zabezpieczyć przed kłopotami, synku. Wiesz, jak ważny dla mnie jesteś... – Babcia zawiesiła głos, choć nietrudno się domyślić, że jej myśli powędrowały w kierunku zamordowanego syna. – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda, ale pragnę, żebyś zabrał stąd moją wnuczkę i synową.

Długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego babcia tak postępowała. Przecież wysyłała nas w nieznaną, wiedząc, że pewnie nigdy więcej się nie zobaczymy. Różnie to postrzegałam. Kiedyś przeszło mi nawet przez myśl, że może wcale mnie nie kochała. Dziś wiem, że kochała mnie najbardziej na świecie. I właśnie dlatego to zrobiła.

Farid nie był w stanie przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Myślał o Mortezie przez cały czas. Czuł się okropnie. Tak bardzo chciał znowu znaleźć się blisko ukochanego. Uwolnić go, przytulić... Miał jednak nadzieję, że wszystko jeszcze się odwróci. Przecież on sam przeszedł przez Evin i teraz jest wolny. O ile w Iranie pod rządami fundamentalistów ktoś taki jak on w ogóle mógł mówić o wolności.

Próbował się dowiadywać, co dzieje się z Mortezą. On nie miał rodziny. Ta odwróciła się od niego, gdy tylko na jaw wyszły jego skłonności. Tylko siostra pozostawała z nim w kontakcie, ale teraz i ona nie miała pojęcia, co

się z nim dzieje. Była w Evin, by się czegoś dowiedzieć, ale jedyne, co jej powiedzieli, to że jest wśród osadzonych i czeka na proces.

Farid się wahał, czy w tej sytuacji w ogóle powinien myśleć o wyjeździe, ale wszyscy przekonywali go, że Morteza na pewno by to pochwalił. Zresztą jak przetrze mu szlak, kiedy tylko chłopak wyjdzie z więzienia, dołączy do niego.

Jego siostra miała być ich kontaktem. I przyjaciele. Chłopcy mieli kilku wspólnych znajomych. Takich jak oni. Spotykali się czasami po kryjomu w mieszkaniu jednego z nich, chłopaka o imieniu Kazem, by uciec od rzeczywistości. Tylko wtedy mogli się czuć swobodnie. Kazem był drobny i niezwykle uroczy. Wyglądał, jakby miał co najwyżej osiemnaście lat, mimo że w rzeczywistości miał dziesięć więcej. Wesoły, zawsze uśmiechnięty i znający na pamięć wszystkie teksty piosenek Madonny, które często podśpiewywał, nie zważając na to, czy ktoś go słyszy.

To jemu Farid powierzył zadanie monitorowania tego, co dzieje się z Mortezą, podczas gdy jego nie będzie już w kraju. „Jego siostra ma rodzinę, poza tym jest kobietą, sam wiesz, że niewiele jej powiedzą. Pilnuj, kiedy wyjdzie, a wtedy niech natychmiast do mnie zadzwoni. Będę ci dawał znać, gdzie jestem, zawsze będziesz miał mój numer”, instruował.

Na wypadek, gdyby coś się stało i Kazem nie mógł wypełnić tego planu, za zgodą swojej babci, a w zasadzie z jej inicjatywy, Morteza zaraz po wyjściu z więzienia miał ją odwiedzić. Ona na pewno będzie wiedziała, gdzie jesteście. Może nawet dzięki swojej sąsiadce będzie mogła mu pomóc w zdobyciu paszportu i pozwolenia na wyjazd.

Ech... znowu będą razem. Farid marzył o tej chwili. Nie mógł się jej doczekać, myśl o niej dodała mu skrzydeł. Czuł się nie w porządku, że chce uciec, zostawiając Mortezę w więzieniu, ale od kiedy w jego sercu pojawiła się nadzieja na lepszą przyszłość, był pewien, że to dobra droga.

Trzy dni później, w deszczową sobotę, Kazem odnalazł go w pracy i kazał iść ze sobą. Był roztrzęsiony. A może podekscytowany. Trudno było to wyczuć. Złani deszczem, szli szybkim krokiem, Kazem pół kroku przed Faridem wskazywał kierunek.

Kilkanaście minut później dotarli do jednego z placów północno-wschodniego Teheranu zwanego Haft Hoz. Nie było na nim wielu ludzi. Deszcz zacinał, a ci, którzy musieli przebywać na zewnątrz, przyspieszali kroku, by przed nim uciec. Farid zawsze unikał tego placu. To tu

dokonywano egzekucji. Wieszano ludzi na prowizorycznych szubienicach z dźwigu zamontowanego na ciężarówce. Ta stała w tym miejscu niemal cały czas, choć nie zawsze zwisały z niej ciała.

Ludzie wpadali tu z ciekawości, by spojrzeć na tych, których stracono. Ciekawskim czasami udawało się trafić na samą egzekucję, ale większość z tych, którzy musieli się znaleźć w tej części miasta, nawet nie zwracała uwagi na ten makabryczny element krajobrazu. W kraju, w którym zabija się ludzi za ich udowodnione lub całkiem fikcyjne winy, śmierć staje się czymś powszednim, nie robi już takiego wrażenia.

– Po co tam idziemy? – zapytał Farid, otrząsając się z lekkiej zadyszki, kiedy cel marszu stał się już jasny.

Kazem się zatrzymał, podszedł do niego i nie zwracając uwagi na konsekwencje, przytulił do siebie, obracając tak, że Farid znalazł się twarzą do ciężarówki z dźwigami.

Nie chciał zadzierać głowy, choć kątem oka widział, że szubienice nie są puste.

I nagle jego wzrok zarejestrował obraz, który złamał mu serce na zawsze.

Te buty... Nike.

Bez zasłaniających łyżwę taśm, za to ozdobione czerwono-brunatnymi plamami przyschniętej krwi. Te, które nosiły po tej ziemi jego Mortezę. Te same.

Deszcz spływał po nich, jakby chciał je obmyć z trudów ziemskiej wędrówki, przygotować do dalszej drogi.

Farid był kompletnie sparaliżowany. Nie był w stanie podnieść głowy.

– Chcesz się pożegnać? – spytał wciąż trzymający go w objęciach Kazem.

Na te słowa Farid zaniósł się dławiącym szlochem. Wysunął się z ramion Kazema i nie zważając na to, że chodniki spływają hektolitrami wody, uklęknął, by z dołu spojrzeć na wiszące pomiędzy dwoma innymi chłopcami bezwładne ciało swojego ukochanego. Morteza miał poszarpane ubranie i zasłonięte opaską oczy. I nie było w nim życia, które Farid tak kochał. Uleciało w parszywym akcie usuwania z irańskiej ziemi tych, którzy kochają inaczej.

Morteza nie stanął przed sądem. Nikt nie udowodnił mu winy, ale niewykluczone, że strażnik, którego sam rozpoznał jako geja, zrobił wszystko, by znalazł się na liście egzekucyjnej. Wszak nagle stał się jeszcze bardziej niebezpieczny dla broniących ideałów islamskiej rewolucji.



Reżim Republiki Islamskiej wciąż wykonuje publiczne egzekucje, choć w dobie internetu ogłasza oficjalnie tylko te dotyczące zgładzenia groźnych przestępców, którym winę udowodniono ponad wszelką wątpliwość. I zawsze oświadczą, że egzekucje to rzadkość. W rzeczywistości są one na porządku dziennym.

Zdecydowana większość publicznych egzekucji odbywa się przez powieszenie. Często za prowizoryczną szubienicę służą dźwigi montowane na ciężarówkach. Więźniowie są za ich pomocą unoszeni na stryczku nad ziemię, co powoduje powolną śmierć przez uduszenie. Skazani są też często przed śmiercią chłostani.

Po rewolucji islamskiej przywrócono też kamienowanie oraz karę śmierci przez ścięcie. Pozwolono również, by w przypadku, gdy kara wymierzana jest za zabójstwo, rodzina ofiary miała prawo wyznaczyć swojego członka do wykonania egzekucji lub wynająć własnego kata. Ma to być forma zadośćuczynienia.

Więźniowie polityczni ze względu na międzynarodowe oburzenie rzadko traceni są publicznie. Najczęściej stają przed plutonem egzekucyjnym w więziennych murach. Publiczne egzekucje dotyczą zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Zabijane są też dzieci. Na najwyższy wymiar kary może być skazana dziewczynka po osiągnięciu dziewiątego roku życia. W przypadku chłopców dolna granica wieku wynosi piętnaście lat.

Nikt nie zwracał uwagi na to, że pod ciałami trzech zabitych więźniów klęczy zrozpaczony chłopak. Nawet Gwardia Rewolucyjna nie pojawiła się w pobliżu. Deszcz skutecznie wszystkich przegonił, dając Faridowi przestrzeń na rozpacz. Kazem miał trudne zadanie – zabrać go stamtąd, zanim zwróci na siebie uwagę strażników moralności.

– Musimy już iść – szepnął.

– Nie! Nie! Musimy go zdjąć! – zareagował gwałtownie Farid.

– Dobrze wiesz, że nie możemy. Jego już tu nie ma – argumentował łagodnie przyjaciel.

– Nie mów tak! – Farid stawał się coraz bardziej wzburzony. – Jak możesz tak mówić? Musimy go zdjąć i zabrać!

Kazem doskonale zdawał sobie sprawę, że jakakolwiek próba zdjęcia ciała Mortezy z dźwigu mogłaby się zakończyć dla nich tragicznie. Nie mógł na to pozwolić Faridowi, zwłaszcza w momencie, w którym ten nie był w stanie racjonalnie myśleć. To już nie był czas na szept i prośby.

– Czy ty naprawdę uważasz, że Morteza chciałby, byś tutaj zawisnął?

– Wszystko mi jedno! Chcę być razem z nim!

– Ale ja nie chcę umierać. A jeśli zaraz stąd nie odejdziemy, będziemy mieli kłopoty...

I wtedy jak na zawołanie w oddali pojawili się gwardziści. Kazem chyba nigdy nie ucieszył się tak bardzo na ich widok. Dostarczyli mu poważnego argumentu.

– Idziemy stąd! – wrzasnął. – Chyba że chcesz wrócić do Evin! Zaraz będziemy mieli na karku strażników islamu.

Być może właśnie na ich widok, może na samo wspomnienie o Evin, a może po prostu, żeby nie ściągnąć nieszczęścia na przyjaciela, Farid otrząsnął się z rozpacz i pozwolił odciągnąć z miejsca, w którym po raz ostatni widział Mortezę.

Z roztrząskanym sercem, otępiąłego z żalu, Kazem odprowadził go do mieszkania mojej babci. I to on opowiedział jej, co się stało.

– Musisz stąd wyjechać – zwrócił się na pożegnanie do Farida, który przysłuchiwał się tej opowieści, jakby wcale nie była jego udziałem. – Wiesz, że musisz. Gdyby nie moja chora mama, na pewno też już by mnie tu nie było. Jedź i się ustaw, a potem do ciebie dołączę. Postaram się, żeby w międzyczasie mnie nie zabili.

Farid słyszał słowa o wyjeździe, ale jedyne, czego chciał, to umrzeć. Egzekucja Mortezy pogłębiła depresję, której nabawił się po pobycie w Evin. Przez kolejne kilka dni milczał albo mówił bardzo niewiele. Tylko przede mną starał się udawać, że wszystko jest w porządku.

Babcia wiedziała, że nie może mu na to pozwolić. Jeśli teraz się podda, nie przeżyje. Prędzej czy później, zapewne prędzej, Farid zniknie z tego świata.

– Synku, proszę, zabierz stąd moją wnuczkę – błagała, wykorzystując słabość, jaką miał do mnie, by przekonać go do działania. – Nie chcę, by tu żyła. Nie chcę, by patrzyła na egzekucje, by uznawała je za normalne, by się do nich przyzwyczaiła... Oni obrócili to miejsce w krainę śmierci. Nie ma rodziny, która by nie opłakiwała kogoś, kto stracił życie w imię rewolucji albo z jej powodu. Musicie stąd uciekać. Proszę, zrób to dla mnie i uratuj moją wnuczkę.

– Ale ja nie potrafię... Morteza umarł przeze mnie.

– Potrafisz. A Morteza został zamordowany przez zwyrodnialców. Nie przez ciebie. Wiem, że chciałby, żebyś żył...

– Umarł przeze mnie – upierał się Farid.

– Nie! I zabraniam ci tak mówić. Ale jeśli nawet tak uważasz, to odkup swoje winy i uratuj życie tej małej...

To okazało się koronnym argumentem. Farid otrząsnął się nieco i choć wciąż cierpiał niemiłosiernie, już następnego dnia przystąpił do realizacji dalszej części planu mojej babci.

Nie wiem, jak babcia to osiągnęła, ale dysponowała całkiem dobrze rozbudowaną siatką znajomości, które bardzo się przydawały w trudnych sytuacjach. Składali się na nią głównie ludzie przeciwni rewolucji. Ci, którzy nie pałali nienawiścią do szacha, a jeśli nawet nie byli jego fanami, rządy ajatollahów szybko przekonały ich, kto tak naprawdę działa na zgubę ich kraju.

To właśnie dzięki tym kontaktom babcia załatwiła Faridowi paszport. Byłam do niego wpisana ja i moja mama – jego córka i żona. Babcia wydała na to ogromne pieniądze. Nikt nawet nie wiedział, że je miała. Wynajęty przez nią mężczyzna załatwił fałszywy dokument w Turcji i przemycił go do Iranu. W tym czasie większość fałszywych dokumentów irańskich pochodziła właśnie z Turcji. Początkowo produkowano je również w Iranie, ale władze szybko zlikwidowały wszelkie prywatne manufaktury, a ich właścicieli skazano na śmierć za zdradę Republiki.

Irańczycy wcale nie mieli jednak zamiaru rezygnować z marzeń o ucieczce z kraju, dlatego w podziemiu rozwinął się biznes przemytu paszportów i pozwoleń na wyjazd. To nadal było bardzo ryzykowne, bo władze irańskie w tej kwestii do dziś stosują politykę „zero tolerancji” w stosunku do tych, którzy chcą uciec z kraju. To również traktowane jest jak zdrada, a za tę można otrzymać tylko jedną karę, zwłaszcza że legalnych pozwoleń na wyjazd i tak nie dostają głównie ci, którym nie jest po drodze z reżimem.

Paradoksalnie fałszywy paszport wcale nie miał nam posłużyć do przekroczenia granicy, bo na legalne nie mieliśmy szans, ale i tak w tej podróży był konieczny. Mama spakowała nasze rzeczy do jednej walizki i podręcznego plecaka. Farid załatwił samochód. Strasznie stary. Pamiętam, że śmierdziało w nim wilgocią i był bardzo głośny, ale i tak się cieszyłam, bo nigdy wcześniej nie jechałam prywatnym samochodem.

Nie wiedziałam, że wyjeżdżamy z kraju. Ani babcia, ani mama mi tego nie powiedziały. Oficjalna wersja obowiązująca w rozmowach ze mną mówiła o wyjeździe na wakacje. Oczywiście, że byłam tym

podekscytowana. Do czasu wyjazdu zdołałam zamęczyć babcię pytaniami o szczegóły wakacji. Wiem, że musiała się bardzo natrudzić, żeby zaspokoić moją ciekawość, a jednocześnie tonować entuzjazm. Nie mogła przecież wiedzieć, co tak naprawdę się wydarzy za granicą – ani czy w ogóle uda nam się ją przekroczyć.

W dniu poprzedzającym nasz wyjazd Farid zabrał mnie do samochodu, żeby pokazać, jakie posłanie przygotował dla mnie na jego tylnej kanapie. Wydawało mi się iście królewskie. Bagaże wciśnięte za przednie siedzenia powiększyły legowisko, które zostało wyłożone wzorzystą narzutą z sypialni babci. Trzy poduszki gwarantowały wygodę. Łoże podobało mi się tak bardzo, że chciałam w nim spać już tej nocy, ale Farid przekonał mnie, że warto ją spędzić we własnym łóżku, by się z nim pożegnać.

Gdy kilka godzin później w końcu nadeszła pora wyjazdu, mimo rozespania byłam bardzo podekscytowana, że będę mogła wreszcie skorzystać z tego królewskiego łóża. Zwłaszcza że jechaliśmy przecież na wakacje. Było bardzo ważne, bym w to wierzyła. W przeciwnym razie, gdybym wdała się w dyskusję podczas kontroli dokumentów z którymś ze strażników, mogłabym pogrzebać całą misję. Strażnicy wiedzieli, że dzieci są najlepszym źródłem informacji o tym, co planują dorośli. I rzadko potrafią zmyślnie kłamać.

Tuż przed wyjazdem dopadł mnie kryzys. Żegnając się z babcią, rozpłakałam się. Wtuliłam się w nią mocno, ale gdybym wiedziała, że rozstajemy się na zawsze, zrobiłabym to jeszcze mocniej. Czy można się przytulić do ukochanej osoby na zapas? Wycałować ją na zaś?

Wtedy nic nie wskazywało na to, że już nigdy się nie zobaczymy. Babcia dzielnie znosiła nadchodzącą rozłąkę, nie zdradziła się nawet jedną łzą. Dziś wiem, że wiele ją to kosztowało. Wiedziała więcej niż ja i dużo dotkliwiej to przeżywała. Rozmawiałam z nią jeszcze później wiele razy, ale nigdy już nie miałam okazji poczuć ciepła jej ramion, jej zapachu, zobaczyć jej cudownego uśmiechu.

Nadchodził świt. Przed sobą mieliśmy ponad osiemset kilometrów drogi do granicy. Zatrzymywali nas trzy razy. Pierwsze dwa nie były problematyczne. Za trzecim trafiliśmy na strażnika, który ewidentnie miał do czynienia z wieloma uciekinierami. To było nieco ponad sto kilometrów przed granicą. Tam spotkanie tych, którzy chcieli bardziej lub mniej

legalnie opuścić kraj, było znacznie łatwiejsze, a strażnik wyraźnie wyczuwał takich ryzykantów.

– Dokąd? – spytał obcesowo.

– Do granicy – odpowiedział Farid spokojnie.

– Po co?

– Jedziemy na wakacje.

– Dokąd?

– Do Turcji.

Mina strażnika z groźnej zmieniła się we wściekłą. Wyraźnie mieliśmy do czynienia z fanatycznym patriotą.

– To w Iranie nie można spędzić wakacji? – rzucił w nacjonalistycznym tonie.

– Można, ale zawsze spędzamy je w Iranie. Chcieliśmy pokazać córce inny kraj. Turcja jest muzułmańska... – tłumaczył Farid z pełnym opanowaniem.

– Turcją rządzą lewacy! Oni nienawidzą islamu! – rzucił mężczyzna, najwidoczniej świetnie zorientowany w polityce sąsiadów.

Farid był zaskoczony. Nie miał pojęcia, kto stoi u sterów tureckiego rządu, choć faktycznie w tym czasie kraj na krótką chwilę przejął postępowy rząd, który stworzyła lewicowa partia bez konotacji religijnych. Jego poprzednicy i następcy w swoich rządach odwoływali się do islamu. To był okres, w którym Iran nie miał najlepszych stosunków z Turcją. W tym momencie wielka polityka wkroczyła w nasze życie.

– Nie wiedziałem – powiedział Farid zgodnie z prawdą. – Możemy zawrócić, ale nie chciałbym zawieść małej. Tak się cieszyła na tę podróż.

Strażnik zajrzał do samochodu. Nie odpowiedział nic na ten komentarz. Przez chwilę jeszcze trzymał nas w napięciu, po czym w obcesowy sposób kazał nam wysiąść z samochodu.

– Ale my naprawdę... – mama próbowała zainterweniować, ale Farid ją uciszył.

– Spokojnie, kochanie. Muszą sprawdzić samochód. Ale przecież wiesz, że nie mamy niczego do ukrycia – powiedział niby szeptem, jednak na tyle głośno, by usłyszał to strażnik.

Przyglądałam się tej sytuacji, zaintrygowana najbardziej tym, dlaczego Farid przytula mamę i mówi do niej „kochanie”. Nigdy wcześniej nie widziałam między nimi takiej zażyłości. Patrząc na to z perspektywy czasu,

sporym niedopatrzaniem było, że Farid i mama nie przygotowali mnie na taką ewentualność, nie powiedzieli mi, że mamy udawać rodzinę, że Farid w tym układzie jest moim jedynym *baba-jan*. Gdyby strażnicy chcieli ze mną o tym porozmawiać, z pewnością powiedziałabym im prawdę i swoją dziecięcą szczerością sprowadziła na nas nieszczęście.

Tymczasem na horyzoncie pojawił się znacznie większy w moim odczuciu problem. Widząc auto, z którego wysiadają pasażerowie i kierowca, w jednej chwili dobiegło do nas dwóch innych strażników i dyrygowani przez kolegę zaczęli wypakowywać nasze bagaże.

– To moje łóżeczko! – zawołałam, zaniepokojona tym, że wyciągają zatknięte za siedzenia bagaże, które tworzyły moje królewskie łoże.

Mama natychmiast mnie uciszyła, ale gdy wzorzysta narzuta babci wylądowała na asfalcie, wyrwałam się i spróbowałam ją podnieść, była dla mnie jednak za duża i za ciężka. Nie obeszło się bez pomocy Farida.

– Dlaczego zabierają nam rzeczy? – spytałam. – Tam jest moja sukienka!

– Nie zabierają. Spokojnie, kochanie, nikt nie zabierze twojej sukienki. Przecież żaden z tych miłych panów by się w nią nie zmieścił – powiedziała mama z uśmiechem, próbując mnie rozbawić.

Udało się jej. Wizja tych mężczyzn w mojej koronkowej sukience naprawdę mnie rozśmieszyła. Dziś chciałabym być tak naiwna.

Tymczasem strażnicy bez skrupułów przetrząsali nasze bagaże, szukając dowodów na to, że historyjka o wakacjach w Turcji nie jest prawdziwa. Nie znaleźli niczego i w pewnym momencie po prostu odpuścili. Zostawili rozrzucone rzeczy i odeszli, wydając na odchodne rozkaz, żebyśmy odjechali i nie blokowali przejazdu.

Farid i mama w mgnieniu oka zebrali wszystko, co strażnicy zostawili na asfalcie. Wrzucili to na tył samochodu, a potem wsiedliśmy do środka i odjechaliśmy. Ja tym razem z przodu, na kolanach mamy; po moim królewskim łożu nie było ani śladu. Ale kilka kilometrów dalej Farid znowu się zatrzymał i wkrótce je odzyskałam. Mama sprawnie spakowała nasze bagaże, a Farid ułożył je dokładnie tak jak przed wyjazdem i przykrył babciną narzutą.

Przed wieczorem dojechaliśmy do miejscowości, w której mieliśmy się spotkać z kimś, kogo umówili nam wynajęci przez babcię ludzie. Ci sami, którzy załatwili Faridowi paszport. Nie byłam świadkiem tego spotkania. Pamiętam, że kiedy tylko zaczęło się ściemniać, Farid gdzieś poszedł,

a mama wcisnęła się na tył samochodu i położyła, przytulając mnie na łyżeczkę. Czułam się spokojna i bezpieczna, choć pierwszy raz w życiu miałam spędzić noc poza domem, w zdezelowanym samochodzie kilkaset kilometrów od miasta, w którym się urodziłam i mieszkałam.

Spałam już, gdy Farid wrócił do samochodu. Położył się w poprzek na przednich siedzeniach i też próbował zasnąć. Mieliśmy kilka godzin na odpoczynek do chwili, która miała zdeterminować całą naszą przyszłość. Ja nie miałam o tym pojęcia, ale Farid i mama doskonale zdawali sobie sprawę, że już niedługo staną przed bardzo ryzykownym zadaniem, które będzie albo ich nowym początkiem, albo końcem.

Gdy mama mnie obudziła, było jeszcze ciemno. Nie rozumiałam, dlaczego nie jedziemy dalej samochodem, ale mama poprosiła, żebym nie zadawała pytań i wszystkie słowa, które chcę powiedzieć, zachowała na później. Gdy byłam mała, często tak do mnie mówiła. Była to oczywiście zmyślna metoda na uciszenie rozgadanej córki, ale ja zawsze się na to łąpałam. Przez cały czas milczenia byłam skupiona na zapamiętaniu wszystkich słów, które przychodziły mi do głowy, do tego stopnia, że finalnie je zapomniałam. Pewnie dlatego dziś jestem tak rozgadana i już nikt nie jest w stanie namówić mnie do trzymania języka za zębami.

Z tego miejsca mieliśmy już iść pieszo. Porzucić samochód, zabrać bagaże i ruszyć za przewodnikiem. Byłam tak zaspana, że przez pierwszą godzinę nie bardzo zdawałam sobie sprawę, że w ogóle się przemieszczamy. Farid i mama nieśli mnie na zmianę. A potem miałam już iść sama. Nie miałam nic przeciwko temu, było to nawet ekscytujące. Pomarańczowe światło wschodzącego za nami słońca oświetlało nam drogę, co wydawało mi się iście magiczne. Szło z nami jeszcze kilka osób. Wszyscy w absolutnej ciszy.

– Dlaczego idziemy? Gdzie jest samochód...? – spytałam w końcu ponownie, uznając tę wszechobecną ciszę za zbyt przytłaczającą, ale mama natychmiast zakryła moje usta dłonią.

– Teraz nie mówimy – szepnęła mi do ucha.

Wciąż nie wiedziałam dlaczego, ale podporządkowałam się jej woli. Wyobrażałam sobie, że to część przygody i na pewno jest w tym jakaś magia, którą mama wyjaśni mi, jak tylko będzie to możliwe.

I wtedy rozległo się głośne szczekanie psów. Musiało być ich całe stado, bo ujadanie było wręcz bolesne dla uszu. Przynajmniej moich.

Towarzyszący nam ludzie zaczęli biec. Farid porwał mnie na ręce i też ruszył do galopu. Mama biegła tuż za nami. Teraz nie byłam już przekonana, że to bajka. Zaczęłam się bać, choć dopóki Farid mnie trzymał, mogłam być spokojna, że nic mi się nie stanie. Chciałam w to wierzyć.

Biegliśmy bardzo szybko. Czasami obijałam się o Farida boleśnie, ale w całym swoim niezrozumieniu sytuacji wiedziałam, że to nie czas, by się uskarżać. Musiałam to znieść. Nie wiem, jak długo to trwało. Z perspektywy lat wydaje mi się, że całą wieczność. Straciłam z oczu mamę i nie wiedziałam, czy jeszcze ją zobaczę. Popłakiwałam cichutko. Nie tak wyobrażałam sobie te całe wakacje. Chciałam wrócić do pachnącej pysznym jedzeniem kuchni mojej babci. I żeby to wszystko już się skończyło.

Psy wydawały się nas doganiać. Farid gnał co tchu. W pewnej chwili znaleźliśmy się w wąskim przesmyku tuż za plecami innego mężczyzny. Gdy tylko poczuł, że za nim biegniemy, odwrócił się, a widząc mnie wtuloną w ramiona Farida, ustąpił mu miejsca i pozwolił biec przed sobą. Przez jakiś czas patrzyłam prosto w jego uśmiechniętą twarz, bo biegł za nami, a ja byłam odwrócona tyłem do kierunku, w którym zmierzaliśmy. Widziałam jeszcze, jak się potknął. A potem zniknął. Kiedy znaleźliśmy się na skraju lasu, nie było go już z nami. Zastanawiałam się, gdzie jest, ale zdecydowanie bardziej martwiłam się o mamę. Na szczęście znalazła się po chwili – wyszła spośród drzew, zziębnięta, słaniając się na nogach, ale szeroko uśmiechnięta. Podbiegła do mnie, a ja wtuliłam się w nią mocno.

Nigdy wcześniej nie widziałam takiego lasu. Chyba w ogóle nigdy nie widziałam lasu. Nie był gęsty i wysoki, drzewa wyraźnie nie miały tu łatwego życia i spędzały je głównie na walce o wodę, ale i tak był to piękny widok. Bardzo inny od tego, jaki znałam z Teheranu.

Wiele razy byłam pytana, co zapamiętałam z tych pierwszych chwil na wolności. I to był właśnie ten las, choć nie miałam też wtedy świadomości, że uciekłam z jakiejś niewoli. W ogóle tego tak nie odbierałam. Ten nocny bieg przez las, ucieczka przed psami, nawet kraty w ośrodku dla uchodźców nie kojarzyły mi się w żaden negatywny sposób. Psy zawsze lubiałam, a kraty miało w oknach wielu ludzi w Teheranie. To dziecięce zaprzeczanie rzeczywistości uratowało mi wtedy skórę, ale jestem za nie wdzięczna swoim najbliższym. To zasługa mojej babci, rodziców i Farida, że znałam uczucie wolności, zanim zaczęłam odczuwać jej brak.





CZEŚĆ III  
**AZADI**



## Azadi – wolność

Swoimi troskami Irańczycy często dzielili się w mediach społecznościowych, pisząc o tym, jak trudne jest życie w Iranie. To właśnie z tych tweetów Shervin Hajipour złożył piosenkę *Baraye*, której tytuł z języka farsi<sup>4</sup> można przetłumaczyć jako „Za...”, albo „Z powodu...”. Stała się ona hymnem protestujących Irańczyków i powodem wściekłości irańskich władz.

*Za tańce na ulicach,  
Ze strachu podczas całowania,  
Za moją siostrę, twoją siostrę, nasze siostry,  
Za zmianę w zgniłych mózgach,  
Za wstyd biedy, za bycie bez grosza przy duszy,  
Za tęsknotę za normalnym życiem,  
Za chłopca nurkującego w śmietniku i jego marzenia,  
Za gospodarkę planową,  
Za zanieczyszczone powietrze,  
Za ulicę Valiasr i te zmęczone obumierające drzewa,  
Za Piruza i możliwe wyginięcie jego gatunku,  
Za masakrę niewinnych psów,  
Za te niekończące się łzy,  
Za marzenia o chwili, która już nigdy się nie powtórzy,  
Za uśmiechnięte twarze,  
Za studentów, za przyszłość,  
Za uwięzioną elitę intelektualną,  
Za dyskryminowane afgańskie dzieci,  
Za każde z tych wszystkich „za”.  
Za te wszystkie puste propagandowe przyśpiewki,  
Za domy w gruzach, walące się jak domki z kart,*

*Za spokój,  
Za słońce po długich nocach,  
Za wszystkie tabletki na nerwy i bezsenność,  
Za ludzi, ojczyznę i dobrobyt,  
Za dziewczęta, które chciałyby być chłopcami,  
Za kobiety, życie, wolność!  
Za wolność!  
Za wolność!  
Za wolność!*

Niektóre z intencji ujętych w tej pieśni mogą nie być oczywiste. Drzewa, które bezlitośnie wycinane obumierają przy ulicy Valiasr, niegdyś pięknej, dziś głównie zatłoczonej i dusznej arterii, łamią serca wielu wrażliwych mieszkańców stolicy. Podobnie jak regularne masakry psów w schroniskach. Niedługo przed rozpoczęciem ostatniej fali protestów władze rozkazały zabić blisko dwa tysiące bezpańskich psów. Wspomniany Piruz to imię przedstawiciela gatunku geparda azjatyckiego zamieszkującego rejon Iranu, krytycznie zagrożonego wyginięciem, co zupełnie nie obchodzi władz. Pojawia się tu nawet troska o dzieci z Afganistanu, choć Irańczycy sami mają nie mniej problemów.

To przejmująca, pełna empatii, uniwersalna pieśń, która stała się manifestem protestujących po śmierci Mahsy Jiny Amini. Piosenka została hitem już tydzień po tym, jak Hajipour wrzucił ją do sieci. Puszczano ją z głośników ustawionych w oknach irańskiej stolicy, przez zsunięte szyby samochodów, na każdym z protestów w Iranie i poza nim.

Reżim zareagował na ten wolnościowy wybryk w jedyny znany sobie sposób – aresztowaniem piosenkarza. Nakazano mu usunięcie nagrania z jego konta na Instagramie, ale było już za późno, by zatrzymać jego dystrybucję.

Dwudziestopięcioletni muzyk trafił do więzienia, lecz ponieważ jego nazwisko stało się rozpoznawalne na całym świecie, władze miały związane ręce. Nie mogły potraktować go w sposób, na jaki ich zdaniem zasłużył. Hajipour został oskarżony o „propagandę przeciwko reżimowi” i „podżeganie do przemocy”, ale po kilku dniach zwolniono go za kaucją. Nie jest wolny, choć chwilowo poza murami więzienia. Nawet gdy

piosenka otrzymała prestiżową nagrodę Grammy, nie miał szans, by ją odebrać, choć niewykluczone, że uratuje mu ona życie. Reżim unika publicznych egzekucji na ludziach znanych zagranicznym mediom. Hajipour już nie śpiewa. Z jego mediów społecznościowych zniknęły antyreżimowe hasła. Nie ma wątpliwości, że władze Iranu próbują go uciszyć, ale ludzie, którzy śpiewają jego pieśń, nie zamilkną.

*Za wolność!*

*Za wolność!*

*Za wolność!*

<sup>4</sup> Oficjalna nazwa języka perskiego.

## ROZDZIAŁ 11

# Uchodźcy

W Turcji trafiliśmy do obozu dla uchodźców. Pamiętam namiot, w którym było bardzo tłoczno. Mieszkało w nim mnóstwo ludzi. Było dużo dzieci, którym rodzice nie pozwalali się oddalać. Mnie też mama zakazała się z nimi kontaktować. Nie rozumiałam dlaczego, ale był to taki dziwny czas, że nie zadawałam wielu pytań. Mama i Farid wyraźnie czekali na rozwój wydarzeń, a mnie musiała wystarczyć informacja, że wkrótce stąd wyjedziemy. Powoli zaczynało do mnie docierać, że nie jesteśmy na wakacjach i że te nigdy nie były naszym prawdziwym celem.

Mieliśmy bardzo dużo szczęścia. Niektóre rodziny z obozu spędziły w nim długie lata. Byli nawet tacy, którzy zadomowili się tu do tego stopnia, że nie zamierzali nigdzie wyjeżdżać. Mimo koszmarnych warunków sanitarnych i trudnego obozowego życia zdawali się nie oczekiwać niczego więcej. Wśród uchodźców byli też tacy, którzy dotarli tu w trakcie wojny z Irakiem. Nie znali już innego życia. Były tam też dzieci, które w obozie się urodziły i dla nich był on jedyną znaną rzeczywistością.

Mama i Farid wiedzieli jednak, że nie mogą tak wsiąknąć. Nie takiej przyszłości pragnęli dla siebie, ale przede wszystkim dla mnie. Musieli za wszelką cenę się stamtąd wydostać. Niewykluczone, że właśnie fakt, iż byliśmy w obozie stosunkowo nowi, jeszcze niezdesperowani, nie tak „brudni”, pozwolił nam się załapać na transport do Europy.

Ten lewicowy rząd turecki, na który pluł strażnik przeszukujący nasz samochód w drodze do granicy, w ciągu trzech lat u władzy starał się rozwiązać koszmarny kryzys migracyjny, który ignorowały poprzednie władze. Nawiazywał w tym celu współpracę z wieloma krajami Europy Zachodniej i Stanami Zjednoczonymi, dzięki czemu na życie na Zachodzie



miało szansę wielu uchodźców, którzy w pierwszym etapie podróży uciekli do Turcji.

I tak trafiliśmy do Szwecji.

Kiedy o tym opowiadam, każdy zazwyczaj reaguje w ten sam sposób – okrzykiem zazdrości. Białe małe domki, ludzie witający uchodźców z otwartymi ramionami i uśmiechami, talon do Ikei na pierwsze zakupy i prywatne volvo dla każdego. Nic bardziej mylnego. Szwecja wcale nie przywitała nas w przyjazny sposób. Oczywiście niewdzięcznością byłoby narzekać, ale trudno też stwierdzić, że było to miłe doświadczenie.

Trafiliśmy do obskurnego ośrodka z niską zabudową. Dostaliśmy zgrzebnie urządzone pokój, w którym był kącik kuchenny i toaleta z umywalką. Pysznice znajdowały się na korytarzu, tuż przy naszym pokoju, co było dużym ułatwieniem, ale nie zmieniało faktu, że musieliśmy je dzielić z innymi ludźmi. Oczywiście były to warunki znacznie lepsze od tych z tureckiego obozu, ale też bardzo dalekie od marzeń, jakie mieli mama i Farid. Choć i tak zdawali się zadowoleni, że skończył się etap namiotowego życia i niepewności, czy przypadkiem nie będzie on ostatnim w naszej podróży. O tym, co naprawdę wtedy czuli, dowiedziałam się dopiero po dłuższym czasie.

Sama kompletnie wtedy nie zauważałam, że to nie są warunki, w jakich można żyć na dłuższą metę. Odżyła we mnie wiara w to, że jestem na wakacjach, i byłam nieustannie uszczęśliwiona. Nadal głównie zachwycały mnie lasy. Teraz też mieszkaliśmy obok lasu. Był zupełnie inny niż ten w Turcji. Gęsty, dostojny, z drzewami, jakich nie widziałam nigdy wcześniej.

Wiem, mówię dużo o drzewach. I trudno mi wyjaśnić, dlaczego mają dla mnie aż taką wartość. Poza tym, że są piękne, ważne i są absolutnym dobrem, mają dla mnie jakieś nostalgiczne znaczenie. Stoją niewzruszone i dumne, dopóki ktoś nie użyje wobec nich przemocy. Tak też widzę wszystkich tych dzielnych Irańczyków, którzy nie chcieli się ugiąć przed terrorem, dopóki nie odcięto ich od korzeni. Jedni je stracili, uciekając, inni – umierając. Każde powalone irańskie „drzewo” oznaczało mniej powietrza, wolności, nadziei... A jednak kolejne nadal wyrastały. Coraz rzadsze, coraz bardziej samotne, ale tak samo nieustraszone.

Któregoś dnia poprosiłam Farida, by poszedł ze mną na spacer do lasu. Długo nie chciał się zgodzić, ale w końcu uległ. Już na miejscu nie

wiedziałam, dlaczego nie chce spoglądać w górę. Szedł ze spuszczoną głową, mówił, że trzeba patrzeć pod nogi, ale ja nie chciałam tracić okazji do napawania się widokami majestatycznych koron. Byłam malutka i drzewa wydawały mi się absolutnie ogromne. Farid jednak uparcie nie odrywał wzroku od ziemi. Dopiero gdy dorosłam i poznałam jego traumę z placu Haft Hoz, zrozumiałam.

Szwecję pamiętam trochę jak przez mgłę. Kojarzę, jak przychodzili do nas różni ludzie. I choć nie rozumiałam nic z tego, co mówili, gdy później wsłuchiwałam się w rozmowy mamy i Farida, wiedziałam już trochę więcej. Na przykład to, że mam iść do szkoły. Od kiedy wyjechaliśmy z Iranu, marzyłam o tym, by wrócić do szkoły. Miałam okazję chodzić do tej irańskiej tylko przez kilka miesięcy, ale zdążyłam to pokochać.

Oczywiście chodziłam do typowej rewolucyjnej szkoły islamskiej, która indoktrynowała religijnie od pierwszej godziny lekcyjnej, ale ja kompletnie tego nie zauważałam. Dla mnie ważne było, że spotkam się z innymi dziewczynkami i będę się uczyć o świecie. Nie miałam pojęcia, jak bardzo jest to w irańskiej szkole niemożliwe. Od kiedy wyjechaliśmy, chciałam wrócić do szkoły i bardzo się cieszyłam na pierwszy dzień. Ale kiedy ten nadszedł, wcale nie okazał się wart wyczekiwania.

Nie rozumiałam ani słowa z tego, co do mnie mówiono. Posadzono mnie z dziewczynką z Syrii, zapewne uznając, że będziemy w stanie się ze sobą porozumieć. Żadna z nas jednak nie mówiła słowa w języku drugiej. Obie nie mówiłyśmy też ani po angielsku, ani po szwedzku. A ja bardzo chciałam mówić, bardzo chciałam rozmawiać. Opowiedzieć, skąd jestem i jak bardzo się cieszę, że mogę się uczyć w szwedzkiej szkole.

Po około dwóch tygodniach moja mama została wezwana przez dyrekcję i za pośrednictwem tłumacza poinformowana, że nie ma większych szans na to, bym zrobiła jakiekolwiek postępy, że moja asymilacja nie przebiega zgodnie z przyjętą regułą i prawdopodobnie nie będę mogła kontynuować edukacji w tej szkole. Niewielka to była dla mnie strata, bo w tym czasie szkołę traktowałam głównie jako miejsce spotkań z rówieśnikami, a ponieważ w tym czasie z nikim się nie zżyłam, byłam gotowa na zmianę placówki, jeśli tego właśnie ode mnie wymagano.

Bardzo podobało mi się to, że w szwedzkiej szkole jest kolorowo, wszyscy się uśmiechają, a chłopcy mogą bawić się z dziewczynkami. Cóż jednak z tego, skoro obserwowałam to jakby zza szklanej szyby. Nie byłam

brana pod uwagę w zabawach. Brak podstaw języka nie pozwalał mi wkupić się w łaski innych dzieci, a one wcale nie wykazywały zainteresowania tym, by mnie poznać.

Kilka dni później trafiłam w miejsce, które tylko z pozoru wyglądało jak szkoła. Zdecydowanie bardziej przypominało przechowalnię dzieci. Byli tam uczniowie z różnych krajów, same dzieci uchodźców. Szybko odnalazłam te z Iranu. I choć w mig znaleźliśmy wspólny język, trudno było tu o przyjaźnię. Po raz pierwszy miałam do czynienia z dziećmi, które przeżyły prawdziwe traumy. Niektóre szczelnie zamknięte w sobie, inne wręcz agresywne. To było bardzo dziwne miejsce i tam też wcale nie czułam się komfortowo.

Najlepszy kontakt złapałam z Asal. Jej imię oznacza w farsi „miód”, a ja bardzo lubiłam miód. Asal pochodziła z Shiraz. Podobnie jak ja nie miała taty, ale nie miała też mamy. Uciekła z Iranu razem ze swoim wujkiem, jedyną bliską jej osobą, która pozostała przy życiu. Wujek podjął heroiczną decyzję o ucieczce z kraju, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli on zginie albo znajdzie się w więzieniu, Asal nie będzie miała już nikogo.

Miło było wreszcie móc porozmawiać z kimś w swoim wieku i we własnym języku. Asal była zdecydowanie bardziej niż ja świadoma tego, w jakiej sytuacji się znajduje i co się wokół niej dzieje. Nie miała mamy, babci ani przyszywanego ojca, którzy trzymaliby nad nią parasol ochronny, dbali, by żadna negatywna wiadomość nie przedostała się do jej uszu, kłamali, by wypolerowanej rzeczywistości nie skaziła rysa.

To ona opowiedziała mi prawdę o tym świecie.

– Moją mamę i tatę zabili w więzieniu – wyznała na samym początku naszej znajomości. W trzecim, może czwartym zdaniu. – A ty masz mamę i tatę?

– Mam. Tata wyjechał, ale wróci. Przyjechaliśmy tu na wakacje. W Iranie została moja babcia. Czeka na tatę... – mówiłam nieskładnie, próbując nakreślić swoją sytuację.

– Nie przyjechaliście tu na żadne wakacje – powiedziała Asal, jakby wiedziała lepiej ode mnie. – Przecież my już nigdy nie wrócimy do Iranu, bo nas zabiją.

Te słowa całkowicie mnie zszokowały i oczywiście nie chciałam dać im wiary. Byłam karmiona bajkami przez tak długi czas, że trudno mi było tak nagle dotknąć rzeczywistości. Uderzyć o nią jak kamień o bruk.

– Nie mogą nas zabić, bo przecież jesteśmy grzeczni – próbowałam argumentować, zupełnie jakby bycie grzecznym było dla władz Iranu jakimkolwiek usprawiedliwieniem.

Kiedy tylko dowiedziałam się od Asal, że nasze wakacje tak naprawdę są emigracją bez szans na powrót, natychmiast skonfrontowałam to z mamą. Ta zaś ewidentnie nie miała już siły dłużej mnie okłamywać. Potwierdziła wszystko. Potrzebowałam jednak usłyszeć to jeszcze od babci. O nią martwiłam się najbardziej. Co to znaczy „bez szans na powrót”? A co z babcią? Co z moim *baba-jan*? Przecież oni muszą tu natychmiast przyjechać.

Tego wieczoru zadzwoniłyśmy do babci. Nie było to proste, ale w tej sytuacji konieczne.

– Moja słodzinka... – powiedziała babcia łagodnie, słysząc mój głos.

Zrobiło mi się cudownie, jakby była obok, ale w tamtej chwili nie było czasu na sentymenty. Miałam do ustalenia kluczowe kwestie i natychmiast zabrałam się do ich wyjaśniania.

– Babciu, czy to prawda, że wyjechaliśmy na zawsze i że już nie wrócimy? – spytałam poważnym tonem.

– Kto ci takich rzeczy naopowiadał, dziecko...?

Przysłuchująca się naszej rozmowie mama odezwała się wtedy zza mojego ramienia.

– Ona już wie.

Mimo że bardzo nie podobały mi się informacje, jakie przekazywała mi Asal, polubiłam ją i szybko stałyśmy się nierozłączne. Dla mojej mamy to było niezwykle ważne. Nowa rzeczywistość przytłoczyła ją na tyle, że mająca swój początek w więzieniu depresja, pogłębiona stratą mojego taty, przybrała na sile. Farid zresztą też potwornie cierpiał. Podczas gdy ja funkcjonowałam całkiem nieźle, oni popadli w marazm. Uczestniczyli w obowiązkowych zajęciach aktywizujących imigrantów i przygotowujących ich do życia w społeczeństwie, ale było to dla nich bardziej upokarzające niż skuteczne.

W końcu mama zaczęła zapominać o gotowaniu obiadów, co nie umknęło uwagi szwedzkich opiekunek społecznych. Zagroziły nawet, że mamie odbiorą prawa do opieki nade mną, jeśli sytuacja się nie zmieni. Myślę, że

to był główny powód, dla którego mama zawsze mówiła o Szwecji z prawdziwą odrazą. Uciekła z kraju, w którym była nikim, by przeżywać podobne traumy w państwie mianującym się wolnym i otwartym. Nawet w Iranie nikt nigdy nie zasugerował, że jest złą matką. Zwłaszcza że była przecież najlepszą matką na świecie. Nikt od czasu Evin nie upokorzył jej bardziej.

Szczęśliwie Szwecja nie była naszą ostateczną destynacją. Kilka miesięcy później los uśmiechnął się do nas po raz kolejny.

Sporo osób z naszego ośrodka znalazło się w grupie ludzi, którzy mieli szansę na program migracji uchodźców do Stanów Zjednoczonych. To była jedna z tych międzynarodowych umów, które bogate kraje zawierają po to, by uspokoić swoje sumienia i podzielić się problemami związanymi z niechcianymi migrantami.

Ja oczywiście jestem bardzo wdzięczna za to, że moja rodzina dostała pomoc, ale wiem też, jak wiele w tym całym procesie jest bezduszości, biurokracji i sztywnych reguł. Dopóki nie znaleźliśmy się w naszym przyszłym domu w Stanach, byliśmy tylko numerem sprawy, teczką akt, opiniami, obserwacjami, wnioskami i trzema zdjęciami do łatwej identyfikacji.

Wspaniałe ideały często przysłania codzienna rutyna ludzi, którzy mają za zadanie wprowadzić je w życie. Rozumiem, że dla nich byliśmy tylko brudnymi irańskimi imigrantami. Obcymi kulturowo, pochodzącymi z kraju, który swoich obywateli masowo morduje, a resztę świata chce wysadzić w powietrze bombą atomową. Ale my nie byliśmy tymi złymi. My od zła uciekaliśmy.

Mama nie miała wątpliwości, że chce lecieć do Stanów. Po pierwsze, nie chciała kontynuować swojej bezcelowej egzystencji w Szwecji, a po drugie, skoro ajatollahowie nazywali Stany „Wielkim Szatanem”, to nie mogło być tam aż tak źle. Oni przecież zawsze kłamali.

Nie bez znaczenia był też język. Rodzice uczyli się angielskiego z zakazanych amerykańskich piosenek. Farid zresztą też. Wszyscy w ich pokoleniu tylko tak mogli poznawać język, którym posługiwał się „Wielki Szatan”. Choć mama nie mówiła w nim płynnie, do dziś zresztą zaciąga ciężkim akcentem, porozumiewała się bardzo komunikatywnie.

Farid nie oponował. Nieleczona depresja dawała mu się wprawdzie we znaki, ale objawiała się głównie zubożeniem i tylko chwilami

wybuchami euforii. Najbardziej cieszyłam się z tego, że Asal i jej wujek Farzad lecą razem z nami. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że od tamtej chwili Asal będzie obecna w moim życiu już zawsze. Przyjaźnimy się do dziś.

Choć miałam niewiele lat, przyzwyczaiałam się do tego, że ludzie nie zostają w naszym życiu na długo. To bardzo smutne i w zasadzie zdałam sobie z tego sprawę dopiero jako dorosła osoba, ale tak właśnie było. Już jako mała dziewczynka nie zakładałam, że cokolwiek w moim życiu będzie trwało. Dzieci dorastające w bezpiecznych warunkach myślą, że wszystko jest na zawsze. Te, które od najmłodszych lat los przyzwyczajają do straty, nigdy nie doświadczają tego uczucia.

Nie miałam żadnych wyobrażeń co do kraju, do którego lecieliśmy. Skąd mogłabym je mieć? Trafiliśmy do małego miasteczka Jerome stosunkowo niedaleko Phoenix w Arizonie. Nie było tam lasów i nie było zimno. To była ogromna zmiana – jakbyśmy wylądowali na zupełnie innej planecie. Tym razem nie trafiliśmy do ośrodka z innymi ludźmi. Zamieszkaliśmy sami w małym domku i z czasem zaczęliśmy przypominać normalną rodzinę. Razem z nami do Jerome trafiły jeszcze dwie inne rodziny uchodźców – Asal ze swoim wujkiem i afgańska rodzina z trójką dzieci.

Lekko zdezelowany żółty autobus, dokładnie taki, jakie znamy z filmów, codziennie zabierał całą naszą piątkę do szkoły. Trzymaliśmy się w podgrupach głównie ze względu na to, że nie rozumieliśmy wzajemnie swoich języków, ale wszyscy byliśmy bardzo zadowoleni ze zmian, na jakie los dał nam szansę.

Szkoła, do której trafiliśmy, nie przypominała niczego, czego do tej pory doświadczyłam. Byłam zachwycona i bardzo szybko zaczęłam wsiąkać w uczniowską społeczność. Zwłaszcza że nawet nie zauważałam, jak szybko uczę się języka. Było zupełnie inaczej niż w Szwecji. Kilka miesięcy po przyjeździe do Stanów porozumiewałam się już po angielsku całkiem sprawnie i zaczęłam nawet przyjmować rolę tłumacza dla mamy i Farida, którzy radzili sobie w tej kwestii nieco gorzej.

Wszystko zaczęło się układać. Byłam na tyle młoda, że miałam szansę poczuć się w Stanach jak u siebie, choć w ciągu kolejnych kilku lat przekonałam się o tym, że życie w Ameryce ma sporo cieni. Ale czy jest miejsce, które ich nie ma? Kiedy zaczynałam się czuć dobrze i u siebie,

kiedy wszystko wreszcie zaczynało mieć swoje miejsce, dotarła do nas wstrząsająca wiadomość o śmierci mojej babci. Bez wątpienia była ona dla mnie tragedią większą niż sama ucieczka z Iranu. Nigdy nie zapomnę naszej ostatniej rozmowy.

– Pamiętaj, że cię kocham – powiedziała.

– Zawsze to pamiętam, babciu. Ja też cię kocham... I ciągle tu na ciebie czekam. Kiedy w końcu do nas przyjedziesz?

– Niedługo będę przy tobie, nie martw się, kochanie.

– Czyli przyjedziesz?

Babcia zamilkła na chwilę.

– Zawsze będę przy tobie. I zawsze będę się tobą opiekować.

– Przyjedź, babciu, upieczemy razem *maluki*.

– Jesteś już duża, na pewno sama potrafisz je upiec...

Kiedy się dowiedziałam, że babcia nie żyje, ta rozmowa nabrała dla mnie zupełnie innego znaczenia. Jakby babcia wiedziała, że odchodzi, że nie przyleci do mnie ciałem, ale duchem będzie zawsze ze mną.

Nie zareagowałam płaczem. Nie od razu. Poszłam do kuchni i ukręciłam ciasto na *maluki*. Nie smakowały jak te spod jej ciepłych rąk, ale były hołdem dla tej niezwykłej kobiety. Łzy spłynęły z moich oczu dopiero wraz z pierwszymi kęsami wypieków. Choć nauczyłam się już żyć bez codziennej obecności babci, nagle w moim życiu pojawiła się luka, której już nigdy nikt nie był w stanie wypełnić. I choć tak wiele się zmieniło, do dziś bardzo mi jej brakuje.

Z każdym miesiącem Iran stawał się coraz odleglejszym wspomnieniem. Dawni znajomi zostali już tylko cieniami. Wracali we wspomnieniach lub przy okazji napływających informacji, które z reguły dotyczyły czyjejś śmierci albo aresztowania. Zdecydowanie rzadziej czegoś pozytywnego, ślubów czy narodzin.

Miałam dziesięć lat, gdy z mojego życia zniknął inny ważny dla mnie człowiek. Farid nigdy nie pokonał swojej depresji. Nigdy jej nie leczył. Zdiagnozowano ją dopiero w Stanach, ale on nie był gotowy poddać się rygorowi walki z nią. Irańskie podejście do depresji, którą uważa się za słabość duszy i leczy modlitwą, wciąż było w nim silnie zakorzenione. Tyle że on się nie modlił. Miał własną, tragiczną w skutkach metodę. Ból spłukiwał ze swojej duszy litrami alkoholu, aż któregoś dnia pod jego wpływem poszedł na spacer i nigdy nie wrócił. Rzucił się ze skały. Milicja

rozważała udział osób trzecich, nieszczęśliwy wypadek, ale my z mamą nie miałyśmy wątpliwości, że było to samobójstwo. Tak ostatecznie uznano też w policyjnym raporcie.

Farid uratował nam życie, ale nigdy nie przyjął tego faktu jako odkupienia. Miał wyrzuty sumienia wobec mojego taty i był przekonany, że jest winny śmierci Mortezy, którego nie przestał kochać do końca swoich dni. Pamiętam, że pierwszą rzeczą, którą kupił sobie po przeprowadzce do Stanów, były buty Nike. Podobne do tych, którymi szyku zadawał jego ukochany. I szedł w nich przez resztę życia z głęboko skrywaną nadzieją, że wkrótce znowu się spotkają.

Zostałyśmy z mamą same. Ona mimo wciąż bardzo młodego wieku – miała przecież tylko nieco ponad trzydzieści lat – regularnie uskarżała się na bóle ręki połamanej w czasie pobytu w Evin. Ja zaś coraz częściej mierzyłam się z rasizmem. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam go w tak bezpośredniej formie jak wtedy, gdy rozpoczęłam naukę w szóstej klasie.

Dziewczęta w tym wieku wkraczają w etap budzącej się świadomości. Zaczyna się konkurowanie, testowanie granic, pierwsze dorosłe opinie, pierwsze miłości, przyjaźnie na całe życie i śmiertelni wrogowie. Wszystko wtedy zdaje się większe, radykalne i ostateczne.

Ten rok szkolny zaczął się od traumy, którą noszę w sobie do dziś. Wprawdzie udało mi się z niej otrząsnąć, a nawet przekuć ją w siłę, ale czasami wciąż wraca i nawet po tylu latach potrafi sparaliżować mnie strachem i obudzić we mnie kompleksy „małej, brudnej Iranki”.

Kilka dziewcząt ze szkoły postanowiło dać mi do zrozumienia, że nie jestem i nigdy nie będę jedną z nich. Dokładnie pamiętam ich imiona, ale nie chcę wymieniać żadnego z nich. Nie zasługują na to, by je wspominać. Złapały mnie na przerwie między lekcjami w dniu, w którym Asa akurat nie było w szkole. Nie wiem, czy specjalnie go wybrały, czy był to czysty przypadek, ale atak na mnie był jednocześnie atakiem na nią, nawet jeśli fizycznie go nie doświadczyła. Chociaż i tak odebrała swoją porcję rasistowskich upokorzeń.

Mogłoby się zdawać, że tak naprawdę nie stało się nic poważnego, a jednak tak niewiele może zniszczyć w człowieku tak dużo.

– Słyszałyśmy, że przyjechałaś tu z Ajranu! To prawda? – rzuciła jedna z nich.



– Iranu – poprawiłam i niczego nie podejrzewając, potwierdziłam: – Tak, to prawda.

– Czyli jesteś Ajranką?

– Iranką. Tak.

– To dlatego masz wąsy pod nosem?

Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, ale okres dojrzewania zrobił swoje i faktycznie nad moją górną wargą pojawił się ciemny meszek.

– Tam u was kobiety mają wąsy? – zaśmiała się jedna z nich.

Wtedy wiedziałam już, że nie jest to rozmowa powodowana ciekawością świata, tylko zwyczajny rasistowski atak.

– Żadna Iranka nie ma wąsów – odparłam stanowczo.

– Ty masz! To dlatego nosicie te szmaty na głowie? Żeby nie było widać waszych wąsów?

– Nie nosimy szmat!

– No właśnie, ty nie nosisz. A powinnaś. Przynajmniej wąsa nie będzie widać...

To mówiąc, dziewczyna podeszła do mnie i zarzuciła mi na głowę szarą śmierdzącą stęchlizną szmatę. Jej dwie koleżanki przytrzymały mnie za rękę, bym nie mogła jej zdjąć. Próbowałam strząsnąć ją z głowy, ale była mokra i przykleiła mi się do twarzy.

Dziewczyny wyzywały mnie, śmiały się, popychały i kopały. W końcu odpuściły i odeszły. Zdjęłam z głowy mokrą szmatę. Potworna rozpacz mieszała się we mnie z wściekłością. Nie potrafiłam sobie poradzić z tymi emocjami. Nikt mnie tego nie nauczył.

Rozpłakałam się i totalnie rozklejona wróciłam do domu pieszo. Szłam przez sześć kilometrów, nie zdając sobie sprawy, jak wiele niebezpieczeństw na mnie czyha. Nie wspominając o możliwym porwaniu albo wypadku samochodowym, mogłam przede wszystkim doznać udaru. Mieszkaliśmy wtedy praktycznie na pustyni. Nic jednak nie było mnie wtedy w stanie przestraszyć. Najgorsze już się zdarzyło.

Kiedy opowiedziałam o wszystkim mamie, ta wściekła się tak jak nigdy dotąd. Nie było w niej cienia rozpacz, tylko chęć zrobienia komuś krzywdy. Najbardziej chyba wzburzyła ją mokra szmata na mojej twarzy.

– To przecież metody tych zbirów Khomeiniego! – wrzeszczała. – Chcesz mi powiedzieć, że tutaj stosują je nawet małe dziewczynki?

Gdyby w tym czasie była w pobliżu któraś z moich oprawczyń, mama byłaby gotowa ją zabić. W jej głosie słyhać było jednak nie tylko złość, ale i rozczarowanie. Przecież tutaj miało być inaczej...

Tego wieczoru mama zdradziła mi swój mały sekret. Delikatnym, lekko śmierdzącym, ale bardzo skutecznym kremem usunęła meszek znad moich ust. A następnego dnia poszliśmy do szkoły razem. To musiało być dla niej bardzo dziwne doświadczenie. Dwadzieścia pięć lat wcześniej jako niewiele starsza ode mnie dziewczynka znalazła się w gabinecie dyrektora szkoły w kraju oddalonym o tysiące kilometrów stąd. Zmieniło się sporo – kraj, jej rola, ale wciąż wiele było podobieństw. Znowu była tu przez okrucieństwo dzieci, ich uprzedzenia i szkodliwe stereotypy.

Dyrektorka była bardzo miłą kobietą mniej więcej w wieku mojej mamy.

– Zapewniam panią, że w naszej szkole nie ma miejsca na rasizm – powiedziała, gdy tylko usłyszała o tym, co mnie spotkało.

– Ale właśnie z tego powodu zaatakowano moją córkę.

– Przyjrzymy się temu. To na pewno zwykłe nieporozumienie.

– Wątpię, by zarzucanie dziecku mokrej szmaty na głowę było wynikiem nieporozumienia – powiedziała moja mama, której angielski w tym czasie był już na tyle dobry, by mogła dać upust swojej krewkiej naturze.

– Jest pani pewna, że to była szmata? – Dyrektorka nadal próbowała zmienić atak w zwykłą, nieszkodliwą kłótnię.

– A czym mogła być mokra tkanina, która wylądowała na twarzy mojego dziecka? Proszę mi wierzyć, dobrze wiem, jakie to koszmarne uczucie. Znam je z irańskiego więzienia.

– Siedziała pani w więzieniu? – spytała zaskoczona kobieta.

– To był koszmar... – powiedziała cicho mama, łudząc się, że podejście dyrektorki zmieni się po tej informacji.

Ta przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć, aż w końcu orzekła:

– Jestem zmuszona zgłosić ten incydent.

– Mam nadzieję – podchwyciła mama. – To był podły atak.

– Nie, nie... Jestem zmuszona to zgłosić, bo mam pewność, że pani kryminalna przeszłość została przemilczana, gdy ubiegała się pani o dołączenie do naszej pokojowej społeczności.

Mama nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Byłam więźniem politycznym. To dlatego musieliśmy uciekać z Iranu – próbowała tłumaczyć.

– Nie mnie to rozstrzygać. Ale matka kryminalistka nie jest odpowiednim wzorem dla dziecka. Nie dziwi mnie, że córka już w tak młodym wieku prowokuje niebezpieczne sytuacje.

– Była ofiarą rasistowskiego ataku!

– A może to był po prostu strach przed zagładą nuklearną, jaką grozi nam Ajran? Nie pomyślała pani o tym, co mogą czuć małe dziewczynki, które żyją sobie spokojnie, gdy nagle okazuje się, że obok nich wyrasta zagrożenie?

– Chce pani powiedzieć, że moja córka groziła im bronią nuklearną?

– Nie wiem tego na pewno. Tak jak już mówiłam, jestem pewna, że to tylko nieporozumienie – powiedziała z uśmiechem dyrektora.

Zachód nałożył na Iran potężne sankcje, które odbijały się głównie na społeczeństwie. Kulminacja tego procederu nastąpiła, gdy prezydentem został kontrowersyjny Mahmoud Ahmadinejad. Choć w systemie politycznym opartym na zmanipulowanej przez Khomeiniego konstytucji to duchowy przywódca pociąga za wszystkie sznurki, a prezydent bardzo często jest zwyczajną marionetką, Ahmadinejad stał się najbardziej znanym prezydentem Iranu na świecie. I choć wydawać się to mogło niemożliwe – najbardziej skłóconym z Zachodem.

Głównym problemem eksponowanym za jego czasów był program nuklearny. Iran jeszcze za panowania szacha próbował zdobyć technologię, która miała zrobić z niego partnera pozostałych mocarstw atomowych. Za czasów Republiki Islamskiej tych planów nie porzucono. Zmieniła się tylko motywacja. Szach chciał zrobić z Iranu mocarstwo nuklearne, ajatollah chciał bronią nuklearną straszyć świat.

Stany Zjednoczone i wiele innych krajów zachodnich traktują te groźby bardzo poważnie, bo nic nie jest takim zagrożeniem jak broń nuklearna w rękach kraju, który jest pariasem. Historia negocjacji z Iranem w sprawie programu nuklearnego trwa od kilku dekad i oscyluje pomiędzy wstrzymywaniem programu wzbogacania uranu a jego intensyfikacją. Po latach uspokojenia prezydentura Donalda Trumpa mocno zaostrzyła konflikt z Iranem w tej kwestii. Obecnie największym zagrożeniem jest polityczne zbliżenie pomiędzy objętym sankcjami Iranem a wykluczaną ze społeczności międzynarodowej po ataku na Ukrainę Rosją. Rosja nie potrzebuje jednak irańskiej broni nuklearnej, której ten kraj zresztą wciąż

jeszcze nie ma, ale chętnie korzysta z jego uzbrojenia, zwłaszcza ze śmiertelnych dronów.

Zapowiedziane przez dyrektorkę dochodzenie w sprawie rzekomej kryminalnej przeszłości mojej mamy nie zaszkodziło nam w żaden sposób. Amerykańskie władze zajmujące się przyjmowaniem imigrantów z takich krajów jak Iran czy Afganistan doskonale wiedzą, że więzienna przeszłość wcale nie musi oznaczać kryminalnej. Ale od tego czasu mama marzyła o przeprowadzce do innego miejsca. Przez kilka kolejnych lat byliśmy jednak skazane na Jerome. Wyprowadziłyśmy się stamtąd dopiero, gdy w naszym życiu pojawił się Jeff, a moja mama po wielu latach wreszcie znalazła swoją szansę na szczęście. Bardzo jej kibicowałam, bo zasłużyła na to, by wreszcie szczerze się uśmiechać. Do tej pory w swoim życiu walczyła tylko o mnie. Mamy takie już są...



## ROZDZIAŁ 12

# Sigheh

Mama Asal była jedną z tysięcy dziewczynek, które w Iranie znane są jako *runaway girls* – uciekinierki. Tata był świetnie zapowiadającym się studentem. Pochodzili z dwóch kompletnie różnych światów. Połączyła ich miłość, trudny los i nadzieja, że może im uda się dogonić szczęście. Sima i Nader gonili je z całych sił, ale zawsze gdy byli już blisko, ono ulatywało, znikało jak pustynna fatamorgana.

Sima uciekła z domu w małej wiosce na obrzeżach prowincji Fars, gdy miała niespełna piętnaście lat. Trudno zliczyć niebezpieczeństwa, jakie czyhają w kraju takim jak Iran na tak młode dziewczęta, ale mimo to wiele z nich decyduje się na ten ryzykowny krok. Z reguły uciekają z bardzo podobnych powodów.

Życie w rodzinnym domu wcale nie było bezpieczniejsze, a zostanie w nim równie ryzykowne co ucieczka. Sima była regularnie wykorzystywana seksualnie przez ojca i dwóch starszych braci, bita, poniżana i głodzona. Nawet śmierć na ulicy wydawała jej się lepszą perspektywą niż pozostanie w domu ze swoimi oprawcami.

Gdy miała dziesięć lat, straciła mamę. To było niespełna miesiąc po tym, jak na świecie pojawiła się jej siostrzyczka. Ojciec był bardzo niezadowolony z tego, że doszła mu do wyżywienia kolejna osoba w rodzinie i że nie jest to chłopak, który za kilka lat będzie mógł zacząć pracować. Dlatego gdy tylko pojawiła się okazja, by zarobić całkiem sporą sumę, natychmiast z niej skorzystał. Sprzedał nowo narodzoną dziewczynkę za dwieście dolarów. Żona błagała go, by tego nie robił, ale szybko uciszył ją pięściami. Kobieta kompletnie się załamała. Niedługo potem powiesiła się na drzewie za domem.

To wtedy koszmar Simy rozpętał się na dobre. Musiała sprzątać, prac i gotować dla ojca, dwóch starszych i jednego młodszego brata. Na jej głowę spadły wszystkie domowe obowiązki, a wkrótce ojciec uznał, że może spełniać również te małżeńskie, i zaczął ją regularnie gwałcić. Szybko dołączyli do niego jej dwaj dorastający bracia. Gdy Sima prosiła, by tego nie robili, zawsze odpowiadali przemocą. Wiele razy rozważała drogę, którą poszła jej mama, ale bała się śmierci. W końcu nie wytrzymała i uciekła.

Udało jej się bezpiecznie dostać do stolicy prowincji, Shiraz. Tu jednak już pierwszej nocy została zgwałcona. Zrozumiała, że musi czym prędzej poszukać sobie schronienia, bo kolejnym razem może się nie skończyć na gwałcie. Nie mając jednak pieniędzy, nie miała szczególnych możliwości. Nie wiedziała, dokąd pójść, kogo spytać o pomoc. Dowiedziała się jednak, gdzie w Shiraz najczęściej pracują prostytutki. Zarabianie na jedzenie i schronienie własnym ciałem wydawało się jej wtedy jedynym rozwiązaniem. W końcu od najmłodszych lat była dla swoich oprawców obiektem seksualnym. Nie znała innego życia.

Prostytucja podobnie jak handel narkotykami są w Iranie surowo zakazane, ale i bardzo powszechne. Nietrudno było więc znaleźć miejsce, gdzie kobiety znacznie starsze od niej i dziewczynki w podobnym wieku próbowały zdobyć choćby minimalne kwoty, sprzedając swoje ciała. Gwałcona od najmłodszych lat, Sima nie potrafiła jednak tak po prostu oddać się za pieniądze. Nie wiedziała jak.

To tam, na ulicy, poznała około dwudziestoletnią dziewczynę, która stała przy drodze z pięcioletnim chłopcem. Miała na imię Laleh, a jej synek przedstawił się jako Ali. Był niezwykle rezolutny i jakby przystosowany do sytuacji, w której przyszło mu dorastać. Mama zabierała go ze sobą do pracy na ulicy. Mieli świetnie opracowany system działania w zależności od tego, czy klient chciał skorzystać z jej usług w samochodzie, czy zabierał ją do mieszkania. W mieszkaniu było prościej – Ali zostawał w pomieszczeniu obok albo na zewnątrz. Miał za zadanie zasłonić uszy i śpiewać znaną wszystkim irańskim dzieciom piosenkę:

*Atal matal tootole*

*Govee Hasan che joore?*

Jej tekst nie ma zbytowego sensu i mówiąc oględnie, pyta o samopoczucie krowy jakiegoś Hasana, ale to było bez znaczenia. Laleh starała się przekuć tę krępującą sytuację w zabawę, która uchroniłaby malca przed poznaniem prawdy na temat profesji jego matki.

Kiedy schadzka z klientem odbywała się w samochodzie, Ali oprócz uszu musiał zamykać też oczy. Matka sadzała go na masce, tyłem do kabiny, ale tak, by nie stracić go z oczu. Ali był karny i słuchał każdego polecenia mamy. I rzeczywiście traktował to jak świetną zabawę.

– Jak huśtało, to myślałem, że płyniemy łódką – mówił, nie podejrzewając niczego zdożnego.

Ale Laleh wiedziała, że tylko kwestią czasu jest, gdy odkryje prawdę. I ta perspektywa przerażała ją coraz bardziej. *Runaway girls* nie mają w życiu prawa wyboru.

Wtedy na ulicy Laleh sama podeszła do Simy.

– Nie widziałam cię tu wcześniej – powiedziała.

Sima bała się odezwać. Choć Laleh nie wyglądała na kogoś, kto mógłby jej zagrozić, nie była pewna, czego może się po niej spodziewać.

– Nie bój się... Uciekłaś?

Fakt, że Laleh domyśliła się jej przeszłości już po jednym spojrzeniu, ośmielił Simę.

– Tak – szepnęła.

– Chcesz tu pracować?

Sima nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała, ale jednocześnie nie miała wyjścia.

– Pamiętaj tylko, żeby używali prezerwatyw...

Nawet nie wiedziała, co to takiego. Ale w ciągu kolejnej godziny Laleh wprowadziła ją w koszmarne tajniki prostytucji w Iranie.

Zaraz po wybuchu irańskiej rewolucji islamskiej ajatollah Khomeini zakazał sprzedaży wszystkich grzesznych środków antykoncepcyjnych.

Pobożni Irańczycy słyszeli od duchownych, że ich obowiązkiem jest rozmnażanie się, że tylko dzięki temu ich naród przetrwa. I wykonywali te polecenia, nie zastanawiając się nad tym, że gdyby władze nie doprowadziły do wojny, skrajnej biedy i nie wybijały ich tysiącami, wzmożona prokreacja nie byłaby potrzebna.



Dla osiągnięcia swoich celów Khomeini obniżył wiek pozwalający na wstąpienie w związek małżeński dla dziewczynek do dziewiątego, a dla chłopców do czternastego roku życia. W efekcie w ciągu pierwszej dekady po rewolucji liczba Irańczyków podwoiła się i wyniosła pięćdziesiąt pięć milionów.

W trawionym nędzą kraju wywołało to niemal katastrofę demograficzną, co spowodowało, że zakaz dystrybucji środków antykoncepcyjnych zniesiono. Mało tego – Irańczycy uzyskali dostęp do bezpłatnej antykoncepcji w publicznych placówkach służby zdrowia. W ciągu ostatnich lat nastąpił jednak odwrót od tej polityki i darmowe środki antykoncepcyjne przestały być powszechnie dostępne, wciąż jednak można je kupić w aptekach.

– Ty młoda jesteś, niezniszczona, przy tobie nie mam szans... – powiedziała Laleh na koniec swojego wykładu. Miała dwadzieścia lat i była piękną dziewczyną, ale tak zmęczoną życiem, że czuła się jak staruszka.

– Nie będę ci przeszkadzać – powiedziała Sima. – Idź i poszukaj klienta. Ja zajmę się małym.

Laleh nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Na ulicy między kobietami panowała ogromna rywalizacja. Wszystkie ryzykowały aresztowanie, każda była głodna, a wiele miało ze sobą niedożywione, często chore dzieci. Szybkie znalezienie klienta było dla nich sprawą priorytetową. Żadna nie zgodziłaby się pomóc drugiej nie dlatego, że były złe, tylko ponieważ wiedziały, jak ogromne niesie to ze sobą ryzyko.

– Jesteś pewna? – spytała jeszcze.

– Tak, idź... My się tu z Alim pobawimy.

– Nie, nie tutaj. Idźcie na drugą stronę placu. Tu robią kontrole, po co ryzykować... Znajdę was.

Sima zrobiła tak, jak poradziła jej nowa koleżanka. Rozstały się, a dwie godziny później Laleh odnalazła Simę i chłopca.

Ledwo stała na nogach. Ktoś ewidentnie ją pobił. Z ust leciała jej krew.

– Co się stało? – Przerażona Sima sięgnęła do małej torby po chustę, którą delikatnie przetrzała twarz koleżanki.

– Przecież wiesz... – wychrypiała Laleh, po czym przysiadła obok Alego i przytuliła go mocno. Mały nie był zdziwiony jej stanem. Jakby to było zupełnie normalne, że mama wraca pobita i zakrwawiona.

– Oni tak zawsze?

– Często. Wielu z nich dobrze wie, że to, co robią, to grzech, ale udają, że tak nie jest. My też grzeszymy, dlatego oni, jako prawowici muzułmanie, wymierzają nam sprawiedliwość.

– To nie ma sensu... Przecież Allah...

– Allaha w to nie mieszaj. On nie ma z tym nic wspólnego – zareagowała gwałtownie Laleh. – Gdyby się nami interesował, mój mały synek nie miałby matki dziwki.

– Nie można tak mówić – szepnęła z przerażeniem Sima.

– Mówię prawdę. Allah nas nie widzi. A może już tak nagrzeszyłam, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie wiem... Naprawdę nie wiem. – W głosie Laleh brzmiała rozpacz i zrezygnowanie.

Tej nocy Sima nie poszła do pracy. Laleh za zarobione pieniądze kupiła jedzenie również dla niej. Zabrała ją też do wyłożonej ceratą i starymi zdobycznymi dywanami komórki, w której mieszkała z Alim.

Następnego dnia Sima podjęła ryzykowną decyzję. Zaproponowała, żeby Laleh została w domu z Alim i odpoczęła, zapewniając, że tym razem to ona przyniesie im jedzenie. Kobieta nie chciała się na to zgodzić, choć perspektywa pierwszej od lat nocy spędzonej nie na ulicy, ale w towarzystwie synka, jedynego mężczyzny w jej życiu, który nigdy jej nie skrzywdził, była niezwykle kusząca.

– Zgódź się. Chcę się odwdzięczyć... – przekonywała Sima.

Wcale nie miała pewności, że uda jej się zdobyć jedzenie. Wiedziała, jak wielka to odpowiedzialność, ale bardzo chciała wspomóc Laleh. Młoda kobieta od śmierci jej mamy była pierwszą osobą, która okazała jej życzliwość. W końcu Laleh uległa, a Sima wróciła dokładnie w to samo miejsce, w którym spotkały się poprzedniego dnia.

Przysiadła na krawężniku pod przyschniętym drzewem. Smród spalin przejeżdżających z wolna samochodów drapał ją w gardło, więc zasłoniła twarz chustą i znad niej obserwowała otoczenie. Co jakiś czas do podjeżdżającego samochodu podchodziła kobieta i od razu do niego wsiadała. Niektóre odjeżdżały. Inne wysiadały kilkadziesiąt metrów dalej. Nie dobiły targu...

Sima nawet nie wiedziała, za jaką cenę powinna się wystawić. Była przerażona perspektywą podejścia do samochodu i zaoferowania swoich usług, ale wiedziała, że nie może się wycofać. W końcu obiecała posiłek Laleh i jej synkowi.

Wreszcie się odważyła. Gdy ulicą przejeżdżał trawiony rdzą, kopący czarnym dymem zielony mercedes, który bez wątpienia pamiętał czasy szacha, ruszyła w jego kierunku. Szybko jednak została odepchnięta przez inną dziewczynę, na oko zaledwie kilka lat starszą od Simy.

Widząc to, kierowca natychmiast zareagował.

– Nie odpychaj jej! – warknął. – Młoda jest, a ty widać, że przechodzona! Puść ją!

Dziewczyna musiała ustąpić miejsca Simie, choć ta wcale się z tego nie cieszyła. Słowa kierowcy musiały zabołec jej rywalkę. Była ciągle młoda, a na jej wygląd wpłynęły trudy życia.

Z drżącym sercem Sima wsiadła do samochodu. Śmierdziało w nim smarem i stęchlizną. Mężczyzna za kierownicą wyglądał na czterdziestolatka. Miał gęsty wąs i skronie lekko przyprószone siwizną. Był ubrany w ciemną, stalową kurtkę. Wyglądem nie wyróżniał się spośród typowych Irańczyków.

– Nowa jesteś – zauważył. Wyraźnie był tu stałym bywalcem.

Sima pokiwała głową.

– Ile bierzesz?

– Trzydzieści tomanów<sup>5</sup> – odpowiedziała.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem, jakby opowiedział mu dowcip.

– A co ty, księżna Diana? – wydusił. – Dam ci pięć...

Sima czuła się upokorzona. Ale że doskonale znała to uczucie, szybko się otrząsnęła i postanowiła nie dawać za wygraną.

– Siedem.

– Niby młoda, a już się targuje... – skomentował klient z pobrzmiwającym w głosie uznaniem. – No dobrze, niech ci będzie. Za pierwszym razem dostaniesz siedem.

Przycisnął pedał gazu i odjechali. Sima nie znała miasta, nie miała pojęcia, dokąd jadą. Kiedy znaleźli się na odludziu oświetlanym tylko reflektorami jego samochodu, mężczyzna stanął i zaczął opuszczać oparcie swojego siedzenia.

– Tam z boku masz pokrętko. Opuść, będzie wygodniej – poinstruował.

Chwilę później rozpiął spodnie i złapał Simę za głowę.

– Musisz założyć prezerwatywę – powiedziała, dobrze przeszkolona przez Laleh.

Irańczyk się zaśmiał.

– Bo co?

– Są różne choroby... Cięża...

– Co mnie to, kurwa, obchodzi! Chcesz dostać kasę, to bierz się do roboty!

– Bez prezerwatywy nie! – zawołała Sima, odzyskując rezon.

W odpowiedzi na jej twarzy wylądowała pięść mężczyzny.

– Nie jesteś tu od stawiania warunków. Jeśli chcesz wrócić na ulicę cała, rób, co do ciebie należy!

Wtedy Sima zrozumiała, że nie ma nic do powiedzenia.

Klient był bardzo brutalny. Gwałcił ją, wściekły, że próbowała mu się stawiać. Kiedy skończył, uderzył ją jeszcze raz.

– To cię nauczy odpowiedniego podejścia!

Zaraz potem ustawił swoje siedzenie w poprzedniej pozycji i ruszył, szybko nabierając prędkości.

Sima próbowała zachować równowagę, wciąż jeszcze pozostając w pozycji półleżącej. Gdy tylko zdołała się pozbierać, mężczyzna zatrzymał samochód i rzucił do niej:

– Wsiadaj!

– A zapłata?

Cisnął w nią zmięte banknoty irańskich riali, które w przeliczeniu nie były warte nawet piętnastu centów.

– To za mało... – zaprotestowała.

– Dla takich dziwek to za dużo. Chcesz się przejechać na milicję? Powiem im, że mnie nagabywałaś, więc cię zwabiłem i przywiozłem na komisariat...

Sima nie powiedziała już nic więcej. Przerażona tą wizją, natychmiast wysiadła z samochodu. Nie wiedziała, gdzie jest. Szła przed siebie, aż dotarła do jednej z głównych arterii. Stamtąd, pokierowana przez siedzącą przy ulicy staruszkę, ruszyła w kierunku komórki Laleh. Po drodze udało jej się kupić obiecane jedzenie. Choć czuła się podle i była potwornie obolała, przynajmniej to jej wyszło... Mały Ali nie pójdzie dziś spać głodny.

Od tej pory żyły z Laleh w swoistej symbiozie. Wymieniały się, tak by każda pracowała co drugi dzień. Mogły dzięki temu odpocząć, często zagoić rany, a co najważniejsze, Ali miał opiekę i nie musiał uczestniczyć w spotkaniach mamy z klientami.

Tymczasem mężczyzna z zielonego mercedesa zagiął na Simę parol. Uparł się, że będzie jej stałym klientem. I choć dziewczyna, widząc jego charakterystyczne auto, zawsze starała się ukryć, on nie dawał za wygraną. Z czasem zrozumiał, że jego samochód jest przeszkodą, i postanowił nachodzić ją pieszo.

– Dlaczego uciekasz? – spytał łagodnie, jakby zupełnie nie pamiętał ich pierwszej „randki”.

– Nie pójdę z tobą – powiedziała stanowczo Sima.

– Nie chcę, żebyś ze mną poszła. Ja cię kocham.

Tak jak jego rozbawiła cena ze seks, którą podała podczas ich pierwszego spotkania, tak teraz to Sima szczerze się roześmiała. Rzadko miała okazję do śmiechu, ale ta scena wydała jej się tak żałosna, że aż zabawna.

– Nie śmiej się. Mówię prawdę – zareagował lekko zniecierpliwiony mężczyzna.

Nawet tak mało doświadczona w miłości piętnastolatka wiedziała, że uczucie zrodzone w takich warunkach nie może być prawdziwe.

– Pragnę, żebyś została moją *sigheh* – dodał.

– Nie wiem, co to jest, ale nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Pieniądze nie są problemem.

– Ostatnio były. Nie zapłaciłeś mi tyle, na ile się umówiliśmy.

– Zapłacę ci trzysta dolarów. A tu masz dwadzieścia tomanów za nic – powiedział, wciskając jej do ręki plik riali.

Sima była kompletnie zaskoczona. Dwadzieścia tomanów to w przeliczeniu prawie pięć dolarów. Mała fortuna, zważywszy na to, że jej dotychczasowe zarobki można było przeliczać na centy.

– Zastanów się. Jutro tu wrócę i jak się zgodzisz, pójdziemy do imama – powiedział mężczyzna.

Sima wiedziała, że nie zmieni zdania, ale nie chciała zaognić sytuacji, żeby on nie zmienił swojego. Cieszyła się, że tego dnia nie musi już chodzić po ulicach, by kupić jedzenie dla siebie i swojej przyszywanej rodziny, że dostała pieniądze bez konieczności upokarzania się prostytutką.

– Jesteś młoda, wiedziałam, że to długo nie potrwa. Każdy będzie cię chciał na *sigheh* – powiedziała Laleh, gdy tylko Sima opowiedziała jej o spotkaniu mężczyzny z zielonego mercedesa.

– Ja nawet nie wiem, co to oznacza...

– Gdzieś ty się uchowała? – Przyjaciółka się uśmiechnęła. – *Sigheh* to taka druga żona, ale służy tylko do seksu.

– To ja tak nie chcę.

Laleh znowu się uśmiechnęła.

– Pewnie marzysz o mężu. Takim bogatym, co? I żeby zabrał cię z ulicy... – westchnęła. – Takie jak my nadają się tylko na *sigheh*. Nikt nigdy się z tobą nie ożeni. On ma już żonę, a teraz szuka sobie młódki, żeby móc się wyżywać.

– Jego niedoczekanie! Nigdy się na to nie zgodzę! – powiedziała kategorycznie Sima.

– Zwariowałaś? Każda z nas dałaby się za to pokroić. Niektóre przyjmują oferty za grosze, byle tylko mieć stały dochód.

– Ale on mnie pobił...

– Nie on pierwszy, nie ostatni. Naprawdę wolisz ryzykować seks z innym facetem za każdym razem? Te wszystkie choroby... I jeszcze nie wiadomo, gdzie cię wywiezie. A on da ci dach nad głową i będziesz miała z czego żyć. Nie pozwoli ci już chodzić po ulicy. Będzie do ciebie przyjeżdżał co jakiś czas i robił swoje, a potem wróci do rodziny. Nie będziesz musiała się martwić o jedzenie. To lepsze niż codzienna walka o przyszłość...

Laleh miała rację. Choć zostanie *sigheh* mężczyzny, który dał się poznać jako gwałciciel i brutal, wydawało się koszmarną perspektywą, w sytuacji Simy mogło też być błogosławieństwem. Po tym, co usłyszała od przyjaciółki, zaczęła to rozważać.

Zwyczaj *sigheh* pozwala mężczyznom poślubić kobietę na z góry określony czas. Może to być dziesięć minut, ale maksymalnie dziewięćdziesiąt dziewięć lat. W tym czasie może z nią odbywać intymne stosunki, a następnie opuścić ją bez konsekwencji. Chociaż instytucja *sigheh* jest często usprawiedliwiana kwestiami moralnymi – jej zwolennicy twierdzą, że w imię Allaha wybawiają prostytutki od życia w grzechu – w praktyce jest to po prostu luka prawna legalizująca prostytutkę.

*Sigheh* jest praktykowane niemal wyłącznie przez szyitów i najbardziej powszechne właśnie w Iranie, choć występuje również pod arabską nazwą *nikah mut'ah* i wśród sunnitów ma swoich zwolenników postulujących legalizację tej praktyki. Taki czasowy małżeński kontrakt zawiera się przed imamem z jego błogosławieństwem i za konkretną, ustaloną z góry opłatą. Po odwołaniu lub

wygaśnięciu kontraktu mężczyzna może zawrzeć układ z kolejną *sigheh*. Kobieta musi odczekać okres *iddah*, czyli cztery miesiące i dziesięć dni, kiedy jest zakazana innym mężczyznom.

Kilka dni później Sima spotkała go znowu.

– Trzysta dolarów i wynajmiesz mi mieszkanie – powiedziała.

– Znowu się targujesz... – Mężczyzna się uśmiechnął.

– Mam ofertę od innego kandydata – blefowała, szczegółowo poinstruowana wcześniej przez Laleh.

Klient spojrział na nią z lekkim poirytowaniem. Wiedział, że tak młoda dziewczyna będzie miała powodzenie.

– Mam pokój nad garażem. Możesz w nim mieszkać. Zgadzasz się?

Sima w odpowiedzi tylko pokiwała głową.

– Jutro pójdziemy do imama. Czekać tu na mnie w południe.

Spotkali się w umówionym miejscu następnego dnia. Sima wsiadła do jego samochodu i podjechali pod meczet. Ominęli główny budynek, po czym weszli do zabudowań znajdujących się za nim. Szli wąskim dusznym korytarzem z oknami wysoko nad podłogą. Sima zastanawiała się przez chwilę, czy ktokolwiek jest w stanie przez nie wyjrzeć, i szybko doszła do wniosku, że nie ma na to szans. Znajdowały się mniej więcej na wysokości trzech metrów. Takimi myślami próbowała uspokoić oszalałe ze stresu serce, które pompowało krew w zawrotnym tempie. Była przerażona.

Weszli do dużego pokoju znajdującego się na końcu korytarza. Najpierw mężczyzna z zielonego mercedesa, później Sima. Pokój był cały wyłożony eleganckimi dywanami, od ścian po podłogę. W centralnym miejscu stał niski drewniany stolik pokryty polerowaną politurą. Siedział przy nim młody imam w brązowej szacie i czarnym turbanie. Reza, bo tak miał na imię przyszyły *sigheh* Simy, przywitał się z nim serdecznie. Znali się od dawna. Imam był synem jego zmarłego przyjaciela. A Sima nie była pierwszą dziewczyną, którą do niego przyprowadził.

– Chcesz zostać *sigheh* tego dobrego człowieka? – spytał imam, gdy wszyscy już zasiedli na podłodze.

Sima spuściła głowę. Nie chciała, ale nie widziała lepszego wyjścia.

– Odpowiedz – ponaglił zniecierpliwiony.

– Tak – wyszeptała.

– Młoda jest, nieśmiała... – skomentował, zwracając się do Rezy. – Ładna.

– Wziąłem ją z ulicy, zanim jeszcze zdążyła narazić się Bogu. Na życie w grzechu była skazana, ale Bóg ją do mnie skierował.

– Dobrze zrobiłeś, mój bracie. Tyle kobiet żyje w grzechu. Dla nich tylko ogień piekielny.

Mężczyźni brzmiali tak, jakby właśnie omawiali działalność jakiejś fundacji charytatywnej pomagającej pracownikom seksualnym, a nie próbowali zalegalizować erotyczny związek piętnastolatki z niemal trzykrotnie starszym od niej mężczyzną.

– Brat Reza to bardzo dobry człowiek. Będziesz z nim szczęśliwa – zapewnił imam, po czym spytał: – Na jaki czas zawieracie *sigheh*?

– Pół roku – odparł natychmiast Reza.

– Miesiąc! – zaprotestowała Sima.

– Zastanów się, siostrzo. Za miesiąc będziesz znowu na ulicy, a brat Reza zapewni ci opiekę na pół roku...

– Brat Reza jest gwałcicielem i używa przemocy. Nie chcę z nim być pół roku!

Słowa wzburzonej Simy zawisły w powietrzu.

Imam zmarszczył czoło i uderzył otwartą dłońią w stojący przed sobą stolik.

– Jak możesz tak oczerniać człowieka, który wyciągnął do ciebie pomocną dłoń! Siostrzo, Allah patrzy i widzi, jaką czynisz niesprawiedliwość! – nawoływał, zanim jeszcze Reza zdążył zabrać głos.

– Dwa miesiące, nie więcej... – rzuciła Sima.

Reza musiał na to przystać.

– Ile za to chcesz?

– Trzysta dolarów.

– Dwieście – poprawił Reza.

– Mówiłeś, że trzysta.

– Teraz jest dwieście za dwa miesiące. Skoro jesteś taka pyskata, to na więcej nie zasługujesz.

Sima była gotowa wyjść i zerwać pertraktację, ale wciąż miała w głowie słowa Laleh.

– Dobrze, niech będzie dwieście – powiedziała cicho.



– No widzisz, siostrze, jak się zgadzasz, to zawsze możemy się dogadać – pochwalił imam, a potem przystąpił do swoich obowiązków.

*W imię Boga miłościwego...*

Po odczytaniu formułki Sima została *sigheh* Rezy. A on jej.

Zaraz po wyjściu od imama dziewczyna chciała jechać do Laleh i opowiedzieć jej o wszystkim, co zaszło, jednak Reza się sprzeciwił.

– O nie, nie... Wykluczone. Teraz to ja decyduję, dokąd idziesz. Nie będziesz już się kontaktować z tymi brudnymi dziwkami.

– Ty uprawiasz z nimi seks! – rzuciła wściekła.

– Teraz uprawiam go z tobą. Jedziemy!

O tym aspekcie *sigheh* Sima nie miała pojęcia. Nagle stała się więźniem Rezy. Zatknięta w ciasnym dusznym pokoju nad garażem, w którym miał warsztat samochodowy, straciła wolność, swobodę poruszania się po mieście, decydowania o tym, co dalej.

Od tej pory każde wyjście musiała ustalać z Rezą, a gdy się na nie zgodził, nawet za kilka minut spóźnienia musiała boleśnie zapłacić. Reza bił ją niemal przy każdym spotkaniu. Na szczęście dla Simy nie spotykali się codziennie. Kiedy udawał przykładnego męża i nie pojawiał się w pokoju Simy, dzwonił o różnych porach. Nawet kilkanaście razy dziennie. Sprawdzał, czy jest w domu, czy nigdzie bez jego zgody nie wychodzi. Na jego życzenie sprawdzali ją też pracownicy warsztatu. Była pod stałym nadzorem.

Z czasem Sima zorientowała się jednak, że jej tymczasowy mąż lubi swoje popołudniowe drzemki. Ucinał je sobie zawsze o tej samej porze, gdy był z nią, a kiedy wracał do prawowitej żony, też prawdopodobnie w tym czasie sypiał, bo to był jedyny moment, kiedy do niej nie dzwonił. Wtedy czuła się wolna i wymykała z domu niezależnie od konsekwencji. Zawsze szła do pobliskiego parku i przyglądała się światu.

Oprócz niej częstymi bywalcami parku byli chłopcy studiujący w Szkole Inżynierii Mechanicznej Uniwersytetu w Shiraz. Z czasem Sima się zorientowała, że jest obiektem ich obserwacji, choć nigdy nie dawała im powodów do tego, by ją nagabywali. Udawała zajętą czytaniem, choć nie umiała czytać.

Minęło wiele takich dni i wiele jej wizyt w parku, by kolejna zmieniła się w spotkanie, które miało odmienić jej życie. Na ławce po drugiej stronie alejki usiadł chłopak, którego widziała już wcześniej wiele razy. On też znał

ją dobrze. Siedział daleko, ale spoglądał na Simę, co dziewczyna zauważyła.

– Przychodzisz tu często. Nie raz cię widziałem – powiedział w końcu.

Sima tylko się uśmiechnęła, wyraźnie speszona.

Chłopak był bardzo przystojny. Szczupły i wysoki. Jego ostre rysy i duży nos miały bardzo szlachetny wyraz. Uśmiechał się też niezwykle ujmująco.

– Mam na imię Nader – próbował dalej. – A ty?

Tego pytania nie mogła już zbyć.

– Sima.

– Sima... Piękne imię. Idealnie do ciebie pasuje.

Sima spłoszyła.

Nader bardzo jej się podobał, ale wiedziała, że nie jest dla niej. Ona była zajęta przez tymczasowe małżeństwo, a zaraz po jego ustaniu miała wrócić na ulicę. On był studentem. Miał przed sobą świetlaną przyszłość i powinien sobie znaleźć porządną dziewczynę z dobrego domu.

Ale Nader miał inne plany.

Od tego czasu spotykali się w parku coraz częściej. Zawsze na odległość, by nie narażać się Strażnikom Rewolucji, nie gorszyć otoczenia. Sima coraz więcej mówiła, coraz więcej chciała od niego usłyszeć, aż pewnego dnia on zapytał wprost, choć nadal z daleka:

– Czy zostaniesz moją żoną?

– Chcesz mnie na swoją *sigheh*? – spytała zaskoczona.

– Nie. Chciałbym cię na swoją żonę. Nie na chwilę. Na zawsze.

To była zaskakująca propozycja. Nie znali się, nie mieli okazji spędzić ze sobą czasu sam na sam. Ich znajomość ograniczała się wyłącznie do spotkań w parku, na odległość. W Iranie nie byłiby jednak pierwszymi, którzy w takich okolicznościach zostają małżeństwem.

Kontrakt Simy z Rezą wygasł kilka tygodni wcześniej, ale ponieważ mężczyzna dawał jej jakieś drobne pieniądze na życie, trwała przy nim, uznając to za lepsze wyjście niż powrót na ulicę. Ale teraz los postawił przed nią nową szansę. Bała się, że gdy opowie Naderowi prawdę o sobie, ten zrezygnuje z poślubienia jej. Ale on ani myślał się wycofać.

Bardzo polubiła chłopaka z parku, a znoszenie brutalności *sigheh* było coraz trudniejsze. W końcu odważyła się na bardzo ryzykowny krok. Spakowała się i bez słowa zniknęła z pokoju, w którym zakwaterował ją Reza. Poprzedniej nocy pobił ją dotkliwie, co tylko ułatwiło jej decyzję.

Nader zabrał ją do swojego mieszkania i choć nie byli małżeństwem, zamieszkali razem. To w Iranie jest zakazane i mogło się skończyć sporymi problemami, ale młodzi wierzyli, że Bóg nad nimi czuwa. Kilka miesięcy później, gdy chłopak skończył uniwersytet, Sima została jego prawną żoną.

Gdy miała siedemnaście lat, na świecie pojawiła się Asal. Po porodzie Sima długo płakała. Choć bardzo kochała swoje dziecko – a w zasadzie właśnie dlatego – rozpaczała, że okazało się ono dziewczynką.

Nader skakał ze szczęścia, a ona drżała ze strachu o jej przyszłość, mimo że nie było powodów, by martwić się na zapas. Owszem, Asal urodziła się w kraju, w którym kobiety mają bardzo niewiele praw, ale to nie oznaczało jeszcze, że podzieli los swojej matki. Niestety obawy nie były zupełnie pozbawione podstaw, bo wielkie szczęście Simy i Nadera wkrótce zaczęło się kruszyć.

Nader zaraz po studiach dostał dobrą pracę. Jako inżynier w zakładach zbrojeniowych zarabiał całkiem niezłe pieniądze i wszystko było na dobrej drodze... dopóki jej nie stracił. Sima nigdy nie dowiedziała się, jakie były tego powody. Nader zawsze mówił, że go wrobiono, ale nigdy nie ujawnił w co. Sprawa musiała być jednak polityczna, bo nie był w stanie znaleźć żadnej innej pracy i wkrótce para zaczęła mieć poważne kłopoty finansowe. A niedługo potem doszły do nich te z haszyszem.

Nader początkowo to ukrywał, jednak z czasem przestał. Był już wtedy poważnie uzależniony. Gdy nagle zaczął przynosić do domu pieniądze, Sima w pierwszej chwili odetchnęła z ulgą, ale szybko się domyśliła, że pochodzą z handlu narkotykami. Tego mąż też nie chciał przyznać, a ona nie mogła mu zabronić. Każdej nocy, gdy nie wracał, drżała, by nic mu się nie stało. Przez długi czas sprzyjało mu szczęście, jednak to zwykle kończy się w zupełnie niespodziewanym momencie.

Nader wdał się w bójkę z jednym z dilerów, który próbował go oszukać. Obaj byli w czasie bijatyki odurzeni, więc szybko wpadli w ręce milicji, po czym trafili za kraty w oczekiwaniu na proces za handel narkotykami i zakłócanie porządku. W Iranie w najlepszym przypadku grozi za to kara wieloletniego więzienia, a nierzadko śmierć.

Sima w jednej chwili straciła nadzieję, że jej mąż wróci. To, w jak poważnych kłopotach się znalazł, potwierdził jego brat, który odwiedził Simę, gdy tylko dowiedział się o całej sprawie.

Farzad służył w armii rewolucyjnej. Daleko mu było do wiary w rewolucyjne ideały, ale zawsze chciał być żołnierzem, a przynależność do służb mundurowych reżimu miała swoje dobre strony dla ochrony rodziny. Mógł zareagować, gdyby komuś działa się krzywda, mógł spróbować powołać się na swoją funkcję. Ale w przypadku Nadera niestety nie mógł zrobić nic. Sprawa była zdecydowanie zbyt poważna.

Szwagier zostawił Simie trochę pieniędzy na przeżycie i obiecał, że wróci z większą sumą. Ale wkrótce potem został powołany na jakąś ważną dla reżimu misję i wyjechał z Shiraz. Kiedy pieniądze się skończyły, a głód coraz częściej doskwierał Simie i małej Asal, w jej głowie pojawiła się myśl o tym, że powinna wrócić na ulicę. Tylko tak będzie mogła utrzymać swoją córeczkę i siebie. Nie знаła żadnego innego sposobu – i szybko się okazało, że faktycznie nie ma innego wyjścia.

Minęły cztery lata, a ulica, na której kiedyś pracowała, nie zmieniła się w ogóle, jakby czas stał tu w miejscu. To był bardzo smutny powrót, ale w pewnym sensie sentymentalny, zwłaszcza że już pierwszego dnia spotkała Laleh. Ali wyrósł na dużego chłopca. Miał już prawie dziewięć lat i z pewnością rozumiał znacznie więcej niż kiedyś. Wciąż jednak był tym małym pogodnym dzieckiem, którym Sima się opiekowała, gdy jego mama zarabiała na jedzenie. Teraz Sima miała na rękach również swoje dziecko, kilkumiesięczną Asal.

– Bardzo za tobą tęskniłam – powiedziała, przytulając Laleh, której kruczoczarne włosy wymykające się spod chusty zaczęły połyskiwać już srebrem. Była dwudziestoparolatką, ale życie zabrało jej młodość, co było coraz trudniejsze do ukrycia. Zauważali to też klienci, dla których siwe włosy były wystarczającym powodem do negocjowania niższej stawki.

Czas zatoczył krąg. Sima i Laleh znowu dzieliły się obowiązkami i opieką nad Alim, tyle tylko że teraz do ich dziwnej rodziny dołączyła Asal. Sima zaprosiła Laleh do zamieszkania w domu, który dzieliła z Naderem. Choć serce jej pękało, wciąż miała nadzieję, że jej mąż kiedyś do niej wróci.

Minęło kilka miesięcy i kurz związany z kolejną życiową rewolucją zdążył opaść, gdy na ulicy, przy której pracowały prostytutki, pojawił się dobrze znany Simie zielony mercedes. Dziewczyna przez chwilę przyglądała mu się z niedowierzaniem, a gdy się zorientowała, że powinna się schować, na ucieczkę było już za późno. Reza ją zobaczył, choć nie była pewna, czy ją rozpoznał. Przejechał dalej, a ona odetchnęła z ulgą.

Kilkanaście minut później na oczach wielu spłoszonych koleżanek Sima została aresztowana za... prostytutkę. Milicja wiedziała, że kobiety pracują w tej części miasta. Funkcjonariusze nie reagowali, wiedząc, że to usługi dla jednych konieczne do utrzymania spokoju, dla innych – do przeżycia. Nie zmienia to faktu, że prostytutka nadal stanowiła podstawę do aresztowania, kiedy było to wygodne, a w tym przypadku było. Reza miał wśród swoich klientów sporo wpływowych osób i kiedy chciał, potrafił pociągnąć za odpowiedni sznurek, a o zemście nad Simą marzył od dawna.

Dziewczyna trafiła do więzienia, a Asal pozostała pod opieką Laleh. Kobieta nagle znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Musiała zostawiać niemowlę pod opieką małoletniego syna, gdy szła do pracy. Negocjowała w tym czasie zostanie *sigheh* pewnego lekarza. Dla niej było to spełnienie marzeń, ale mężczyzna się wahał, czy to właśnie ją powinien zaszczyścić tym przywilejem. W końcu się zdecydował, choć na wieść o tym, że kobieta ma pod opieką dodatkowe dziecko, trochę się zdenerwował. Szybko jednak zwietrzył w tym interes. Znalazł kupców na dziewczynkę. Laleh nie chciała o tym słyszeć, ale to jej przyszły *sigheh* podejmował decyzje. Tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności kilka dni przed przekazaniem Asal kupcom w mieszkaniu Nadera pojawił się jego brat.

Laleh nie miała wątpliwości, że musi ratować dziewczynkę. Opowiedziała mu, co się wydarzyło. I tak Asal dostała się pod opiekę wujka Farzada. Wiedząc, że nie jest w stanie zapewnić jej spokojnej, bezpiecznej przyszłości, wykorzystał on swoje układy, by legalnie wywieźć ją z Iranu. Trafił do Szwecji, gdzie poprosił o azyl dla siebie i swojej bratanicy.

Asal nigdy się nie dowiedziała, jakie były dalsze losy jej rodziców. Ta niepewność zjadała ją od środka. Ale przez całe życie starała się robić wszystko, by przeszłość nie niszczyła jej przyszłości. Niestety tę walkę toczy wielu Irańczyków.

<sup>5</sup> Równowartość 30 000 irańskich riali, czyli około 70 centów amerykańskich.

## ROZDZIAŁ 13

### **Blue girl**

*21 listopada 2022, Khalifa International Stadium, Doha, Katar*

Irańska drużyna futbolowa stanęła do hymnu przed meczem z Anglią, ale gdy z głośników zaczęła płynąć melodia, piłkarze odmówili śpiewania. Żaden z nich nie poruszał ustami, żaden nawet nie udawał, że śpiewa. Z trybun dochodziły gwizdy i buczenie. Nie były jednak wyrazem dezaprobaty dla sportowców, ale formą poparcia ich protestu, który ma wesprzeć wszystkich rebeliantów w ich kraju. Wyjeżdżali z niego z łatką pacholków reżimu, ale akt odwagi, jakim była odmowa zaśpiewania hymnu, zaskoczył wszystkich. Zarówno irańskie władze, jak i ludzi przeciwko nim protestujących.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielkim aktem odwagi był ten cichy protest, gdy pochodzi się z kraju takiego jak Iran i protestuje się przeciwko działaniu jego władz w tak eksponowanym miejscu jak obserwowany przez setki milionów ludzi na całym świecie stadion. Można się spodziewać poważnych reperkusji.

Problemy zapowiadała już konferencja prasowa irańskiej drużyny przed meczem, podczas której jej kapitan, Ehsan Hajsafi, złożył kondolencje pograżonym w żałobie rodzinom z Iranu. Swoją wypowiedź zaczął od słów: „W imię Boga tęczy”, które były cytatem z zabitego kilka dni wcześniej w Iranie dziewięciolatka. A zakończył zapewnieniem: „Stoimy obok was”. Reżim nie miał szans zareagować na tę niesubordynację, ale wszyscy się spodziewali, że na tym irańscy sportowcy zakończą wystąpienia polityczne. Nikt nie sądził, że już następnego dnia cała drużyna odmówi zaśpiewania hymnu.

Drużyna Melli – czyli po prostu drużyna narodowa – jest najwyżej notowanym wśród wszystkich drużyn azjatyckich zespołem i od dawna

wielkim źródłem dumy narodowej w Iranie. A że futbol jest dla Irańczyków bardzo ważny, jej kwalifikacja na światowe mistrzostwa stała się sprawą wagi państwowej. Najwyżsi irańscy politycy postanowili wykorzystać piłkarzy do siania propagandy w najgorętszym okresie protestów toczących się nieustannie na ulicach miast. Drużyna Melli już w okresie poprzedzającym mistrzostwa świata została uwikłana w wielką politykę.

Poza szansą na *sportwashing*, czyli wybielanie niecznych poczynań za pomocą sportu, władze widziały w występie swojej drużyny w Katarze zagrożenie. Obawiały się, że jej udział w piłkarskiej imprezie zostanie wykorzystany do politycznych demonstracji. Miały ku temu powody.

Dokładnie miesiąc przed rozpoczęciem imprezy w Katarze podczas Międzykontynentalnych Mistrzostw w Piłce Nożnej rozgrywanych w Zjednoczonych Emiratach Arabskich irański piłkarz Saeed Piramoun zaraz po strzeleniu gola w entuzjastycznym wybuchu radości wykonał gest obcinania włosów. W ten symboliczny sposób wyraził solidarność z kobietami protestującymi przeciwko przymusowi noszenia *hidżabów* i ograniczaniu ich praw.

Piramoun wrócił do kraju jako bohater protestujących, a władze miały ogromny problem z represjami wobec niego, bo to właśnie jego szeroko komentowany gol zapewnił Iranowi zwycięstwo w turnieju. Zamknięcie w więzieniu patrioty, który wywalczył puchar dla swojego kraju, byłoby poważnym błędem, dlatego puszczono go wolno. Ale irański reżim wiedział, że w nadchodzącym mundialu za wszelką cenę musi uniknąć podobnych demonstracji.

Aby się upewnić, że ma pełnię kontroli nad piłkarzami, tuż przed wyjazdem do Dohy zespół został zaproszony na spotkanie z prezydentem Iranu Ebrahimem Raisim. Zdjęcia graczy z Raisim obiegły media społecznościowe i wywołały ogromne oburzenie, bo w tym samym czasie na ulicach irańskich miast trwały zamieszki, w których ginęli ludzie, a wielu z protestujących trafiało w ręce brutalnej milicji.

Drużyna Melli została okrzyknięta grupą zdrajców. Opozycyjni Irańczycy wydali jednak swój wyrok nieco zbyt wcześnie. Spotkanie z prezydentem było aktem koniecznym do tego, by pozwolono im wyjechać. Każdy piłkarz, który by go odmówił, prawdopodobnie nie poleciałby do Kataru, nawet jeśli oznaczałoby to osłabienie drużyny. Władzom nie chodziło przecież o wyniki sportowe, tylko o propagandową demonstrację. Dopiero



poza granicami ojczyzny mogli pokazać, co tak naprawdę myślą na temat wydarzeń w kraju.

Nie wiadomo na pewno, co wydarzyło się po meczu z Anglią, ale możemy przypuszczać, że władze Iranu zareagowały radykalnie, bo kiedy piłkarze stanęli do swojej kolejnej gry, tym razem z Walią, wymruczeli hymn. Niektórzy od niechcienia poruszali ustami. Żaden nie śpiewał pełnią sił i z entuzjazmem. Podobnie było w trzecim meczu fazy grupowej, historycznym starciu Iranu ze zniechęconymi przez reżim Stanami Zjednoczonymi.

Co tak nagle przekonało piłkarzy do śpiewania hymnu, tego zapewne nigdy się nie dowiemy. Dekady represji nauczyły irańskich fundamentalistów przekonywania do swoich racji w białych rękawiczkach.

Z nieoficjalnych źródeł wiadomo jedynie, że zaraz po meczu z Anglią władze nakazały aresztowania członków rodzin piłkarzy i natychmiast ich o tym poinformowały. To miało wystarczyć, by wymóc na nich posłuszeństwo, i choć nie ma na to twardych dowodów, bardzo prawdopodobne, że nagłą zmianę w postawie sportowców osiągnięto właśnie takimi metodami.

To, co wiadomo na pewno, to fakt, że po skandalu z hymnem, tuż przed drugim meczem Iranu z Walią, do aresztu trafił Voria Ghafouri, jeden z najsłynniejszych irańskich piłkarzy, były członek drużyny Melli. Oficjalnie podano, że powodem aresztowania miała być krytyka wobec reprezentacji narodowej, co oczywiście na kilometr śmierdziało manipulacją. Irańska władza nie przejmuje się niczym i nikim poza sobą.

Aresztowanie właśnie tego piłkarza właśnie w takim momencie nie było żadnym przypadkiem. Wszyscy wiedzą, że miało to być wyraźne ostrzeżenie dla członków kadry na mistrzostwa świata, aby nie wspierali protestów.

Następnego dnia ze stadionu mistrzostw świata katarska policja usunęła część kibiców, którzy nosili koszulki wspierające irańskie protesty. Zrobiono to wyraźnie na prośbę władz irańskich.

Sytuacja piłkarzy z drużyny Melli jest nie do pozazdroszczenia. Dla jednych wciąż są zdrajcami, którzy uginają się pod butem fundamentalistów, a żadne gesty poparcia protestujących ich nie przekonują. Inni widzą w nich po prostu sportowców, którzy nie powinni się mieszać w politykę. Jeszcze inni doskonale rozumieją, że ryzykują

swoje życie, narażając się władzy, a gest z odmową śpiewania hymnu jest dla nich prawdziwym aktem odwagi.

Nie był to pierwszy raz, gdy irańscy piłkarze wykorzystali Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej do aktów politycznych. Po raz pierwszy Iran grał na mundialu, gdy rządy szacha chwiała się w posiadach, a na ulicach, tak jak dziś, wrzały krwawo tłumione protesty.

Zespół Melli wyszedł wtedy na boisko bez swojego kapitana, Parviza Ghelichkhani. Ghelichkhani, zagorzały lewicowiec, który siedział wcześniej w Evin za działalność polityczną i wyszedł tylko dzięki temu, że zmuszony został do publicznego wyrażenia skruchy podczas transmitowanej w telewizji spowiedzi, zapowiedział, że nie zagra z drużyną w proteście przeciwko represjom szacha Pahlaviego. Jego nieobecność przekreśliła szanse Iranu na zwycięstwo w jakimkolwiek meczu.

Przez kolejne dwie dekady Iran nie zakwalifikował się do mistrzostw, aż do 1998 roku, kiedy we Francji drużyna Melli wygrała swój pierwszy mecz w Pucharze Świata. Najważniejszy jednak był tu przeciwnik. Irańczycy wygrali ze Stanami Zjednoczonymi. To było spektakularne wydarzenie – i wymarzony prezent dla propagandy reżimu.

Piłkarze wiedzieli, że władze będą chciały wykorzystać to politycznie, więc postanowili zadziałać, zanim tak się stanie. Jeszcze nie znając wyniku, tuż przed meczem drużyna Melli w pokojowym geście, który doprowadził do wściekłości ajatollahów, wyszła na boisko z białymi różami i wręczyła je swoim przeciwnikom. Obie drużyny pozowały do wspólnych zdjęć, nie było w nich widać żadnej niechęci ani wrogości, jaka pasowała do narracji dyktowanej przez irańskich przywódców duchowych.

Piłka nożna jest dla Irańczyków... i Iranek niezwykle ważna. Za piłkę nożną w Iranie przelano sporo krwi. Głównie kobiecej.

*2 września 2019, stadion Azadi, Teheran, Iran*

Niespełna trzydziestoletnia Sahar Khodayari, kobieta drobnej budowy, opuszcza budynek Islamskiego Sądu Rewolucyjnego w Teheranie. Przed chwilą usłyszała, że trafi do więzienia na pół roku za przewinienie, którego dopuściła się kilka miesięcy wcześniej. W Iranie za jego sprawą może cieszyć się niemałą internetową sławą, choć to akurat wątpliwy powód do

radości. W sieci nazwano ją *blue girl* – „niebieska dziewczyna”. Ten przydomek i rozpoznawalność zdobyła po tym, jak w marcu tego samego roku próbowała wejść na przeznaczony tylko dla mężczyzn stadion Azadi w Teheranie przebrana za mężczyznę z niebieską peruką na głowie.

W samej peruce nie było nic dziwnego, nie ona jedna taką nosiła. Niebieskim kolorem fani drużyny Esteghlal F.C. zagrzewali ją do walki. Sztuczne włosy w tym kolorze miało na głowie wielu mężczyzn. Niebieskie koszulki, gadzety, peruki i flagi miały zmienić barwę stadionu i demonstrować wsparcie. Tego dnia Esteghlal F.C. mieli zagrać z emiracką drużyną Al Ain.

Sahar Khodayari została rozpoznana przez ochronę i natychmiast przekazana miejscowemu Dowództwu Organów Ścigania Islamskiej Republiki Iranu, znanemu Irańczykom jako NAJA. Trafiła do aresztu. Pobita i głodzona po trzech dobach i wpłaceniu kaucji została wypuszczona na wolność i miała czekać na rozprawę sądową.

Sahar była jedną z wielu tysięcy fanek futbolu w Iranie, którym po rewolucji islamskiej odmówiono prawa wstępu na mecze. Powodem było oczywiście perwersyjne przekonanie islamskich fanatyków, że oglądające mecze kobiety są narażone na niezdrowe podniety, co negatywnie wpływa na ich moralność. Niektórzy wspinają się na jeszcze wyższy poziom hipokryzji, twierdząc, że zakaz ten podyktowany jest troską o wyniki. Obecność kobiet miałyby rozpraszać piłkarzy i wpływać negatywnie na ich wyniki na murawie. Oczywiście to tłumaczenie nie ma najmniejszego sensu nawet w kontekście innych obostrzeń, jakim poddaje się Iranki, bo przecież przed kuszeniem mężczyzn ma chronić obowiązek szczelnego pakowania w czadory.

Kobiety w Iranie nigdy nie zamierzały jednak odpuszczać swojej fascynacji tym sportem. Garstka najbardziej zaangażowanych założyła ruch nazwany po prostu Open Stadiums – Otwarte Stadiony. Po raz pierwszy dały o sobie znać przed meczem eliminacyjnym do mistrzostw świata w 2005 roku. Iran walczył wtedy na stadionie Azadi („wolność”) o punkty w klasyfikacji z drużyną Bahrajnu, ale prawdziwa walka o wolność toczyła się przed nim. Mała grupka protestujących kibicek stanęła w eksponowanym miejscu z transparentami, domagając się prawa do udziału w rozgrywkach i wstępu na stadiony. Została wtedy szybko

rozpędzona przez milicję, ale to był dopiero początek rosnącej i z czasem coraz bardziej zdeterminowanej siły nacisku.

Kobiety walczące o wstęp na stadiony miały swoich przeciwników nie tylko wśród rozsmakowanych w patriarchacie mężczyzn. Krytkowały je również inne kobiety. I to po obu stronach barykady. Te konserwatywne ze względów moralnych i religijnych, feministki z kolei wskazywały na to, że kobiety mają w Iranie znacznie większe problemy niż zakaz oglądania meczów piłki nożnej. I o ile trudno się z tym nie zgodzić, to właśnie walka o prawo do oglądania futbolu stała się motorem pierwszych, drobnych zmian w prawach kobiet. Tu nie chodziło tylko o stadiony, a o dostęp kobiet do wszystkich miejsc publicznych.

Kobiety z Open Stadiums napisały dziesiątki listów do FIFA, domagając się interwencji w sprawie łamania praw kobiet. Nagłaśniały swoje postulaty w międzynarodowych mediach i coraz liczniej protestowały. Wiele z nich trafiło za to do więzień, bo irański reżim bardzo szybko rozpracowuje zorganizowane grupy opozycyjne. Open Stadiums przetrwało jednak te represje i nie zrezygnowało z dalszej walki.

Niespełna dekadę później ich naciski doprowadziły do wizyty ówczesnego szefa FIFA Seppa Blattera w Iranie. Podczas spotkania z irańskimi władzami towarzyszyła mu prawniczka i była reprezentantka Australii w piłce nożnej Moya Dodd.

Już sama obecność kobiety, w dodatku byłej piłkarki, wiała ogromną nadzieję w serca irańskich aktywistek, choć mocno zirytowała stronę rządową. O to właśnie chodziło.

To Dodd zaangażowała w tę sprawę międzynarodowe organizacje, które zaczęły uwzględniać w swojej walce również prawa kobiet do oglądania futbolu. Władze Iranu (co było do przewidzenia) nie chciały jej słuchać, ale nie wysłuchały też samego Blattera.

Jego wniosek o dostęp kobiet do kibicowania został początkowo całkowicie zignorowany. Władze Iranu wygrały kolejną bitwę, ale wojna wciąż trwała, a dzielne dziewczyny z Open Stadiums, wśród których coraz więcej było takich kompletnie niezainteresowanych futbolem, nie zamierzały złożyć broni. W ich arsenale wkrótce miało pojawić się nowe, skuteczne, ale niestety bardzo tragiczne oręż.

2 września 2019, Islamski Sąd Rewolucyjny, Teheran

*Blue girl* Sahar Khodayari czekała na wyrok. Wciąż jeszcze była wolna, ale też pewna, że wkrótce trafi za kraty. Wyszła z gmachu Islamskiego Sądu Rewolucyjnego z planem. Przystanąła przed budynkiem, rozglądając się dookoła. Była roztrzęsiona, zrozpaczona i zdesperowana, ale starała się zebrać w sobie. Nie miała wyjścia.

Usiadła na chodniku, początkowo nie wzbudzając zainteresowania przechodniów. Z torebki wyciągnęła plastikową butelkę i wylała na siebie znajdujący się w niej płyn. Zapach benzyny nie był przyjemny, ale dla niej miał być wyzwoleniem.

Teraz wystarczył już tylko mały płomień.

Pstryk zapalniczki.

Nasiąknięta benzyną tkanina czadoru zajęła się jak pochodnia. Żaden z przechodniów nie był już w stanie jej zignorować. Ale zanim do świadków dotarło, co tak naprawdę dzieje się pod gmachem sądu, ogień trawił już ciało mdlejącej z bólu dziewczyny. Gdy karetka zabrała ją do szpitala, niemal cała powierzchnia jej skóry była poważnie poparzona.

Informacja o tym, co wydarzyło się przed sądem, w tempie błyskawicy rozniosła się po Teheranie, a później po całym Iranie. Wkrótce pisały o tym media na całym świecie. Sprawa praw kobiet w Iranie znowu znalazła się w centrum zainteresowania. Publicyści krytykowali zakaz wstępu na stadiony, który zakończył się desperackim krokiem młodej dziewczyny.

Kilka dni później walka o życie pozostającej w stanie krytycznym Sahar skończyła się tragicznie. Dziewczyna zmarła, a milicja natychmiast przejęła jej ciało. Rodzina nie miała prawa głosu w sprawie pochówku. Nie mogła się z nią pożegnać. Obawiając się, że rozszalałe w kraju protesty zaognią się jeszcze bardziej, jeśli pogrzeb Sahar nie odbędzie się w tajemnicy, władze zorganizowały jej pochówek w sekrecie.

Śmierć Sahar została ogłoszona publicznie dopiero po pogrzebie. Dziewczynę złożono w nieoznakowanym grobie w świętym szyickim mieście Qom przy zachowaniu ścisłych środków bezpieczeństwa.

Mimo wszelkich starań eksplozji wściekłości przeciwnych reżimowi Irańczyków nie dało się opanować. Tym razem naciski międzynarodowe były tak silne, że władze musiały się przed nimi ugiąć. By ratować twarz, zezwoliły kobietom na wejście na stadion podczas planowanego meczu pomiędzy ukochaną drużyną Sahar Esteghlal F.C. a Mes Kerman F.C.

Nietrudno się domyślić, że był to niezwykle emocjonalny dzień. Iranki nie tylko wydarły sobie prawo do odrobiny wolności, ale miały też komu za nie dziękować.

*Blue girl!* – skandowały, wchodząc na stadion Azadi. Władze zezwoliły na stworzenie wydzielonej strefy dla kobiet obejmującej pięćset miejsc. Pozostałe sto tysięcy przeznaczone było dla mężczyzn. Liczba miejsc dla kobiet okazała się zdecydowanie niewystarczająca, czego można było się domyślić już podczas protestów. Władze jednak ewidentnie działały tak, by sprowokować kibicki i udowodnić, że ich postulaty są zwykłym kaprysem, nie dotyczą praw kobiet, są czysto polityczne, przede wszystkim zaś godzą w islamską tradycję, a nawet wolę samego Boga. Zgodzić się można było tylko z jednym. Sprawa stała się polityczna, ale to nie kobiety walczące o swoje prawa taką ją uczyniły.

Sahar nie była jedyną bohaterką tego dnia. Kobiety zebrane na stadionie Azadi skandowały też imię Vorii Ghafuriego, który krytycznie odnosił się do polityki państwa i zwracał uwagę na trudności, z jakimi borykają się zwykli Irańczycy. Tego samego, który trafił do aresztu po skandalu z hymnem na meczu Iranu z Walią podczas katarskiego mundialu.

Na swoim oficjalnym koncie na Tweeterze drużyna Esteghlal F.C. napisała tego dnia: „Cieszymy się, że jesteście dziś obecne na stadionie Azadi”. Wpisowi temu towarzyszyło zdjęcie fanek trzymających flagę zespołu.

W październiku tego samego roku władze Iranu po raz pierwszy od dziesięcioleci wpuściły kobiety na mecz międzynarodowy. Ważny, bo eliminacyjny do mistrzostw świata w Katarze. Drużyna Melli stanęła w nim przeciwko Kambodży. Tym razem na stadion Azadi weszły cztery tysiące kobiet.

Gdy świat uznał sprawę za załatwioną, władze zaczęły się jednak po cichu wycofywać z liberalizacji prawa. Oficjalnie tłumaczono to koniecznością przygotowania stadionów i zapewnienia bezpieczeństwa kibickom, choć wystarczyło nie upychać ich na małej, specjalnie wydzielonej przestrzeni. Kobiety coraz częściej były odsyłane ze stadionów z kwitkiem. Coraz więcej doniesień mówiło o tym, że w ogóle nie zostały wpuszczone na mecz. Strażnicy i ochroniarze utrudniali im wstęp z najbardziej niedorzecznych, często obraźliwych powodów. Niektórzy ze względu na makijaż, inni z powodu rzekomej miesiączki, która miała stanowić

zagrożenie. Kobieta spotykająca się z takimi trudnościami dostawała szansę na wejście na stadion pod warunkiem udowodnienia, że nie ma okresu, co oczywiście jest praktycznie niemożliwe w tłumie, a gdyby nawet podjęła taką próbę, z pewnością została by aresztowana za nieobyczajne zachowanie. Doniesienia o tym jawnym nękaniu nie przedostawały się już jednak do światowych mediów, nie były wystarczająco gorące, by rozpalic wyobraźnię międzynarodowej opinii publicznej.

*29 marca 2022, Stadion Imama Rezy, Mashad*

Trwały eliminacje do katarskich mistrzostw świata. Drużyna narodowa Iranu miała walczyć o kwalifikację przeciwko Libanowi. Na ten mecz w Iranie czekano od dawna. Na trybunach miały zasiąść dwa tysiące kobiet. Tyle z nich kupiło bilety. Początkowo nic nie zapowiadało, że impreza zakończy się wielkim skandalem.

Kiedy kibice przybyli pod stadion, do środka wpuszczani byli tylko mężczyźni. Kobietom nakazano czekać, tłumacząc się względami bezpieczeństwa. Kiedy jednak zbliżał się moment rozpoczęcia imprezy, stało się jasne, że nikt nie ma zamiaru ich na stadion wpuścić.

Milicja zablokowała wejście, a kobiety natychmiast rozpoczęły spontaniczny protest.

– Sprzeciwiamy się! Sprzeciwiamy się! – skandowały.

Ale władze obstawały przy swojej decyzji i mecz zaczął się bez udziału kobiet.

Te nie chciały dać za wygraną. Napierały na wejście, domagając się wpuszczenia lub przynajmniej zwrotu pieniędzy za bilety. W odpowiedzi poczęstowano je hojną porcją gazu pieprzowego.

Iran wygrał z Libanem 2:0, ale nie to było główną wiadomością w sieci. Media społecznościowe zalały filmy z pacyfikacji protestu oszukanych kobiet, które tego samego dnia konkurowały z relacjami z poczynaniami talibów w sąsiednim Afganistanie. Trudno było nie znaleźć podobieństw. Podczas gdy afgańscy fundamentaliści zakazali młodym dziewczynom wstępu do szkół, irańscy nie pozwolili im wejść na mecz, na który wcześniej sprzedali im bilety.

Sprawa dotarła do FIFA, która zagroziła wykluczeniem Iranu z mundialu w Katarze – i nawet najbardziej zakochani w piłce nożnej Irańczycy uznali,

że byłby to sprawiedliwy ruch. W swoim oświadczeniu Federacja napisała, że wpuszczając kobiety na stadiony, „osiągnięto historyczny postęp” i „oczekuje, że nie będzie od niego odwrotu”.

Iranki dobrze wiedzą, że prawa, o które walczą, nie obejdą się bez ofiar. Wiedzą też, że te wywalczone mogą być im w jednej chwili odebrane. Mało który naród zaznał tylu ograniczeń wolności co obywatele Iranu. Zupełnie tak, jakby los uczył ich, czym jest wolność, tylko po to, by zaraz potem im ją odebrać. Ale oni nigdy jej nie oddadzą. I choć ta mozolna walka trwa od dekad i pochłania tysiące ofiar, nikt tam nie złoży broni.

Pozostając wiernymi swoim przekonaniom o podległej roli kobiety, która plasuje się gdzieś pomiędzy bydłem hodowlanym a mopem do podłogi, irańscy przywódcy duchowni nauczają, że sport nie jest zajęciem, jakim powinna się interesować, a już na pewno zajmować kobieta.

Dzielne Iranki muszą dosłownie wydzierać sobie prawo do uprawiania sportu. Wszelkie rozgrywki, w których uczestniczą, muszą odbywać się bez lub wyłącznie z kobiecą widownią. Rząd praktycznie nie wspiera sportswomenek, a te nieliczne, którym udaje się osiągnąć sukces, z trudem dostają pozwolenie na udział w imprezach międzynarodowych.

Pierwszą Iranką, która zdobyła dla swojego kraju medal na igrzyskach olimpijskich, była Kimia Alizadeh Zonouzi. Wywalczyła brąz w taekwondo w 2016 roku w Rio de Janeiro. Iran nie potrafił jednak uszanować sukcesu swojej mistrzyni i represjami doprowadził do jej emigracji. W styczniu 2020 roku Alizadeh oświadczyła: „Jestem jedną z milionów uciskanych od lat kobiet w Iranie”. I dodała, że nie będzie już reprezentowała swojej ojczyzny. Zamieszkała w Niemczech, a na igrzyskach olimpijskich w Tokio dołączyła do olimpijskiej drużyny uchodźców.

Irańska alpinistka Elnaz Rekabi wywołała międzynarodowy skandal podczas finałów Mistrzostw Azji Międzynarodowej Federacji Wspinaczki Sportowej w Seulu. Wystąpiła na nich z odkrytą głową. Działo się to w czasie, gdy jej rodaczki już od ponad miesiąca zrywały na ulicach swoje *hidżaby*, paliły je i publicznie ścinały włosy. Dla władz Iranu było jasne, że akt Rekabi był wsparciem protestów. Nad sportswenką zawisły czarne chmury, ale mimo zagrożenia postanowiła wrócić do kraju. Na lotnisku witały ją tłumy wiwatujących kobiet i mężczyzn. Bynajmniej nie było to spowodowane jej sportowymi osiągnięciami.



Rekabi została aresztowana, choć władze oficjalnie temu zaprzeczają. Prosto z lotniska przewieziono ją do budynku Narodowego Komitetu Olimpijskiego Iranu, gdzie została zamknięta w odosobnionym pokoju. Miała czekać na spotkanie z ministrem sportu. Dzień później na jej profilu na Instagramie pojawił się post z przeprosinami i wyjaśnieniem, że występ bez nakrycia głowy był przypadkiem. Miało ono spaść bezwiednie, a sportsmenka, walcząc o wynik, tego nie zauważyła.

Reżim chciał w ten sposób zabrać protestującym kolejną ikonę. Ale złożenie oświadczenia nie było wystarczającą karą. Rodzinny dom Elnaz Rekabi został zburzony. Władze twierdzą, że nie mają z tym aktem nic wspólnego.



## ROZDZIAŁ 14

# Jina

*Zabiję tego, kto zabił moją siostrę!  
Śmierć dyktatorowi!*

W drugiej połowie września 2022 roku ulice irańskich miast zalały tłumy Irańczyków skandujących hasła, które nie mogły się spodobać islamskim fundamentalistom trzymającym władzę. Irańczycy regularnie sprzeciwiają się władzy i płacą za to wysoką cenę, ale tym razem ich determinacja przeraziła nawet tych, którzy z reguły ich lekceważą.

Wściekłość, jaką wywołała śmierć młodej dziewczyny zakatowanej przez milicję obyczajową za to, że *hidżab* niezbyt dokładnie zakrywał jej głowę, a spodnie były zbyt obcisłe, zdawała się nie do opanowania. Niestety wkrótce po śmierci Amini lista ofiar reżimu zaczęła się wydłużać i wciąż wydaje się otwarta. Trafiają na nią dzieci i bardzo młodzi ludzie, zdeterminowani, by żyć w wolnym kraju, i za wolność bezlitośnie zabijani na rozkaz starców w turbanach.

*Wszyscy jesteście Mahsą!  
Walczmy!  
Wstyďte się!  
Kobieta! Życie! Wolność!*

*13 września 2022 roku, Teheran*

Mahsa Jina Amini pochodziła z kurdyjskiego miasta Saqez położonego w północno-zachodniej części kraju, niedaleko granicy z Irakiem. Mahsa było imieniem zarezerwowanym dla oficjalnych irańskich dokumentów.

Prywatnie nikt jej tak nie nazywał. Ani rodzina, ani przyjaciele. Ona sama też nigdy się tak nie przedstawiała. Wszyscy znali ją jako Jinę.

Od czasu rewolucji islamskiej władze w Iranie zmuszają rodziny do wybierania imion dla swoich dzieci spośród tych zatwierdzonych. Ma to na celu narzucenie wszystkim Irańczykom ich preferencji kulturowych i religijnych.

Rząd twierdzi jednak, że jest to działanie dla dobra narodu, bo niezatwierdzone imiona mogą tworzyć podziały etniczne w kraju poprzez podkreślanie różnic, mimo że w praktyce jest to nic innego jak brutalna inżynieria społeczna, która szkodzi głównie grupom mniejszościowym. Mówiąc wprost: jest całkiem zamierzoną dyskryminacją mniejszości. W Iranie zakazane są na przykład wszystkie imiona kurdyjskie, mimo że co dziesiąty Irańczyk jest Kurdem.

Jina bardzo cieszyła się na wizytę w Teheranie. Jechała tam, by odwiedzić swojego młodszego brata. W feralny dzień rodzeństwo spotkało się około osiemnastej trzydzieści nieopodal stacji kolejowej przy wjeździe na autostradę Shahid Haghani, szeroką arterię prowadzącą do placu Vanak, w północnym rejonie stolicy Iranu. Przywitali się stęsknieni, a już chwilę później zatrzymała ich milicja moralności *Gasht-e Ershad*, której zadaniem jest „promowanie cnoty i zapobieganie występkom, w tym zatrzymywanie ludzi łamiących konserwatywny irański kodeks ubioru”. W praktyce sprowadza się to po prostu do znęcania się nad społeczeństwem i ograniczania jego podstawowych praw.

Oddziały tej formacji zawsze poruszają się łatwo rozpoznawalnymi furgonetkami z mieszaną załogą męską i żeńską, która patroluje miejsca publiczne, aby nadzorować zachowanie i ubiór. Ich zdaniem Jina w tej kwestii złamała zasady Republiki Islamskiej. Chusta, którą miała na głowie, w ocenie funkcjonariuszy nie zasłaniała jej włosów wystarczająco szczelnie. Obrońcom moralności nie spodobały się też jej „zbyt obcisłe”, wyzywające, podkreślające sylwetkę spodnie. Były to zwykłe džinsy.

Po krótkiej wymianie zdań milicjanci aresztowali Jinę, choć dziewczyna błagała, by tego nie robili. Tłumaczyła, że właśnie przyjechała do Teheranu, że nie wie, jakie panują tu zasady, że natychmiast wszystko naprawi. Ale jej prośby na nic się zdały. Niewykluczone, że spory wpływ na zatrzymanie Jiny miał fakt, że była Kurdyjką. Dyskryminacja wobec tej mniejszości

w Iranie przybiera często ogromne rozmiary, choć oczywiście trudno ją udowodnić, bo strażnicy moralności swoją decyzję o aresztowaniu dziewczyny ubrali w troskę o ochronę zasad islamu.

– Dokąd ją zabieracie? – dopytywał brat Jiny.

– Na komisariat przy Vozara. Przesłuchamy ją, pouczymy i za godzinę będzie wolna – usłyszał.

Posterunek milicji przy alei Vozara jest jednym z miejsc, które zwłaszcza kobietom kojarzy się koszmarne. Wiele teheranek trafiło tam pod zarzutem niemoralnego prowadzenia się i niewłaściwego stroju. Wiele mówi o brutalności funkcjonariuszy pracujących na tym komisariacie.

Brat Jiny pojechał na aleję Vozara tuż za furgonetką, w której przewożona była jego siostra. Czekał, aż zgodnie z obietnicą wyjdzie i będzie mógł zabrać ją do domu. Minęła godzina, ale Jina nie wyszła. Po dwóch pod komisariat podjechała karetka, która zabrała nieprzytomną dziewczynę do szpitala Kasra.

– Co jej się stało? Co jej zrobiliście? – pytał roztrzęsiony chłopak.

– Nic. Zawał serca i udar mózgu – usłyszał w odpowiedzi.

– Tak po prostu? Przecież była zdrowa!

– Nie mogła być zdrowa, skoro miała zawał serca i udar mózgu – powtórzył sarkastycznie milicjant, dając do zrozumienia, że uznaje rozmowę za zakończoną.

Koszmarne korki w Teheranie sprawiły, że karetka dotarła do szpitala dopiero półtorej godziny później. Jina zapadła w tym czasie w śpiączkę, z której już nigdy się nie obudziła. Lekarze odmawiali informacji na temat stanu jej zdrowia, zapewniając jedynie, że do szpitala dotarła już nieprzytomna, co akurat w rwącym potoku kłamstw było prawdą.

Informacja szybko obiegła media społecznościowe, a ludzie zaczęli zbierać się pod szpitalem Kasra i coraz głośniej domagać się wyjaśnień w sprawie Jiny. Widząc to, władze skierowały na miejsce oddziały militarne i Basij – rzekomo do ochrony placówki. Jednak to nie protestujący byli tutaj zagrożeniem.

Sytuacja zaczęła się zaogniać w momencie, gdy szpital usunął z internetu wpis, w którym poinformował, jak wyglądały pierwsze chwile Jiny po przyjeździe. „Przeprowadzono resuscytację pacjentki, jej serce zaczęło bić, a pacjentka została przyjęta na oddział intensywnej terapii”, napisano

w nim. Ale gdy zniknął, stało się jasne, że władza próbuje zmanipulować informację, ewidentnie mając coś do ukrycia.

Kiedy dwie doby później doszło do ponownego zatrzymania akcji serca, u Jiny stwierdzono śmierć mózgową. Reanimacja nie miała już sensu, ale zgodnie z wersją szpitala i tak ją podjęto. Nie przyniosła jednak rezultatu.

Jina Amini zmarła.

Lekarze nie chcieli rozmawiać o przyczynach śmierci dziewczyny nawet z jej rodziną. Wyraźnie dostali takie polecenie. Bliskim odmówiono dostępu do wyników badań, a kiedy w końcu ojciec Jiny został wpuszczony do kostnicy, ciało córki było szczelnie zakryte bandażami. Widział jedynie fragment posiniaczonej nogi i opuchniętą twarz.

To, czego nie chciała ujawnić władza, wyjawili świadkowie. Kobiety, które zostały aresztowane tego samego dnia i były przewożone tą samą furgonetką, mówiły, że Jina była bita już w drodze na komisariat. Jeszcze zanim tam dotarła, uskarżała się na bóle i zawroty głowy. Nikt nie miał wątpliwości, że jest to wynikiem przemocy – ale też nikogo to nie dziwiło.

Po przyjeździe na posterunek poruszała się jeszcze o własnych siłach, aż w pewnym momencie najpierw miała nagle stracić wzrok, a później zachwiać się i upaść.

Krótkie nagranie z kamery monitoringu, która zarejestrowała ten upadek, władze pokazały rodzinie Jiny jako dowód na prawdziwość tej wersji wydarzeń, a później opublikowały je w sieci. Miało to odsunąć wszelkie podejrzenia od funkcjonariuszy milicji religijnej i udowodnić opinii publicznej, że dziewczyna faktycznie zmarła z przyczyn naturalnych. Niestety nie istnieje nagranie pokazujące, co zdarzyło się przed i po tym upadku. A nie jest przecież możliwe, żeby monitoring objął tylko ten jeden, krótki moment upadku. Kiedy rodzina zapytała o nagrania z furgonetki, która również była monitorowana, okazało się, że te też nie istnieją.

Manipulując dowodami, władze na zlecenie prezydenta kraju udawały, że prowadzą śledztwo, choć jego wynik już dawno został ustalony. Ten ogłoszony publicznie nie zdziwił nikogo. Dwudziestodwuletnia, zdrowa i nieskarżąca się na żadne dolegliwości Jina Amini umarła w wyniku jednoczesnego i niespowodowanego żadnym działaniem zewnętrznym zawału serca i udaru mózgu, a jej aresztowanie nie miało z tym nic wspólnego.

Próbowano powiązać sprawę nagłej śmierci z przebytym przez dziewczynę w dzieciństwie nowotworem. Ale nawet jeśli przyjąć, że osłabił on jej organizm tak, że jego skutki byłyby odczuwalne po kilkunastu latach, jak wyjaśnić fakt, iż przed spotkaniem z funkcjonariuszami *Gasht-e Ershad* była zdrowa i chodziła o własnych siłach, a chwilę później znalazła się w śmiertelnej śpiączce?

Oficjalny komunikat, z którego nie przypadkiem trudno wywnioskować, co tak naprawdę się stało, brzmi:

*Kobieta została doprowadzona do komisariatu milicji w Teheranie „celem edukacji i nauki”, kiedy nagle doznała problemów z sercem. Była w tym czasie wśród innych kobiet znajdujących się tam w tym samym celu.*

*Dzięki współpracy milicji i służb ratowniczych kobieta została natychmiast przewieziona do szpitala na leczenie i otoczona opieką. Oskarżenia, jakoby została na komisariacie pobita, są pomówieniami wrogich mediów.*

Nikt, absolutnie nikt w to nie uwierzył.

*16 września 2022 roku, Saqez, Kurdystan*

W dniu śmierci Jiny Amini ulice Iranu, a wkrótce już całego kraju zaludniły się jak w czasach, gdy maszerowały nimi tłumy cieszące się z obalenia szacha Pahlawiego. W dniu jej pogrzebu opozycyjni, głównie młodzi i wciąż jeszcze niezrezygnowani Irańczycy wypowiedzieli wojnę swojemu rządowi.

Władze całkiem słusznie obawiały się wybuchu zamieszek, więc już wcześniej rano obstawiły cmentarz służbami specjalnymi – zarówno rządowymi, jak i paramilitarnym Basij. Jeszcze przed południem padły pierwsze strzały, a życie stracili pierwsi ludzie. Zaczęły się masowe aresztowania. Rządzący mieli nadzieję, że podobnie jak w poprzednich sytuacjach tego typu uda im się zastraszyć ludzi i zniechęcić ich do protestowania. Tym razem jednak było inaczej.

Trudno określić, co się zmieniło, ale sądząc po tym, co widać na licznych filmikach przesyłanych z miejsca zamieszek, w Irańczykach coś pękło. Jina Amini nie była pierwszą ofiarą reżimu, zdecydowanie nie była też ostatnią,

ale w determinacji protestujących widać, że w tej walce nie ma już odwrotu. Ani jednej więcej. Choćby za cenę jeszcze wielu...

Na jej grobie napisali swoistą deklarację:

زمهر متئبهئ توان . یرمان وت نایگ انیژ

*Ukochana Jino, nie umrzesz. Twoje imię stanie się symbolem.*

Protesty trwały od chwili śmierci Jiny niemal bez ustanku. Więzienia znowu zaczęły się zapęłniać, a ludzie raportowali zaginięcia swoich przyjaciół i towarzyszy. Oficjalny licznik zabitych zaczął się rozkręcać, choć oficjalne dane są mało wiarygodne. Ruszyła też machina sądowa, która zaczęła szafować wysokimi wyrokami pozbawienia wolności, nie stroniąc od skazywania ludzi na śmierć.

Zgodnie z muzułmańską tradycją czterdzieści dni po śmierci Jiny przy jej grobie znowu pojawili się żałobnicy. I znowu były ich dziesiątki tysięcy. Władze po dekadach tyranii żywiły przekonanie, że do tego czasu protesty ustaną, ale demonstranci nie odpuścili walk nawet na jeden dzień. Zwłaszcza że protestom przewodziły kobiety. Trzymane pod butem przez ponad czterdzieści lat nie miały zamiaru się poddać.

Początkowo zagraniczni komentatorzy, dziennikarze, politycy i iraniści w swoich opiniach nie dawali ruchowi żadnych szans. Nie był zorganizowany, a tylko taki wydawał się mieć jakąkolwiek szansę w starciu z tyranią. Trzymający władzę islamscy fundamentaliści nauczyli się zwalczać wszelkie oddolne ruchy opozycyjne i gdy tylko takie próbowały się organizować, po prostu je usuwali, dokonując masowych aresztowań lub egzekucji. Z czasem jednak te opinie zaczęły się zmieniać i choć o szansach na obalenie reżimu ajatollahów wciąż jeszcze trudno mówić, nie jest ono dziś jedynie mrzonką.

Protestujące kobiety, niezorganizowane i spontaniczne, miały nie mieć szans na wygraną z władzą. Jednak mimo że ta celuje do nich z karabinów, a one mają do dyspozycji tylko hasła i swoją odwagę, ich zapał nie ustaje, co zaczęło przerażać irański rząd.

Blisko siedemdziesiąt procent Irańczyków nie ukończyło czterdziestego roku życia. To młodzi ludzie, którzy nie chcą żyć w świecie odklejonych



od rzeczywistości okrutnych starców, gotowych zabijać niewinnych obywateli, byle utrzymać się u władzy. Ajatollahowie wiedzą jednak, że największą bronią młodego narodu, który próbują formować według swojej wizji, jest internet. Już pięć dni po wybuchu protestów władze zablokowały dostęp do Instagrama i WhatsAppa w nadziei, że poskromi to protesty i utrudni organizowanie się. Nadzieje okazały się płonne. Płomień rebelii rósł coraz wyżej, a blokada tylko dodała mu mocy. Wkrótce Irańczykom odcięto kolejne media społecznościowe. I znowu osiągnięto skutek przeciwny do zamierzonego.

Informacje i tak wydostają się poza Iran. Protestujący znaleźli na to sposób. I choć nie jest to łatwe, a bywa bardzo niebezpieczne, wysyłają zdjęcia, filmiki i aktualizacje sytuacji, podjeżdżając pod turecką granicę i łapiąc zasięg tamtejszych nadajników.

Jak się okazało, kłopoty z internetem nie dotyczą wszystkich. Mimo blokady w odpowiedzi na palenie *hidżabów* i obcinanie włosów w sieci pojawiły się zdjęcia wspierających władze młodych kobiet, które fotografowały się w nakryciu głowy zsuniętym do połowy włosów, twierdząc, że w Iranie wcale nie ma surowego nakazu zasłaniania się, a wszystkie uliczne próby udowodnienia, że jest inaczej, to tylko histeria podgrzewana przez wrogów Iranu. Fakty są takie, że nakaz istnieje, choć faktycznie nie wszystkie Iranki na ulicach szczerze zasłaniają włosy. Ale sam fakt, że mając pecha, mogą za to zginąć, jest powodem do wzywania do zmian.

Wciąż jednak sporo jest w Iranie zwolenników reżimu. W wielu miastach na zlecenie rządu organizowano rzekomo spontaniczne kontrdemonstracje. Ich uczestnicy wzywali do egzekucji tych, którzy protestują przeciwko namaszczonej przez samego Allaha władzy Duchowego Przywódcy Iranu.

Śmierci domagali się również dla Izraela i dla Ameryki. I zupełnym przypadkiem tylko ich hasła pokrywały się z wygłoszonym przez Najwyższego Przywódcę, ajatollaha Khamenei przemówieniem. On w protestach dopatrywał się spisku.

Sam *Rahbar* od początku protestów pozostawał w ukryciu. Choć na co dzień swoje fatwy wydaje z podziemnego bunkra, w którym ukrywa się przed atakiem Amerykanów, żyje w ciągłej obawie, że zginie z rąk „Wielkiego Szatana”. W przypadku tej fali niezadowolenia przestraszył się nie na żarty. To on osobiście miał wydać rozkaz, by tłumić niezadowolenie

Irańczyków, strzelać i „celować w oczy”. Ogromna liczba ludzi trafiających z ulic do szpitali miała dokładnie takie obrażenia, jakich życzył sobie *Rahbar*.

Blisko trzy miesiące od rozpoczęcia zamieszek niesłabnąca determinacja protestujących kobiet i wspierających je mężczyzn oraz naciski międzynarodowe wreszcie zmobilizowały irańskie władze do działania. Te spotkały się w Teheranie z wysłannikiem Putina. Nieoficjalnie wiadomo, że rozmowy dotyczyły wymiany doświadczeń. Rosja do prowadzenia morderczej wojny w Ukrainie potrzebowała sojuszników, w tym przypadku konkretnie irańskich dronów. Iran z kolei zwrócił się o konsultacje w sprawie metod tłumienia protestów.

Skoro doświadczony w represjach reżim prosi o radę inny, również w tej kwestii doświadczony, może to świadczyć tylko o skali demonstracji. Oba kraje mają u władzy terrorystów, ale różnią się nieco podejściem. Podczas gdy Iran chętniej przelewa krew na ulicach, Rosja sporą część problemu załatwia propagandą.

I to prawdopodobnie była lekcja, jaką odebrał irański prezydent na tym spotkaniu, bo kilka godzin po nim ogłoszono, że *Gasht-e Ershad* – milicja religijna, która doprowadziła do śmierci Jiny i terroryzuje społeczeństwo irańskie od lat, zostanie rozwiązana. W jej miejsce powstaną służby nadzoru, które będą chronić naród. Wiele zachodnich mediów odtrąbiło sukces. Decyzję uznano za efekt nacisków protestujących i znak, że władza się ugina. Ale Irańczycy nie dali się na to nabrać.

To była zwykła manipulacja. Zmiana nazwy instytucji nie oznacza zmiany metod jej działania. Władze o zapędach dyktatorskich zdają się o tym zapominać. Ludzie, którzy mają doświadczenie życia w reżimie totalitarnym, dobrze znają te metody, a ci, którzy walczą o wolność na ulicach Iranu, wiedzą najlepiej, że funkcjonariusze *Gasht-e Ershad* przelewają krew obywateli równie chętnie co fanatycy z paramilitarnego Basij.

Służby mundurowe w Iranie mają bardzo uporządkowaną strukturę. Władza oparta na terrorze zawsze dba zwłaszcza o ten element. Najbardziej eksponowane są oddziały IRGC Islamic Revolutionary Guard Corps, czyli Korpusu Strażników

Rewolucji Islamskiej – zwane *Sepah*. Ich zadaniem jest ochrona *Velayat-e to Faghi* – Najwyższego Przywódcy, który z kolei chroni kraj. Można je zatem porównać do polskiej Służby Ochrony Państwa.

Obok *Sepah* jest też *Artesh*. To nic innego jak armia narodowa.

NAJA lub FARAJA to siły ścigania Islamskiej Republiki Iranu lub siły dyscyplinarne Islamskiej Republiki Iranu, powszechnie określane jako policja narodowa. Ze względu na ich dość militarny charakter wielu znawców tematu argumentuje, że powinniśmy raczej mówić o milicji.

Jeden z oddziałów irańskiej milicji nazwany *Gasht-e Ershad* to właśnie milicja obyczajowa. Po ogłoszeniu jej rozwiązania zmieniło się niewiele. Funkcjonariusze pozostali w służbie, ale ich praca obecnie polega już nie na patrolowaniu ulic, co szybko mogłoby dostarczyć dowodów na kłamstwo władzy, ale na nadzorze.

Dostępna irańskiej milicji technologia pozwala na rozpoznawanie twarzy kobiet, które nie noszą *hidżabu* w zalecony sposób. Właśnie za jej pomocą ma kontrolować społeczeństwo nowa-stara formacja. To zdecydowanie skuteczniejsza metoda walki z niepokornymi, gdyż jednocześnie pozwala na oszukanie zachodnich mediów i zamieszczenie sprawy pod dywan.

Mimo że władze nigdy nie uznały udziału *Gasht-e Ershad* w śmierci Jiny Amini, podjęły decyzję o fikcyjnej likwidacji tej formacji, pokazując, że stała się ona ofiarą niesprawiedliwej nagonki. Ale w kwestii inwigilacji i represji nic w Iranie się nie zmieniło. Jedno jest pewne – to nieprawda, że doszło do likwidacji milicji obyczajowej ani że irańska władza się ugina. Jest nadal równie okrutna i dużo bardziej skuteczna.

Fakt, że milicja obyczajowa pozornie zniknęła z ulic Iranu, wcale nie oznacza, że obywatele mogą się czuć swobodnie. Iran wyprowadził na nie Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej oraz znacznie groźniejsze od *Sepah* oddziały Basij, których liczebność szacuje się nawet na dwanaście milionów ludzi.

Basij jest znacznie bardziej niebezpieczne i zdecydowanie okrutniejsze od żołnierzy rekrutowanych do armii. To oddziały ochotnicze, paramilitarne, złożone praktycznie wyłącznie z fanatyków, którzy w zwalczaniu „wrogów rewolucji” widzą swoją namaszczonej przez Boga misję i są gotowi zabijać bez opamiętania, byle ją zrealizować.

Jeden z nich, Ruhollah Ajamian, stał się symbolem walki o prawa Iran, powodem nieszczęścia wielu niewinnych ludzi i sposobem na pokazanie,

kogo władza uważa za lepszy sort i jak będzie się rozprawiać z tym gorszym.

*21 września 2022, bulwary Eram, Karaj*

Profile hadisnajafi78 na TikToku i Instagramie są pełne inspiracji, energii i radości życia. W nagrywanych przez dwudziestojednoletnią Hadis Najafi rolkach trudno znaleźć polityczne manifestacje czy krytykę władz.

Śliczna blondynka z zawsze perfekcyjnym, mocnym makijażem na co dzień pracuje w restauracji, a w wolnych chwilach pokazuje w social mediach ubrania, tańczy i nagrywa filmiki w najbardziej popularnych trendach. W różnorodnych stylizacjach pokazuje się zarówno w *hidżabie*, jak i bez niego. Bez żadnych politycznych deklaracji udowadnia, że jest on częścią jej kultury i może być bardzo modnym dodatkiem, pod warunkiem że „może”, a nie „musi”.

Wszystko się zmieniło, kiedy krajem wstrząsnęła wiadomość o śmierci Jiny Amini. Hadis, jak tysiące ludzi z jej pokolenia, dołączyła do protestu odbywającego się w mieście Karaj, w położonej w północnej części kraju prowincji Alborz. Karaj, czwarte co do wielkości miasto w Iranie, dzieli od stolicy niespełna pięćdziesiąt kilometrów. Jest praktycznie miastem satelitarnym Teheranu, a także sporym ośrodkiem akademickim, co w przypadku protestów młodzieży nie pozostaje bez znaczenia.

W drodze na protest Hadis nagrała film, który wysłała do swoich znajomych. Pełna entuzjazmu mówi w nim: „Lubię myśleć, że kiedy za kilka lat będę to wspominała, będę szczęśliwa, że dołączyłam do tego protestu”.

Godzinę później już nie żyła.

Żadna z protestujących na bulwarach Eram w Karaj dziewczyn nie miała na głowie *hidżabu*. Jeśli nawet w nich przyszły, zerwały je i publicznie spaliły. Niektóre obcięły też tutaj pukle swoich włosów. Na tym poległ ten protest.

Hadis związała włosy w kucyk i dzielnie ruszyła na czoło marszu. Po jej śmierci w sieci pojawił się film, na którym to robi, ale wkrótce się okazało, że to nie ona jest jego bohaterką.

Chwilę później dosięgło ją sześć kul wystrzelonych przez siły bezpieczeństwa Republiki Islamskiej. Grad pocisków trafił ją w klatkę

piersiową, twarz, szyję, brzuch i w rękę.

Jej ciało natychmiast zostało przejęte przez funkcjonariuszy i odwiezione do szpitala Ghaem, gdzie stwierdzono zgon. Dokumentacja medyczna mówi o tym, że dziewczyna zmarła w wyniku obrzęku mózgu.

Podobnie jak w przypadku Jiny Amini, ciała Hadis nie pokazano najbliższej rodzinie. Pozwolono je zobaczyć jedynie jej szwagrowi. Mąż siostry zamordowanej był członkiem Basij i tylko ze względu na swoje układy mógł ją zidentyfikować. Matka i siostra zobaczyły opuchniętą twarz Hadis dopiero na chwilę przed złożeniem ciała w grobie – i tylko po to, by się upewnić, że chowają właściwą osobę.

Władze zmusiły rodzinę do zgody na pogrzeb w tajemnicy oraz do utrzymywania, że dziewczyna zginęła w wypadku samochodowym, a jej śmierć nie miała nic wspólnego z protestami. Blokując internet w całej prowincji, liczyły na to, że świadkowie zastrzelenia Hadis nie będą w stanie opowiedzieć o tym w sieci. Wielu z nich zresztą aresztowano, bo zabicie dziewczyny wywołało eksplozję wściekłości.

Reżimowi nie udało się jednak zastraszyć rodziny zmarłej. Po tym, jak Hadis została pochowana, jej siostry, Afsoon i Shirin, postanowiły opublikować jej zdjęcia i powiedzieć ludziom, że została zastrzelona. Ci, którzy do tej pory jeszcze tego nie wiedzieli, dostali informację z pewnego źródła. To było iskrą do kolejnego marszu przeciwko Najwyższemu Przywódcy i machinie jego zbrodni.

Mimo usilnych prób zatuszowania sprawy okoliczności zamordowania Hadis Najafi ujrzały światło dzienne, a jej grób zgodnie z obawami władz stał się miejscem pielgrzymki opozycjonistów czterdzieści dni po jej śmierci.

### *3 listopada 2022, cmentarz w Karaj*

Uroczystości żałobne na cześć Hadis ściągnęły tłumy. Cały cmentarz został dosłownie zalany ludźmi zrozpaczonymi z powodu śmierci młodej dziewczyny i rozwścieczonymi tym, jak do niej doszło. Na miejsce wysłano służby porządkowe, głównie uzbrojone, paramilitarne Basij. Doszło do zamieszek, w których jeden z uczestników formacji stracił życie.

Według oficjalnej narracji irańskiej propagandy „uczestnicy zamieszek zaatakowali tego niewinnego, nieuzbrojonego funkcjonariusza ochrony,

rozebrali, dźgali nożami, bili kastetami, kamieniami i kopali, a następnie ciągnęli jego nagie, na wół martwe ciało po asfaltowej ulicy i między samochodami w okropny sposób”.

Już pierwsze zdanie jest kompletnym kłamstwem. Basij wysyłani do pacyfikowania protestów nigdy nie są nieuzbrojeni, raczej nigdy nie są niewinni i to zwykle oni pierwsi atakują. Irańskie władze bardzo potrzebowały tej ofiary. Dostrzegły w śmierci Ruhollaha Ajamiana doskonałą okazję do tego, by przeprowadzić serię pokazowych procesów i przstraszyć nimi protestujących.

Przed groteskowym sądem stało aż jedenaście osób. Żadnej z nich nie udowodniono winy.

- Pięćdziesięcioletni doktor Hamid Ghare Hasanlou i jego żona Farzan byli uczestnikami uroczystości na cześć Hadis. Po ich zakończeniu wrócili do domu. Jeszcze tej samej nocy służby bezpieczeństwa wtargnęły do ich posiadłości, funkcjonariusze siłą wyrwali ich z łóżek i brutalnie pobili na oczach trzynastoletniej córki. Małżeństwo zostało zabrane do więzienia Evin, a ich córka usłyszała, że jeśli powie komukolwiek o tym, co się wydarzyło, jej rodzice zostaną zabici. Po przewiezieniu do więzienia tortury kontynuowano. Strażnicy przykładali się do nich na tyle porządnie, że doktor Hasanlou trafił na intensywną terapię i stracił jedno płuco. Sąd skazał go na śmierć za zabójstwo i *moharabeh*. Jego żona dostała wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności.

- Dwudziestosześcioletni aktor Hossein Mohammadi również został skazany na śmierć za rzekomy udział w zabójstwie Ruhollaha Ajamiana.

- Czterdziestotrzyletni ojciec dwójki dzieci Reza Aria według prokuratury miał kopnąć ofiarę, gdy ta jeszcze żyła. Choć tego nie udowodniono, jego też ukarano wyrokiem śmierci.

- Dwudziestosześcioletni Mohammad Mehdi Karami, utytułowany mistrz karate, został skazany za *efsad-fil-arz* – „zepsucie na ziemi”, jedno z najgorszych przestępstw przewidzianych w irańskim kodeksie karnym. Karą za nie jest śmierć.

- Trzydziestodwuletni Seyyed Mohammad Hosseini, pracownik firmy drobiarskiej, nie był uczestnikiem zamieszek. Natknął się na dużą grupę protestujących, idąc na grób swoich rodziców. Irański wymiar sprawiedliwości twierdzi, że to właśnie on przyznał się do zadźgania Ajamiana. Został skazany za *efsad-fil-arz*.

Liczba skazanych za rzekome zabójstwo jednego funkcjonariusza ciągle rośnie. Początkowo raportowano o pięciu, następnie o jedenastu osobach, obecnie lista zawiera już szesnaście nazwisk. Nie wszystkie są znane. Władze, widząc, że nazwiska skazanych na śmierć obiegają media tradycyjne i społecznościowe na świecie, postanowiły nie ujawniać kolejnych. Aktualnie znanych jest tylko pięciu czekających na egzekucję w tej jednej sprawie.

Lista przestępstw, za które irański kodeks przewiduje karę śmierci, jest naprawdę długa: morderstwo, gwałt, molestowanie dzieci, homoseksualizm, handel narkotykami, napad z bronią w rękę, porwanie, terroryzm, kradzież, związek kazirodczy, cudzołóstwo, sodomia, prostytutka, spiskowanie w celu obalenia reżimu islamskiego, stawanie po stronie opozycji politycznej, sabotaż, podpalenie, bunt, cudzołóstwo, bluźnierstwo, fałszerstwo, przemyt, spekulacja, recydywa w spożywaniu alkoholu, produkcja i publikowanie pornografii, tchórzostwo, szpiegostwo, zdrada i pomaganie wrogowi.

Dwoma wyjątkowymi przestępstwami, które stają się w Iranie uniwersalne, jednocześnie gwarantując karę śmierci, jest *moharabeh*, czyli wojna z Bogiem, i *efsad-fil-arz* – korupcja na ziemi.





## ROZDZIAŁ 15

# Pochodnie

*10 czerwca 2001 roku, hotel Leonard, Londyn*

Farah Diba od jakiegoś czasu martwiła się o swoją najmłodszą córkę, księżniczkę Leilę. Wiedziała, że z jej zdrowiem psychicznym nie jest najlepiej, a w mierzeniu się z rzeczywistością pomagają jej leki. Córka zapewniała ją jednak, że wszystko ma pod kontrolą, a proszki, które zażywa, są przepisywane przez lekarza i bardzo jej pomagają. To jednak nie uspokajało matki. Wiedziała, że depresja to choroba, której nie da się wyleczyć tylko farmakoterapią, ale czuła się bezsilna. Jedyne, co mogła zrobić, to zwrócić się z prośbą do najbliższego przyjaciela córki, by jej pilnował. Hourieh Dallas był tak jak Leila uciekinierem z Iranu. Znali się od najmłodszych lat. Był jej powiernikiem, dobrze wiedział, co dzieje się z księżniczką, i miał świadomość, jak poważne zadanie powierzyła mu cesarzowa.

Tego dnia matka od wielu godzin próbowała skontaktować się z córką. Chciała przypomnieć jej o wizycie u psychiatry przy londyńskiej Harley Street, u którego Leila leczyła się od jakiegoś czasu. Hotelowa recepcja nie zauważyła, by dziewczyna opuszczała budynek. Kolejne próby kontaktu nie przynosiły efektu. W końcu zdecydowano o wejściu do jej pokoju.

Księżniczka leżała w łóżku z naciągniętą na głowę kołdrą. Nie żyła od kilku godzin. W chwili śmierci miała zaledwie trzydzieści jeden lat.

W jej krwi stwierdzono sekobarbital w dawce pięciokrotnie przekraczającej śmiertelną, a w sypialni kilkanaście rodzajów silnych leków i kokainę. Nie było żadnej notatki, listu, tylko świstek papieru z nabazgraną poezją. W szufladzie znajdowało się zdjęcie szacha, jej matki i dzieci oglądających telewizję w pałacu w Teheranie. Leila, mała księżniczka, siedzi na nim na kolanach taty.

Nagła śmierć najmłodszej córki rozerwała serce księżnej Diby na milion kawałków. Wciąż trawiąca ją żałoba po mężu i ukochanym kraju nabrała nowej, złowieszczej siły. Los nie zamierzał jednak jej oszczędzać. Niespełna dekadę później zadał jej kolejny okrutny cios.

Najmłodszy syn Mohammada Rezy i Farah Diby, Ali Reza, wyrósł na nieprawdopodobnie ujmującego młodzieńca, niezwykle przystojnego i doskonale wykształconego. Po wygnaniu z Iranu i śmierci ojca jako szesnastolatek wyjechał z matką i rodzeństwem do Stanów Zjednoczonych, gdzie ukończył studia muzyczne na Uniwersytecie Princeton, następnie zdobył tytuł magistra języków i kultur Bliskiego Wschodu na Columbia University, a o doktorat starał się na prestiżowym Harvardzie. Wprawdzie samego tytułu nigdy nie uzyskał, ale trudno byłoby mu odmówić ambicji, wiedzy i błyskotliwości. W kontynuacji kariery naukowej przeszkodziły mu problemy ze zdrowiem psychicznym. On też, tak jak jego młodsza siostra, cierpiał na depresję, której nie były w stanie opanować terapie ani leki. Życie na wygnaniu, nawet to całkiem wygodne, brak przynależności, niezawiniona nienawiść, z jaką musiał się zmagać przez wiele lat, odbiły się poważnie na jego psychice. Nigdy nie założył rodziny, był samotny i śmiertelnie nieszczęśliwy.

Ali Reza odszedł na początku stycznia 2011 roku. Strzał w głowę nie pozostawiał wątpliwości, że nie chciał dłużej żyć. W liście pożegnalnym, który to potwierdził, poprosił, by jego skremowane szczątki rozrzuciono nad Morzem Kaspijskim. Wrócił do Iranu.

On też miał dokładnie to samo zdjęcie, które znaleziono w rzeczach jego siostry. Siedzi na nim obok taty i Leili, w nieco dziwnej pozycji, trzymając się za kolano. Tej trójki już nie ma. Na posterunku nadal pozostaje dzielna Farah Diba i jej dwoje dzieci – księżniczka Farahnaz i książę koronny Reza.

Wśród okrzyków wciąż trwających protestów słychać wezwania do powrotu dynastii Pahlavi na tron. Książę Reza miałby w takiej sytuacji na nim zasiąść. Brzmi to niemal niedorzecznie, ale zanim Khomeini wrócił do Iranu, wielu nie wierzyło, że ustanowienie Republiki Islamskiej jest możliwe. On sam nie do końca w to wierzył, a z każdym rokiem przybliżającym go do śmierci uznawał ten pomysł za bardziej niedorzeczny. Wrócił i przez kolejną dekadę zdążył zmienić Iran w zupełnie inny kraj.

To koronny argument tych, którzy dziś z wielką nadzieją wierzą w możliwość wyzwolenia Iranu spod władzy bezdusznych duchownych,

nawet jeśli budowa demokracji oznaczałaby powrót do nominalnej monarchii. Reżimowi islamskich fundamentalistów skutecznie udało się zniszczyć dziedzictwo szacha Pahlavi. Mówić o nim wolno dziś wyłącznie negatywnie, choć obecnie żyją w Iranie już dwa pokolenia, które nie mają prawa go pamiętać. W części Irańczyków budzi się jednak sentyment do czasów szacha. Wiedzą, że nauczona historią rodzina Pahlavi prawdopodobnie nigdy nie sięgnęłaby już po dyktaturę. Sam książę Reza oddał się w tej kwestii do dyspozycji Irańczyków. Na stole leżą dwie opcje. Nominalne objęcie rządów nad wciąż niezorganizowaną opozycją i faktyczny powrót do kraju dla odzyskania władzy. Nikt na razie nie wie, jak miałyby do tego dojść, ale Irańczycy nie raz już w swej historii dokonali niemożliwego.

*8 stycznia 2020, Imam Khomeini International Airport, Teheran*

Wczesnym świtem na pokład samolotu boeing 737-800 w barwach Ukraine International Airlines wsiadło sto siedemdziesiąt sześć osób, a wśród nich piętnaścioro dzieci. Lot 752, o którym już za chwilę usłyszy cały świat, miał się skończyć na lotnisku Boryspol w Kijowie. Samolot oderwał się od pasa startowego dokładnie o godzinie szóstej dwanaście czasu lokalnego. Zaczął się wznosić z prędkością piętnastu metrów na sekundę i osiągając wysokość dwóch i pół kilometra, niespełna trzy minuty po starcie, nagle zniknął z radarów.

Jego szczątki chwilę później spadły na obrzeża miasta Parand. Zginęli wszyscy na pokładzie. Władze Iranu ogłosiły śledztwo w tej sprawie, choć przyczyna wypadku była dla nich jasna od samego początku. Na miejsce katastrofy pojechali irańscy śledczy, Ukraina wysłała też swoich, ale oprócz nich już następnego dnia pojawiły się tam również buldożery i spychacze, które miały za zadanie uprzętnąć miejsce katastrofy. W tym samym czasie do udziału w śledztwie zaproszeni zostali eksperci z Kanady i Szwecji, ale po przybyciu na miejsce zgłosili spore szkody poczynione przez ekipy porządkowe. Iran zapewnił jednak o braku jakiegokolwiek ingerencji w miejsce katastrofy. I te zapewnienia musiały wystarczyć.

Na początku lutego ukraińska telewizja publiczna wyemitowała ujawnione nagranie z wymiany informacji między pilotem samolotu Aseman Airlines będącego w pobliżu w czasie startu lotu 752 a irańskim

kontrolerem ruchu lotniczego. Pilot mówi w nim o „serii rozbłysków podobnych do pocisku”. Wspomina też o eksplozji. Po wycieku nagrania prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski stwierdził, że dowody wskazują na to, iż Iran od początku był świadomy, że samolot został zestrzelony. W odpowiedzi władze Iranu zerwały współpracę w dochodzeniu z Ukrainą.

O udziale Iranu w katastrofie mówiło się nieoficjalnie od samego początku. Już trzy dni po niej w największych miastach kraju wybuchły protesty, w których głównym hasłem było „śmierć dyktatorowi”. Wśród innych znalazło się też to demaskujące największą bzdurę, jaka jest filarem reżimu od czasów Khomeiniego: „Kłamię, że naszym wrogiem jest Ameryka. Nasz wróg jest tutaj”.

Dla wielu Irańczyków katastrofa była odwetem na niewygodnym dysydencie. Zginęła w niej bowiem Parisa Esmaeilion ze swoją dziewięcioletnią córką Reerą – żona i córka Hameda Esmaeiliona, potężnego krytyka reżimu, mieszkającego na stałe w Kanadzie. Śmierć najbliższych przyczyni się jedynie do tego, że mężczyzna jeszcze bardziej zaangażuje się w działalność opozycyjną. To on między innymi stał za wieloma zagranicznymi protestami po śmierci Jiny Amini.

Wkrótce cały świat dowiedział się, że samolot został przypadkowo zestrzelony przez irańską Gwardię Rewolucyjną. Do odpowiedzialności pokazowo pociągnięto dziesięciu funkcjonariuszy, ale bez większych reperkusji. Prawdziwe polowanie urządzono jednak na człowieka, który doprowadził do wycieku nagrania z wieży kontroli lotów, i na wszystkich udostępniających nagranie w sieci oraz tych, którzy publikowali informacje o udziale Iranu w katastrofie, zanim jeszcze przedstawiono raport końcowy. Do więzień trafiło kilkadziesiąt osób.

Katastrofa lotu 752 w przedziwny sposób połączyła mnie ponownie z moim krajem. Dowiedziałam się o niej od irańskiej diaspory. Ta w Los Angeles, gdzie obecnie mieszkam, jest naprawdę spora i dość mocno ze sobą zżyta. Kiedy doszło do katastrofy, a badający ją eksperci zaczęli potwierdzać tożsamość kolejnych ofiar, okazało się, że aż trzy z nich to bliscy krewni moich przyjaciół.

Ich żałoba dotknęła mnie w bardzo szczególny sposób. Zaskakujący, bo niezwykle bolesny. Jakby ktoś nagle coś we mnie otworzył, jakby mnie

wezwał. To było jeszcze długo przed wybuchem protestów związanych ze śmiercią Jiny Amini, ale już wtedy zrozumiałam, że muszę działać i nagłaśniać poczynania rządu, dla którego obywatele są tylko biomasą.

Właśnie mija dwadzieścia lat, od kiedy mieszkam w Stanach Zjednoczonych. Jestem szczęściarą i dobrze o tym wiem. Czasami mam wyrzuty sumienia, a hejterzy je podsycają, nawołując, bym wracała „do siebie”. Myślę wtedy, że może faktycznie powinnam wrócić. Wiem jednak, że to nie miałoby sensu. Iran to nie jest kraj do życia, a ja chyba nie potrafiłabym się w nim odnaleźć po tylu latach na emigracji.

Przez ten czas naprawdę wiele się zdarzyło. Miałyśmy z mamą dużo szczęścia. To znaczy najpierw szczęście spotkało mamę, kiedy poznała Jeffa. Wchodzenie w szczegóły ich romansu nie ma sensu, bo nie jest to spektakularnie filmowa historia, ale trzeba przyznać, że mama, zupełnie się tego nie spodziewając, zakochała się po uszy, a i Jeff stracił dla niej głowę.

Pobrali się, gdy miałam czternaście lat. Jeff mnie adoptował i nasze życie zmieniło się diametralnie. Dzięki niemu przeprowadziliśmy się do Phoenix, co dla mojej mamy było jak wiatr w skrzydła. Poszła do szkoły, została księgową, a wkrótce z pomocą Jeffa otworzyła własny biznes.

Gdyby nie on, nie wiem, czy byłoby nas stać na moje studia. To dzięki niemu zostałam prawniczką, dzięki niemu mogę dziś mieszkać w słonecznym Los Angeles i cieszyć się życiem. Paradoksalnie właśnie tu i teraz czuję się Iranką bardziej niż kiedykolwiek i gdziekolwiek wcześniej. I tak bardzo chciałabym tego samego dla tych wszystkich biednych ludzi znajdujących się w rękach fundamentalistycznych tyranów.

Ludzie na ulicach Iranu płoną jak pochodnie. Ich młode, często rozpoczęte kilkanaście lat wcześniej życie kończy się w nierównej walce. I w przypadku każdego z nich jest nieodżałowaną stratą. Najboleśniesz w tym wszystkim jest to, że śmierć jednej osoby niesie za sobą śmierć kolejnych. Giną w protestach lub zabijani przez reżim po fikcyjnych procesach, a potem wybucha następny protest, który znowu pochłania ofiary...

Nie umniejszając poświęcenia walczących o wolność na irańskich ulicach, wielka walka toczy się też o to, by powszechna śmierć Irańczyków nie spowszedniała światu. To walka z wiatrakami, bo uwaga mediów jest

bardzo kapryśna i niezwykle ulotna, a irańska machina wysyłająca w świat dezinformację – naprawdę potężna.

Jednym z najokrutniejszych doświadczeń, jakie przy okazji protestów staje się udziałem bliskich rebeliantów, jest ich poszukiwanie. Oprócz tych, którzy giną, są jeszcze ci uznawani za zaginionych. Ich poszukiwania w zderzeniu z bezdusnością reżimu i jego manipulacjami przypominają przypalanie otwartych ran rozżarzonym żelazem.

Dwudziestoletnia Armita Abbasi uczestniczyła w protestach od pierwszego dnia. I nagle zniknęła. Rodzina i przyjaciele usilnie próbowali się dowiedzieć, co się z nią stało. Osiem dni po zaginięciu pojawiła się pierwsza informacja o miejscu przebywania dziewczyny. Twierdzono, że agenci Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej odwieźli ją do szpitala. Lekarze orzekli, że Armita była wielokrotnie brutalnie gwałcona, ale natychmiast zamknięto im usta. W oficjalnym oświadczeniu musieli ogłosić, że do gwałtów doszło przed jej aresztowaniem. Taką informację otrzymała rodzina dziewczyny. Sam komunikat był skonstruowany tak, jakby jej zatrzymanie było aktem łaski, który wręcz uratował jej życie.

Gdy tylko pojawiła się informacja, że Armita odnalazła się w szpitalu, jej bliscy natychmiast tam pojechali. Nie dane im jednak było się z nią zobaczyć, bo agenci IRGC, czyli *Sepah*, przenieśli ją potajemnie w miejsce, którego do dziś nie ujawniono. Nikt od tej pory o niej nie słyszał. Wciąż jest poszukiwana.

Długie poszukiwania dotyczyły też szesnastoletniej Niki Shakarami. Jej rodzina i przyjaciele próbowali ją odnaleźć przez dziesięć dni, aż w końcu władze przyznały, że dziewczyna nie żyje. Miała popełnić samobójstwo, skacząc z wysokiego budynku. Ale nawet przy sporej dozie naiwności trudno w to uwierzyć. Nie ma za to wątpliwości, że była torturowana.

Rodzina zidentyfikowała jej ciało i zaczęła przygotowania do pogrzebu, który miał się odbyć w Khorramabad. Ale wkrótce potem irańskie siły bezpieczeństwa ukradły zwłoki, by pochować je w oddalonym o czterdzieści kilometrów Hayat ol Gheyb. Potajemny pogrzeb oczywiście miał być próbą uniknięcia wybuchu kolejnych zamieszek.

Rówieśniczka Niki Sarina Esmailzadeh również zaginęła na wiele dni, a gdy odnalazła się martwa, funkcjonariusze *Sepah* stwierdzili, że... popełniła samobójstwo, skacząc z dachu bloku mieszkalnego, i zrobiła to najprawdopodobniej pod wpływem narkotyków.

Dwudziestodwuletnia Elmira Hosseini wybrała bardzo pokojową formę protestu. Zanim zniknęła, rozdawała na ulicach czekoladki z hasłem: *Zan! Zendegi! Azadi! Kobieta! Życie! Wolność!* Przez wiele dni nie było wiadomo, co się z nią dzieje, i nadal nie ma pewności, czy żyje. Jej matka jest nieustannie zwodzona sprzecznymi informacjami. Władze obiecały jej, że wypuszczą córkę, gdy tylko przyniesie jej akt urodzenia, ale kiedy kobieta pojawiła się na komisariacie z żądanym dokumentem, została zbyta.

Podobnych historii jest coraz więcej, ale myślę się ci, którzy myślą, że zniknięcia ofiar przed ujawnieniem ich śmierci lub osadzenia w więzieniu są przypadkowe. To zamierzony szantaż. Zrozpaczone rodziny zrobią wszystko, by odzyskać ciało ukochanej osoby i pochować je z godnością. Wtedy władze wysuwają żądania. Te zawsze są takie same i sprowadzają się do utrzymywania propagandowej wersji wydarzeń i potwierdzenia przyczyn śmierci podyktowanych przez urzędników reżimu. Często odbywa się to w formie udawanego przyjacielskiego porozumienia, w którym władze otaczają troską pogrążoną w żałobie rodzinę, podsuwając jej do podpisania bezlitosne lojalki. Za odstępstwa płaci się wysoką cenę.

Od początku protestów po śmierci Jiny Amini zginęło mnóstwo dzielnych dziewcząt, ale mężczyźni też są częstymi ofiarami. To głównie oni obecnie skazywani są przez reżim na śmierć, z czego wielu domorosłych ekspertów wysuwa pochopne wnioski. Prawda jest taka, że prawo z reguły znacznie surowiej traktuje kobiety w kwestii kary śmierci. Dlaczego więc reżim skazuje obecnie na śmierć wyłącznie mężczyzn?

Odpowiedź jest prosta i tkwi w średniowiecznych przekonaniach o słabości kobiet. Rządzącym zależy głównie na tym, by właśnie mężczyzn zniechęcić do wspierania protestów.

Niewierzący w siłę kobiet irańscy mizogini są przekonani, że bez udziału mężczyzn byłoby w stanie rozgonić protesty szybko i bez większego trudu. Poza tym nie ma różnicy pomiędzy śmiercią przez powieszenie na dźwigu

a tą na ulicy. Irańczycy giną masowo, a próby wżenia ich ofiar są równie okrutne jak działania ajatollahów.

Kobiety również stają przed plutonami egzekucyjnymi, i to często ze znacznie bardziej błahych powodów niż mężczyźni. Na niespełna dwa miesiące przed śmiercią Jiny Amini reżim wykonał wyrok na trzech kobietach skazanych za zabójstwo swoich mężów. W procesie nie miało znaczenia, że każda z nich zrobiła to w afekcie z powodu ciągłej przemocy. Jednej z nich nie uratowało nawet to, że została poślubiona jako piętnastolatka.

Władze w Iranie zawsze odwołują się do prawa i twierdzą, że choć jest surowe, musi być stosowane dla porządku. Z koniecznością stosowania prawa trudno się nie godzić. Problem w tym, że jak w każdej tyranii prawo w Iranie jest tylko fasadą, za którą zadaje się bezkompromisowe cierpienie narodowi. Gdyby w Iranie faktycznie zastosowano prawo, w kraju zabrakłoby stryczków, by powiesić polityków, duchownych i katów odpowiedzialnych za zbrodnie na obywatelach.

Tymczasem na ulicach Iranu ludzie wciąż płoną jak pochodnie. Ale wierzą, że piekielny ogień, jaki wzniesają, w końcu pochłonie ich oprawców.





## Epilog

# Say their names to save their lives!

Kiedy rozmawiam z Wami, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, o bohaterach moich książek, często jestem wzruszony Waszą nieprawdopodobną empatią. Pytacie, czy jest coś, co możecie zrobić, by pomóc ludziom, którzy padają ofiarą reżimów.

I z reguły ze smutkiem odpowiadam, że niewiele.

Żeby uszczuplić dochody potentatów naftowych, którzy wykorzystują mniej uprzywilejowanych, możemy się na przykład przesiąść na samochody elektryczne, ale jest niemal pewne, że oni jeszcze długo tej straty nie dostrzegą.

Żeby ukrócić handel ludźmi na Bliskim Wschodzie, możemy ostrzegać potencjalne ofiary, ale to też nie zlikwiduje całkowicie tego procederu.

W kwestii Iranu jest jednak coś, co możemy zrobić wszyscy. Nie obali to wprawdzie morderczego reżimu, ale może go osłabić i realnie uratować życie ludzi skazanych na śmierć za udział w protestach po śmierci Jiny Amini.

Władze Iranu doskonale zdają sobie sprawę, że wykonywanie kary śmierci na więźniach politycznych się nie opłaca, dlatego nie zawsze, ale często odpuszczają tym, których imiona i nazwiska stają się znane.

*Say their names to save their lives!* Wypowiedz ich imiona, aby uratować im życie! – to międzynarodowa akcja polegająca na publikowaniu hashtagów z imionami i nazwiskami skazanych na śmierć więźniów reżimu. Ludzie dołączają ich zdjęcia, historie, opisy. Starają się opowiedzieć o nich światu, by uratować im życie.

Nie zawsze się to udaje. Zwyrodnialcy trzymający władzę w Iranie tuż przed końcem 2022 roku powiesili publicznie dwudziestotrzyletniego Majidreza Rahnavarda za zabicie podczas protestów dwóch członków Basij

oraz jego rówieśnika Mohsena Shekari, który w walkach na ulicy zranił członka sił bezpieczeństwa. Pod tym samym zarzutem oskarżono i skazano Mohammada Madi Karami i Seyeda Mohammada Hosseiniego, którzy zostali straceni dwa tygodnie później.

Wielu jeszcze może czekać podobny los, ale jest szansa, by ich uratować. Dołączajcie więc do swoich postów hashtagi z nazwiskami skazanych. To tak niewiele, a może ocalić życie.

## #SayTheirNames

**Sahand Nourmohammad-Zadeh**

**Mahan Sedarat Madani**

**Manouchehr Mehman Navaz**

**Mohammad Boroughani**

**Mohammad Ghobadlou**

**Saman Seydi**

**Hamid Ghare Hasanlou**

**Akbar Ghaffari**

**Saeed Shirazi**

**Hossein Mohammadi**

**Reza Aria**

**Majidreza Rahnavard**

**Toomaj Salehi**

**Abolfazl Mehri Hossein Hajilou**

**Mohsen Rezazadeh Gharegholou**

**Saeed Yaghoubi**

**Saleh Mirhashemi**

**Soheil Jahangiri**

**Heshmatollah Tabarzadi**

**Milad Armoun**

**Nastooch Nikkhah**

**Mehdi Jahani**

**Farzad Tahazadeh**

**Farhad Tahazadeh**

**Hejar Hamidi**

**Karvan Shaahpravaneh**  
**Shahram Maroufmola**  
**Reza Eslamdoust**  
**Ayoub Aghiliani**  
**Abdolmalek Dousti**  
**Omid Hassanzehi**  
**Farshad Hassanzehi**  
**Behzad Hassanzehi**  
**Jamshid Hassanzehi**  
**Esmail Hassanzehi**  
**Ebrahim Rigi**  
**Ali Makan Davari**  
**Arshia Takdastan**  
**Javad Rouhi**  
**Ebrahim Narouie**  
**Kambiz Kharout**  
**Majid Kazemi**  
**Manoucher Mehman Navaz**  
**Mansour Dahmardeh**  
**Mohammad Boroughani**  
**Mehdi Bahman**  
**Mehdi Mohammadifard**  
**Mohammad Ghobadlou**  
**Saleh Mirhashemi**  
**Saeed Yaghoubi**  
**Shoeib Mir Baluchzehi Rigi**

I chciałbym wierzyć, że to lista zamknięta, choć obawiam się, że to naiwność. Mam jednak nadzieję, że każdą z tych skazanych w ustawianych procesach osób uda się ocalić. Tylko to nam pozostaje.

# Spis treści

Prolog

CZEŚĆ I. ZAN

Zan – kobieta

ROZDZIAŁ 1. Szach

ROZDZIAŁ 2. Szachinszach

ROZDZIAŁ 3. SAVAK

ROZDZIAŁ 4. Cyrus

ROZDZIAŁ 5. Ajatollah

CZEŚĆ II. ZENDEGI

Zendegi – życie

ROZDZIAŁ 6. Rewolucja

ROZDZIAŁ 7. Fatwa

ROZDZIAŁ 8. Evin

ROZDZIAŁ 9. Coony

ROZDZIAŁ 10. Nike

CZEŚĆ III. AZADI

Azadi – wolność

ROZDZIAŁ 11. Uchodźcy

ROZDZIAŁ 12. Sigheh

ROZDZIAŁ 13. Blue girl

ROZDZIAŁ 14. Jina

ROZDZIAŁ 15. Pochodnie

Epilog. Say their names to save their lives!

zapraszam na... (P)